

**ROMAN IWANYCZUK**



**ORDA**

Burchard & Tyrsa

**Roman Iwanyczuk**

**ORDA**



**ROMAN IWANYCZUK**

**ORDA**

POWIEŚĆ

PRZEŁOŻYŁ  
JERZY LITWINIUK

Burchard & Tyrsa



Tytuł oryginału ukraińskiego: ORDA  
Copyright: Roman Iwanyczuk, Lwów, Ukraina

Przełożył:  
JERZY LITWINIUK

ISBN: 83-900398-3-4

Copyright for polish edition: Burchard Edition, Warszawa, 1993  
Rysunek na okładce: Albrecht Dürer

Wydanie wspólne: Burchard Edition, Warszawa, Podleśna 15  
& Zakład Wydawniczy TYRSA, Warszawa, Kościeliska 7

Skład komputerowy: ZW TYRSA, Warszawa, Kościeliska 7  
Druk i oprawa: Zakład Poligraficzny w Nadarzynie, Sitarskiego 9

## SŁOWO OD TŁUMACZA

Czytelnikowi troszczącemu się przede wszystkim o własny komfort psychiczny radzę nie zaglądać do tej książki: zbyt wiele zdań w niej zawartych mogłoby go naruszyć. Jednakże takie chyba było zamierzenie autora, który zamysł jej mógł nosić w sobie całe życie, a realizował go w nader burzliwych dla Ukrainy latach 1989-1991, kiedy to wiele spraw długo tłumionych wyszło na jaw zaprzatając umysły jej mieszkańców.

Nie jest to powieść przygodowa = montaż sensacji, tajemnic i niespodzianek, ani realistyczna = skrupulatny zapis wydarzeń od-do, wywodzi się z literatury u nas mało znanej tj. prawosławnych „chożenij”. Popularna w swoim czasie „Droga przez mękę” Aleksiego Tołstoja wbrew tytułowi mniej ma z nimi wspólnego, a więcej z dwoma wymienionymi gatunkami pisarstwa.

Nie żądajmy od jej jedyne go bohatera, a raczej porte-parole autora, by spełniał warunki mniszego powołania. Jest to wyobrażenie zbiorcze inteligenta ukraińskiego, jego porywy i rozterki zarówno in statu nascendi tej kondycji społecznej jak i w chwili bieżącej. Uznamy jego prawo do sięgania w sferę sacrum, a nawet do herezji. Zaoszczędzi to nam nieporozumień. Inne postacie pełnią role masek dialogujących z Konradem w „wyzwoleniu”. Ozwą się nam pogłosy III części „Dziadów”, a zwłaszcza „Droga do Rosji”. Jeżeli razić nas pocznie romantyczna emfaza, przypomnijmy sobie, że żadnemu narodowi nie odmawiano tak długo prawa do bycia sobą jak Ukraińcom...

Tak się złożyło, że nauka języka rosyjskiego w maju 1944 w Lublinie – sponte sua – i kontakt z poezją Puszkina zaczęły się dla mnie od „Połtawy” figurującej w przedrewolucyjnym podręczniku dla szkół ludowych. Znalazłem go na strychu domu, w którym mieszkaliśmy przez całą okupację. Uderzyła mnie – jako coś nowego i nieoczekiwanego – pochwała donosu.

Klasyk? Zgoda. Geniusz? Zgoda. Ale ten dojrzały już artysta służył z samozaparciem racjom imperium. Nie w tym jednym wypadku i nie on jeden.

Poczytajmy sobie jeszcze raz „Połtawę” w oryginale czy nawet w polskim przekładzie. I nie dziwmy się gwałtowności, z jaką dokonana została zamiana wartości znaków. I nie zaszkodzi, gdy sięgniemy refleksją jeszcze głębiej w historię, z zachowaniem należytych proporcji.

Autor książki „De civitate Dei” biskup Hippony Augustinus Aurelius, święty i Ojciec Kościoła, w młodości był chciwym konsumentem kultury antyku, jednym z ostatnich, którzy tyle o niej wiedzieli, był też jej zawiedzionym kochankiem, manichejczykiem wątpiącym generalnie w sens tego świata, zanim...

Podobnie jak on jesteśmy dziś świadkami rozkładu imperium. Zostawia ono gruzy na ziemi i w sercach ludzkich. Hipponie zagrażali Wandalowie. Jak wiemy, panowanie ich nie trwało długo. Każdy boi się swoich Wandalów. Mistrz Wincenty Kadłubek w prostocie serca czynił ich przodkami Wiślan.

Nie cieszymy się, że gorycz zbiorowego bohatera ogniskuje się w jednym, nie naszym kierunku. Raczej usiłujmy zrozumieć. Może wtedy znajdziemy nie współników, ale współbudowniczych owego ładu, o którym pisał święty Augustyn...

*tłumacz*

# HAR-MAGEDON

## Rozdział pierwszy

Dworzyszcze Mazepy, odgradzone od koryta Sejmu nieprzystępnym murem, od miasta zaś wałem glinianym, raptem z bezpiecznego schronienia stało się pułapką. Niczym bagienna kipiela wychlustywały spod ziemi ubrukane nią szeregi ordy i zalewały dziedziniec rezydencji hetmańskiej na Honczariwce, o pół wiorsty od samego Baturyna. W szarości listopadowego świtu ordyńcy Mienszykowa przypominali rybi drobiazg, śliżyki na dnie opuszczonego stawu, miotali się, przepychali, sapali, kasłali wydostając się z czeluści, co niespodzianie, jak gdyby rozstąpiła się ziemia, zamajaczyła wśród wału. Obrońcy stolicy hetmańskiej, której nie byle jaki przeciwnik dałby radę po wielu dniach żmudnego oblężenia, pierzchali, nie pojmując co zaszło, o tajnym przejściu bowiem wiadomo było jeno regimentarzom generalnym, którym hetman powierzył dowództwo nad załogą Baturyna, sam zaś wyruszył ze stolicy, by w miejscowości Horki nad Desną połączyć się z siłami króla Szwecji Karola XII.

Blady strach obezwładnił obrońców, co jeszcze wczoraj dziarsko pokrzykiwali z wysokiego muru pnącego się stromo nad samych wód Sejmu: „Pomrzemy, ale do stolicy nie wejdzie nikt!”; śmierć przyszła jak złodziej, drętwiały ręce i wypadały z nich szable, słychać było nieludzki ryk ordy, ów przerażający ryk, który lżył Boga i ludzi, mroził krew w żyłach; Moskałe palili z pistoletów, przytykając lufy do ciała, cięli szablami i szpontonami kozackie głowy, ciosy padały na karki i potylicy – opór dogorywał. Kobiety wybiegały na mury i rzucały się na pewną śmierć w nurtach rzeki; które były z dziećmi, kryły się do lochów.

Siepacze związali pułkownika Czczela, komendanta Baturyna, krępowali też esauła Kenigsena, choć ten broczył krwią z rany zadanej w pierś szpontonem i konał w pętach, ordyńcy ryczeli po całym Baturynie, gdzie już pierwsze języki ognia lizały poczerwiałe niebo, na Honczariwce wśród hetmańskiej czeladzi dobiegała końca piekielna rozprawa: jednych wleczono w jasyr, ucinając pojmanym nosy i uszy, kobiety odzierano z sukien, tnąc piersi szablami, wbijano w brzuch spisy, Kozaków przywiązywano do belek i rzucono z murów w głąb Sejmu.

Pośród dziedzińca rezydencji hetmańskiej niczym na wyspie wśród jeziora krwi, pomiędzy zwałami trupów wznosili się sprawcy baturyńskiego sabatu. Z boku na przewróconym wozie stał Aleksander Mienszykow, feldmarszałek i jaśnie oświecony książę, w futrze z soboli i wysokim kołpaku bojarskim; bacznie, a wszakże ze spokojem i pewnością niczym oberkuchmistrz kuchni cesarskiej pracę swoich podkuchennych nadzorował rzeź: książę od dawna wdrożony był do podobnych czynności, w większości wypadków nie czynił nawet różnicy między otwartą walką a zabijaniem bezbronnych – kto by się wdawał w szczegóły związane z pozycją drugiej po samym Piotrze osoby: car ostatecznie nabrał zaufania do Mienszykowa, gdy ten przed dziesięcioma laty natchniony osobistym przykładem cesarskim ściał własnoręcznie toporem ponad setkę strzelców, którzy wszczęli bunt w Moskwie, i już odtąd ni na chwilę nie wypuszczał go od siebie.

Tuż obok, w zwartej grupie, jak gdyby lgnąc do siebie ze strachu, stali: pułkownik hetmański i człek w odzieży duchownego.

W czarnej kierei i czapce z długim malinowym wypustem, z ogorzałą twarzą mroczniejącą w miarę zaciekłości pogromu, jaki rozgrywał się na placu, pułkownik Nos raz po raz potrząsał jak gdyby z zimna ramionami; oczy miał skośne, tatarskie, powieki zaś korzystnie dla właściciela kryły źrenice, w których mógł mignąć żal z przyczyny tego co się działo, a nawet oburzenie na Mienszykowa, jako że takiej bezwzględnej rzezi pułkownik nie

przewidywał. On to wskazał feldmarszałkowi tajemny chodnik do Baturyna pod warunkiem, że orda powściągnie swoje zapędy, uczynił to nie za pieniądze ani też z nienawiści do Mazepy, zwykł bowiem cenić zdrowy rozsądek. Na ostatniej radzie w oczy rzekł Mazepie: „Kiepską sprawę zamyśliłeś hetmanie, twoi Szwedzi pod Starodubem spalili trzy ludne wsie uchodząc przed zastępami Moskwy, byleby ująć przeciwnikom wiewy. Czegóż więcej można się po obcych spodziewać? Moskwa zaś, choć nie proszona, toć swoja, prawosławna, i zaliż się ostoi my Piotrowi? Zważyć też potrzeba na gniew carski, jaki dosięgnie nieposłusznych... – Teraz pułkownik kurczowo wstrząsał ramionami na widok kaźni i powtarzał sobie w duchu: wojna to wojna, a nuż obejdziesz się pięcioma tysiącami załogi Baturyna, za to miliony ludzi się ocala...

Wszakże twarz pułkownika mroczyła i marszczyła się, zbyt bowiem straszno sumowały się jego chłodne kalkulacje, i raz po raz zerkał na swego sąsiada, któremu oczy zbiegły ze zgrozy, spierzchłe zaś usta mełły niezrozumiałe słowo: Har-Magedon, Har-Magedon...

Był to protegowany Mazepy, uczony protojerej Epifani, mąż surowych obyczajów, proboszcz cerkwi Matki Bożej Orędowniczki, tej co właśnie płonie po społu z pałacem Mazepy, zasię drewniana dzwonnica stojąca tuż przy dziedzińcu jeszcze jest nie tknięta – czemuż to jej nie podpalają?

Pułkownik coraz częściej spozierał na wypielęgowane i spopielale z trwogi oblicze ojca Epifaniego, absolwenta Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, ucznia samego Teofana Prokopowicza, który posłał na służbę do hetmana najzdolniejszego ze swych wychowanków, nader obrotnego we wszech materiach teologicznych i świeckich.

Iwan Nos widział, jak duchownego ogarnia paraliż woli: jeszcze wczoraj Epifani z jego poduszczenia obiecał w razie wtargnięcia Mienszykowa do Baturyna wyjść ze świątyni i wezwać lud kozacki, by nie rwał się do broni i by nie przelano na próżno bratniej krwi

prawosławnych. Przerażony Epifani nawet nie usiłował pytać, czemużby miał wtargnąć do miasta Mienszykow, skoro forteca jest niezdobyta i dość w niej armat, prochu i pocisków. Wysłuchał pułkownika stojąc sztywno, jeno białe pasemka przebiegły od szyi do twarzy – widać było, że zląkł się duchowny i że ze strachu wykona zalecenia.

Wykonał je i wyszedł do pułkownika, choć nawet nie zaszła potrzeba uspokajania Kozaków – wyrzynano ich bezkarnie niczym kury, jednakże nie stanął przy nich ojciec duchowny, znalazł bezpieczną wysepkę, którą osłaniali książe Mienszykow i pułkownik Nos; niemoc ducha opanowała go od samego początku rzezi – boć nie ruszył się z miejsca, jakby nie widząc i nie słysząc, gdy córka diakona z jego parafii biegła doń wraz z ojcem i lamentowała: „Ojcze Epifani, dlaczego stoisz, zali nie widzisz?!” Ukazywała szczerbę w wale, z której wyłaniali się pojedynczo, ale i po dwóch, trzech na raz ordyńcy; ojciec Epifani stał jak skamieniały nawet wówczas, gdy diakówna z ojcem przywarli do niej ciałem i w mig zostali zakłuci, porżnięci, stratowani: zapomniał o ludziach i Bogu, czuł jeno własne ciało, które w tenże sposób wśród niewiarygodnego bólu może zostać zniweczone, ale nie dojdzie do tego, bo w dalszym ciągu stać będzie przy Nosie i Mienszykowie...

Widział to pułkownik Nos i przejmowała go złośliwa uciecha, że nie on jeden dopuścił się przemieszania, ale i ten pupilek Mazepy; dwóch ich jest na razie, ale z czasem będzie więcej tych, co zrozumieli bezsens i daremność walki z carem; a może on i Epifani nie są zdrajcami, lecz wprost przeciwnie – wybawcami swojego ludu? Myśli te śpiesznie niczym grzyb w ciepłe rosły i mnożyły się w duszy pułkownika, a gdy napełniły go bez reszty, całym pozostałym jestestwem zniemawidził Mazepę. Boć to nie pułkownik Nos zdradził swój lud, lecz hetman – tak, hetman Mazepa! Opuścił stolicę i zbiegł za Desnę do obcych, co palą i grabią wieś kozackie... Ten przeklętnik Mazepa! Już słuszny gniew owładnął pułkownikiem i samo to starczało, by zaznać spokoju, potrzebował

wszakże oparcia w bezwolności ojca Epifaniego, męża sprawiedliwego, godnego i wiernego Mazepie: widzisz, do czego doprowadziło awanturnictwo twego bożyszczka, odpłacimy mu za to, społecm, słyszysz, wielebny ojcze?

Pułkownik wypowiedział głośno:

– Społem nam iść wypadło, ojcze Epifani, czy rozumiesz?

Wtedy to kapłan po raz pierwszy odwrócił oczy od przerażającego widowiska, – pułkownik widział, jak rychło nabrały koloru, a był to kolor limfy, – i zapytał:

– Waść im pokazałeś tajemne przejście, pułkowniku?

Nos milczał przez chwilę nie patrząc na ojca, po czym gwałtownie obrócił doń głowę i wysapał:

– Ja.

– Lud cię przeklnie.

– Wraz z tobą. Bo jednak stoisz tu przy mnie.

Wówczas Epifani spojrział na zwałowiska trupów, na ludzi, których dobijali Moskale niczym owce w rzeźni, jego owieczki, za które zawsze modlił się gorliwie. Widział ich męki i strach przed śmiercią, podrywał się wewnętrznie, by stanąć między nimi i uwolnić się od grożącej mu infamii, pojął jednak, że strach mocniejszy jest nadeń, że nie jest mocen pójść na śmierć dobrowolnie, chyba że pułkownik pchnie go w to krwawe piekło, i prosił ojciec Boga, by tak się stało.

Jednakże pułkownik ani myślał tego czynić, wygodny był dlań współuczestnik zdrady i widział, jak Epifani staje się nim z każdą sekundą, minutą, godziną: ludzi zabijano, przygważdżano do belek i tak ukrzyżowanych rzucano do Sejmu, niewyczerpani w pomysłach oprawcy zbijali nad rzeką tratwy z ustawionymi szubienicami i puszczali powieszonych z prądem; ordyńcy w dalszym ciągu wbijali spisy w brzuchy kobiet, wziętym do niewoli Kozakom obcinali nosy i uszy, a wszystko to z każdą chwilą stawało się dla Epifaniego coraz bardziej obce, nie z tej ziemi; wiedział, że nikt się już nie targnie na jego poświęconą osobę, opuściła go instynktowna obawa o własne życie, miast niej



powiało złowieszczą pustką, którą będzie musiał zapełnić jakimiś racjami: w imię czego stoi jako świadek niesłychanej zbrodni – czyżby tylko własnego życia, które odtąd będzie wzgardzone i nikomu niepotrzebne?

Racji tych nie znajdował, a na dziedzińcu dzieć się zaczęło coś straszniejszego niż dotąd: ordyńcy wyprowadzali z lochów kobiety z dziećmi; kobiety zabijano, dzieci zaś wleczono do ocalałej, nie wiada po co jeszcze nie spalonej dzwonnicy. Prześladowcy wtykali szpontony między belkowania, podważali je, wtykali kliny, czyniąc spore fugi dookoła dzwonnicy, wsuwali tam główki dziecięce aż po szyję i gdy ze dwie dziesiątki dziatwy już okoliły przerażającym wiankiem dzwonnice, kaci za jednym zamachem wybili kliny – nóżki dziecięce zamajtały w powietrzu, tworząc krąg śmierci, i wtedy Mienszykow zatarł dłonie z satysfakcją, jako że nie oczekiwał od swoich podwładnych aż takiej wynalazczości.

Jednakże ojciec Epifani nadal trwał bez ruchu: strach i poczucie nieprawości już nie przenikały serca, było zbyt pełne. Opuścił ręce z pokorą i rozważał: „Na wszystko jest wola Boska, ale ktoś musi żyć na ziemi”. Zrozumiał zarazem, że bierze na siebie wieczne jarzmo i piętno zdrajcy... „Dlaczego zdrajcy? – bronił się jeszcze. – Nie rzuciłem się do tajemnego przejścia, bo czyżbym zasłonił je sobą? Nie usiłowałem ocalić dzieci, bobym i tak ich nie ocalił i zginałbym nadaremnie. A ktoś musi żyć na tej ziemi... Bodaj po to, by opowiedzieć ludziom”.

Chwytał się tej myśli, ale wiedział, że słowa nie piśnie o tym co zobaczył, bo nikt nie ulituje się nad nim: moźni tego świata mają długie ręce, a ludzie zapytają: „Widziałeś to i nie wpadłeś w obłęd? Stałeś jak słup? Nie rzuciłeś się na pomoc? Jak po tym możesz być mężem, przyjacielem, ojcem?”

Wiedział, że odtąd zamilknie na wieki.

Baturyn płonął. Płonęły domostwa, rezydencje, cerkwie i szczątki ludzkie. Słodkawy odór roznosił się złowróźnie w świat. Ocalała jeno siedziba skazanego na śmierć przez Mazepę

Koczubeja, sędzi generalnego, w której za cenę pamiętnej zdrady gospodarza pozostały żywe i całe wdowa po Koczubeju z córką Motrią. Stosownie do rozkazu cara oszczędził je Mienszykow.

Jaśnie oświecony książę lustrował jeńców i rozkazywał – kogo stracić na miejscu, kogo zawlec do Głuchowa na spytki. Byli tam – Czeczel, esaul generalny Hamalija, Herzig pułkownik połtawski. Zbrakło jeno siostrzana Mazepy, pułkownika Andrija Wojnarowskiego. To jedno psuło humor księciu po pracowicie spędzonym dniu.

Pułkownik Nos trącił w ramię Epifaniego, ten jednak stał w osłupieniu, oczy miał szklane jak trup i wzrok utkwiony w pułkowniku jakby go widział po raz pierwszy.

– Kto jesteś? – zapytał.

– A niby kto? Pułkownik wojsk zaporoskich...

– Nie znam cię...

– Rozum mu odebrało! – wzdrygnął się pułkownik. Pchnął w kark Epifaniego i zaprowadził go do domu Koczubeja jak jeńca.

Koczubejowa z córką Motrią, żoną sędzi generalnego Czujkiewicza, który uszedł z Mazepą za Desnę, nie spodziewały się niczego dobrego. Aż do zmięczenia rozbrzmiewał z Honczariwki lament mordowanych ludzi, szyby okien odbijały czerwień pożogi, matka i córka czekały swojej kolei, bo któż w tej zawierusze wspominać będzie zasługi sędzi generalnego, który wydał carowi hetmańskie zamysły – śmierć wszystkich zrówna, i Koczubejowa po raz nie wiada który przeklęła sprawcę wszystkich nieszczęść ich rodziny, a teraz już i Baturyna.

Właśnie dobiegł jej uszu wrzask dzieci i słowa błagań: „Wujku, nie trzeba... mamoo... tato!” i tego już słuchać było niesposób – usta Koczubejowej umilkły na którymś ze słów „Ojczy nasz”; już ani krzyk, ani modlitwy, ani płacz wyrwać się nie mogły z jej gardła i byłyby oniemiała do Dnia Sądu, gdyby nie rozdrażniła jej spokojna, uduchowiona twarz Motri siedzącej na ławie pod ikonami; pobieliała od cierpienia twarz córki wypromieniowała wszystką urodę, jak gdyby miała ona wyciec do

ostatniej kropli i pozostawić po sobie jeno zmarszczki, bo i dla kogo zda się ta uroda, skoro świat ginie; Koczubejowa pomyślała, że córka straciła zmysły, ale Motria spojrziała na nią czystymi źrenicami jak gdyby uspokajała, przekonywała matkę, że śmierć – to nie to co najstraszniejsze, i ów spokój wydarł z gardła starej najgorsze przekleństwo:

– Bodajś tak się wykrwawiła posoką, suko, hetmańska kochanico, tyś jedna winna wszystkiemu!

– A cóżem ja winna, matko – odparła Motria ze spokojem, – że miły był mi hetman i wierzyłam, że zdoła ocalić Ukrainę? Że i on mnie kochał?

– Masz tu jęgo ocalenie! – ukazała Koczubejowa migocącą w oknie pozoęę. – To śmierć dla tej twojej Ukrainy!

– Komuś sądzono przegrać tę wojnę, mateczko. I nie wiadomo jeszcze komu – wycodziła Motria nie patrząc w jej stronę i jakby nie do niej adresując słowa. – To dopiero początek... Wolność nie rodzi się w ciepłe zapiecka, jeno we krwi, aleśmy dotąd jej nie widzieli, nie oglądali z bliska śmierci za wolność...

– To świat się kończy, a ty jeszcze z nim wiedziesz rozmówki! – zajęczała Koczubejowa. – Ech ty, nawiedzona!

– Nie ma tam wolności, gdzie z ludzi robią pokorne bydełko. Ale jeszcze się toczy bój na Ukrainie – ucięła Motria.

Koczubejowa drętwiała z racji owego spokoju córki bardziej jeszcze niż ze strachu: któż to niby – Bóg czy diabeł zesłał na Motrię obłądną wiarę w wolność dla tego przeklętego kraju, co od lat dwustu już ocieka krwią i łzami, i wciąż za darmo, na darmo... Nie wartoż było pogodzić się z losem i spokojnie jeść chleb, który jeszcze rodzi ziemia? A tu przed oczyma niczym pożar błysło zakrwawione ostrze topora i dwie głowy spadły z karków – Koczubeja i Iskry, siwa zaś głowa hetmańska wciąż jeszcze trzyma się na ramionach, i te wąsy obwisłe, i szare zimne spojrzenie spod zasępiionych brwi. Widziadło to położyło kres otepieniu i Koczubejowa rzuciła w stronę córki ostatnie przekleństwo:

– Krew ojca na twoją głowę!

Raptem ktoś załomotał do drzwi, zatargał nimi jakby chciał wyrwać je z zawiasów i na progu stanęli dwaj wysłannicy śmierci. Stara upadła im do nóg.

– Darujcie nam życie, darujcie – przekleństwo Mazepiel

– Pani Koczubejowa, dajcież nam lepiej gorzałki, i podnieście się z podłogi... – usłyszała nad sobą znajomy głos, podniosła oczy i ujrzała stojącego na progu pułkownika Nosa z grona towarzyszy jej męża, obok zaś z obnażoną głową duchownego w sutannie, którego dotąd nie znała: był młody, przystojny, jednakże miejsca pod powiekami jak gdyby powlekało bielmo, z którego prześwitywały zastygłe oczy umarłego.

– Ocalcie nas, mości pułkowniku – bełkotała Koczubejowa unosząc się z klęczek. – Sam żeś się ocalił...

– Uspokójże się waćpani – odparł Nos. – Dawno już ocalono was za tę cenę co mnie dzisiaj... Zresztą dane mi było pomścić śmierć waszego małżonka.

Wówczas podniosła się z ławy Motria. Podeszła do pułkownika parząc go węglami mrocznych źrenic. Zapytała:

– Jakaś waść pomścić? W jaki sposób?

Pułkownik cofnął się o krok jak gdyby stropiony jej gniewnym spojrzeniem, opamiętał się wszakże, dziarsko wystąpił na środek komnaty i parsknął śmiechem:

– Jak? Jakem pomścić? Ano idź aścka, wyjrzyj na dziedziniec, to i zobaczysz!

Podszedł do almarii, otworzył drzwiczki, zdjął z półki butlę z siwuchą, wziął dwa pucharki, nalał, jeden podał ojcu Epifaniemu, drugi wychylił w pośpiechu; ojciec uczynił podobnie; pułkownik nalał po raz drugi i znów obaj wypili; Epifani wykonywał te same ruchy co pułkownik jak gdyby go przedrzeźniał: podnosił rękę, przechylał puchar, tak samo chrząkał i ocierał usta, a kiedy Nos był już pijany i wymachując palcem przed oczyma Motri oznajmił: „Księżę Mien-szykow darowuje wam życie”, powtórzył to również duchowny i wówczas Motria zrozumiała, że wielebny ojciec utracił piątą klepkę, pułkownik zaś podobieństwo do człowieka. Rzekła dobitnie:

– Jak wilkołak błąkać się będziesz po świecie i nigdy nie zaznasz skonania!

Po czym przeniosła spojrzenie na ojca Epifaniego, przypomniała sobie spowiednika Mazepy i zwróciła się doń błagalnie:

– Co ci rzekł przed odjazdem za Desnę? Nie spowiadał się tobie? Nic nie miał mi do przekazania? Musisz wiedzieć! Ani słówka? To niemożliwe!

Epifani nie rozumiał, o co pyta Motria, hetmanowa kochanka, nic doń nie dochodziło, jedynie spojrzenie jej wielkich oczu omglonych łzami odbiło się w jego duszy i tak zostało.

„Tyś również przelewał krew, ojcze?” – pytały oczy Motri.

...O świcie pułkownik Nos obudził Epifaniego, który wstał posłusznie i wyprężył się przed nim jak Kozak na mustrze.

– Zapomnij, co było wczoraj – rzekł tamten.

– Co było wczoraj? – powtórzył ojciec machinalnie.

– Nie pamiętasz... To i lepiej. Mało znieść możesz... A więc tak, ojcze, odtąd jesteś u mnie na służbie, gdziekolwiek cię oczy poniosą. Jakbyś nie chciał słuchać, to powiem, żeś był ze mną w Baturynie: jaka parafia cię wtedy przygarnie? Chyba ja w swojej włości, car nie zapomni przysługi. Ale nieposłusznego nie przyjmę... Nie chciałem krwi, ale jak już za moją przyczyną tyle jej pociekło, to muszę ją nadal upuszczać. Utopić w niej to, co ty z kazalnicy nazywasz sumieniem. Tu nie ma odwrotu. A car krwi pragnie i nieprędko się nią nasyci. Nie pofolguje nam, pojmujesz?

– Ja miałbym przelewać krew? – zapytał duchowny.

„Boś przelał ją już wczoraj” – zabrzmiał mu w sercu głos Motri.

„Ręce mam czyste...”

„Aleś błogosławił jej rozlew niemymi ustami”.

„I za to nie będzie dla mnie zmiłowania?”.

„Nigdy.”

Teraz dopiero ojciec Epifani jak gdyby w świetle błyskawicy uprzytomnił sobie, co zaszło wczoraj. Wydał okrzyk, bo płomień pożogi spalił mu naraz oczy, na chwilę oślepił od tej łuny i jak we

śnie zakrążyła przed nim karuzela drewnianej dzwonnicy, do której główkami pouczepiano dzieci i drgają, drgają nóżętami. Oszło miło go, że widział to i nie ratował ani nie mścił!

– Czemuż to stałem jak słup?!

„A cóżeś mógł sprawić? – w głosie pułkownika zabrzmiało współczucie. – Niby co? Na cóż by się zdała waścina protestacja? Ludowi naszemu nigdy nie trza wyrywać się z podległości. Tak mu lepiej, zaciszniej. Trudzić się będzie statecznie, a strzec go będą opiekunowie i za to wezmą co im się należy, pozostawiając nam do życia chleb i kiełbasę”.

„A ducha też będą odbierać?” – milcząc zapytał Epifani.

„Zabrano ci go, gdyś patrzył na dogorywający Baturyn”.

– A cóż się tam stało? – zapytał Epifani wpadając znów w niepamięć.

– Idź ojciec do obozu Mazepy i zabij go. – rozkazał pułkownik Nos.

Tak ojciec Epifani wyruszył w świat.

## Rozdział drugi

Na początku listopada Roku Pańskiego 1708 nastąpiła raptownie taka sroga zima, jakiej nastarsi ludzie nie pamiętali: rzeki zamarały do dna zamrażając ryby, ptactwo padało w locie, a śnieg trzymał się do pasa.

Epifani ani szukać nie próbował obozu Szwedów, u których miał być również hetman: nad Desną, przy Brodzie Makoszyńskim nie było już ani Karola, ani Mazepy, ktoś wytłumaczył Epifanemu, że wojska sprzymierzonych ze Szwedami Kozaków zajęły Romny, Hadziacz, Wepryk; iść przez takie śniegi dla srogości mrozu nie poważył się ojciec odziany jeno w sutannę i po sforsowaniu Sejmu po lodzie ruszył Traktem Głuchowskim, a kiedy we wsi Stawki noc go zaskoczyła, zaprosił się do chaty na skraju.

Samotna młódka ugościła przystojnego mniszka myśląc, że w pać wybrał się nie w porę; wykapała go, zatroszczyła się o niego napomykając przytem, że w parafii brak popa, Moskale zabrali byli ojca Danyła na męki do Głuchowa, boć sprawował w cerkwi obrzędy, gdy Kozacy od Mazepy stali we wsi kwaterą i przychodzili na nabożeństwa, no to ty, mnichu, sprawiać będziesz posługi, bo nie ma kto teraz pogrzebać, ani ochrzcić, ani pobłogosławić stadło...

Młódka – może wdowa albo miejscowa swawolnica – dość ponętna i z racji tych swoich ponęt uchroniona od wstydu, szykowała Epifanemu posłanie, a piersi jej same wybiegały ze stanika, nie będąc w stanie uwięzić ich tam niczym napęczniałych pąków, sama rozpiniała gorsecik, sama ściągała przez głowę ciasnochę, i oślepiające ciało niczym rozpalona do białości lawa przybliżało się doń, parzyło, on zasię, Epifani, leżał jak zeschnięta szczapa i ani żar, ani nawet pospolita żądza nie wzburzyła jego ciałem: budziło to zdumienie i przestach, jako że jeszcze nigdy nie widział nagiej kobiety, modlitwami i postem odpędzając grzeszne majaki, jakie nachodziły go nocą i zadawały błogie udręki; w myślach gorąco pożądał tej kobiety, całował ją, bowiem ładna była ponad miarę, ale chłód pozostał w nim bez zmiany i nie mógł się pobudzić do zespolenia. Około północy po długiej męczarni, jaka przejęła krewkie ciało młódki, ta wstała, ubrała się, usiadła przy nim i zapytała ze współczuciem:

– Możesz ty święty, czy jak?

– Nie – odparł Epifani, kryjąc z niesamowitego zawstydzienia głowę w poduszce, – prędzej chyba grzeszny...

– Czymżeś zgrzeszył: grabieżą, mężobójstwem, gwałtem?

– Nigdy nic takiego nie uczyniłem... Chyba nie... Nie pamiętam, czegoś nie pamiętam, ale wiem, że coś straszego działo się ze mną, może to we śnie – ogień, trupy, krew, a ja stoję – i ręce mam bezsilne niczym pudowe ciężary, a myśli skuliły się przerażone... Co to się ze mną dziać mogło?

– Nic takiego. Zauroczony jesteś od urodzenia.

– Chyba tak...

Rankiem młódka nakarmiła Epifaniego i uśmiechając się mściwie, rzekła:

– Nie masz co u mnie mieszkać. Idź sobie na rozstaje, a stamtąd do czwartej chaty na prawo, gdzie mieszka stara Kylyna. Ma już po osiemdziesiątce, dożywa swoich lat w samotności, umrze niezadługo, to zmówisz za jej duszę wieczne odpoczywanie i pozostaniesz w ogrzanej chacie. Chybaż nie zapomniał słów modlitwy?.. Oj, żal cię: taki głądysz, a przez robaka stoczony...

Epifani przytłoczony wstydem udał się tam, dokąd skierowała go młódka, ubrawszy go na drogę w odzienie po mężu, więc jednak była wdową; był zdruzgotany jej urodą i własną niemocą, i ani rusz nie pojmował, skąd ta niemoc go naszła, przecie śniły mu się zarazem grzeszne sny, przed którymi się ratował modlitwami i postem.

Wiedział, że musi znaleźć Mazepę i zabić go, jak mu pułkownik Nos zapowiedział. Ale gdzie teraz ten pułkownik – diabli go wiedzą, może nigdy już z nim się nie spotka, jednakże wola jego była tuż przy nim, szła z nim i tropiła go, aż Epifani zachodził w głowę, dlaczego jej uległ, czemuż to musi szukać hetmana, swego dobrodzieja i śmierć mu zadać? Ależ nie, nie! Epifani znajdzie Mazepę, upadnie przed nim na kolana i przyzna się, że odebrano mu wolę, niech zdejmie zeń władcą ręką to zauroczenie i wytłumaczy, dlaczego pułkownik Nos tak się nań wziął.

Szedł i wysilał pamięć, by przypomnieć sobie, co z nim było takiego: pożoga, krew i trupy, on zasię stoi bezsilny, podobnie martwy wewnątrz jak wczoraj wobec kobiety i w myślach jego nie ma żadnego prześwitu, jeno skurcz lęku. Sen był to czy jawa – kto mu wyjaśni? Czy wzięło się to z wizji Apokalipsy Janowej, którą czytał tylokrotnie, wzdrygając się zawsze nad strasznym losem miejsca Har-Magedon, lecz odczuć boleści człowieczej opisanej w Apokalipsie nigdy nie potrafił?

„A tak, skoro jesteś letni, i ani zimny, ani gorący, chcę cię wyrzucić z mych ust”.



Za co taka kara na mnie, Boże? Przywróć mi pamięć i duszy mojej świątynię!

Stara Kyłyna ucieszyła się na widok Epifaniego niczym dawno oczekiwanego wybawcy: cerkiew przecie stoi pustką, mężczyzn zabrakło i z tej racji ona jest starostą cerkiewnym. „Chodźmy, otworzymy i poświęcimy, niech bodaj kobiety i dzieci przyjdą, by się pomodlić za dusze męczenników z Baturyna...

– Z Baturyna? – powtórzył z pytaniem w głosie Epifani, ale natychmiast zamilkł widząc, jaka niezmierna żałość zorała twarz starej kobiety – i znów niczym we śnie ujrzał Kozaków rozkrzyżowanych na belkach, których czerwone od płomienia diabły ciskają z murów do rzeki; chciał zapytać, co takiego stało się w Baturynie, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Milczał, gdy stara Kyłyna otwierała cerkiew, posłusznie wziął z jej rąk naczynko z wodą święconą, nurzał kropidło w naczynku, by poświęcić kruchtę, woda w naczynku chlupała, ale kropidło po wyjęciu pozostawało suche i nie mógł zrozumieć, czemu się tak dzieje.

Do cerkwi wstępowały kobiety, szeptały modlitwy, i klękały przed ołtarzem; Epifani otworzył wrota królewskie, uniósł dłoń do góry, by rozpocząć nabożeństwo, ale nie mógł przypomnieć sobie formuł liturgicznych, stał niemo z uniesionymi rękoma, kobiety zaś myślały, że ojciec duchowny odprawia cichą mszę, i modliły się gorliwie.

Lud, uradowany, że we wsi pokazał się duchowny, nadciągał tłumnie do cerkwi: ktoś tam chciał zamówić panichidę za poległych w bitwach mężów i synów, inny dotąd nie ochrzcił potomka, a ktoś tam żyje na wiarę nie mając gdzie zawrzeć ślubu.

Epifaniemu przyniesiono dziecko do chrztu, pochylił się nad pieluszkami, by je namaścić olejem, a dziecko zakrzyczało i ucichło na zawsze; podszedł do młodych, którzy stanęli do ślubu, a ci w mig się rozbiegli w przeciwne strony; Epifani znów uniósł ręce przypominając sobie mozolnie słowa modlitwy, ale zamiast nich z ust jego poczęły się wyrwać klątwy i bluźnierstwa.

Na to wraz rozkrzyczeli się ludzie: „Diabeł, haman, zabójca, wypędźcie go ze wsi do cara w Moskwie!” Wyprowadzono go z cerkwi i popędzono traktem na Głuchów, ciskając za nim oblodzonymi grudami, młódka zaś, co się skalala zetknięciem z siłą nieczystą, tegoż dnia rzuciła się w przerębel na stawie.

Epifani szedł po omacku Traktem Głuchowskim, chciał płakać z żalu i poczucia krzywdy, ale łez mu zabrakło, chciał się pomodlić, ale zapomniał słów modlitwy, dźwigał na sobie brzemię czyjegoś najcięższego przekleństwa i nie wiedział, dlaczego mu jest sądzone wyrządzać jedynie zło.

„Bóg wypuł mnie ze swoich ust, ale zostawił nadzieję” – słyszał, jak ktoś obok wypowiada słowa Apokalipsy: „Radzę ci kupić u mnie złota w ogniu oczyszczonego, abyś się wzbogacił, i białe szaty, abyś się oblókł, a nie ujawniła się haniebna twa nagość”.

„Gdzież ja kupię złoto i białe szaty” – płakał Epifani suchymi oczyma idąc traktem do Głuchowa, w którym stała kwaterą armia moskiewska, zaświeciła mu w sercu ostatnia nadzieja, że dopomoże mu car, skoro własni ludzie wypędzili go i przekleli, że przy monarsze wróćą doń słowa modlitwy, skoro wśród ludzi musiał je utracić.

Epifani nie miał dotąd sposobności bywania w Głuchowie i nie było mu to potrzebne jako spowiednikowi Mazepy. Starożytny gród Wasylków, który przed najazdem Mongołów liczył dziesiątki cerkwi; wszystkie drewniane zostały spalone, kamienne zaś zbezczeszczono i zburzono, ruiny owe dawno pozapadały się w ziemię, jedynie osty i pokrzywy na omszałych bryłach świadczyły, że niegdyś stały tu budowle – i tak gród Wasylków zatracił się w głuszy i przeobraził w osadę, którą nazwano Głuchowem. Po dziś dzień nie wróciła do dawnej świetności i liczyła nie więcej niż pięćset domostw, wśród nich piętrową kancelarię pułkową z facyją, klasztor pod wezwaniem Piotra i Pawła oraz cerkiew Trójcy świętej z pięcioma baniami i złotym krzyżem – tyle całej miejscowości, gdzie znalazła siedzibę kancelaria polowa Piotra I, który

zanim ogłosił Głuchów ostatnią stolicą hetmańszczyzny, postanowił zrosić zapomniany zakątek krwią Kozaków.

W dniu, kiedy Epifani krusząc zamazłe grudy starymi chodakami i zawijając się przed zamiecią w podarowany kozuch pokonywał drogę wydeptaną kopytami koni, Głuchów nie był jeszcze stolicą, ogłosił się nią jutro, gdy car zamianuje nowego hetmana. Chcąc, by ten podwładny władca znał zakreślone sobie granice, car wezwał do poselskiej kancelarii połowej wiernych mu pułkowników: Iwana Skoropadskiego ze Starodubu, czernihowskiego Pawła Połubotka, perejaślawskiego Tomarę i Żurachowskiego z Niżyna, by na własne oczy zobaczyli rozprawę z buntownikami i nigdy już nie ulegli pokusie swawoli; wybierze spośród nich tego, co zdjęty strachem i pokonany przez własną nicość zagwarantuje, że nigdy nie stanie w obronie pokrzywdzonych, wyrzeknie się myśli i rojeń o niezawisłości i rzucając własnego ducha na kolana żywić będzie jeno respekt dla władzy, co nie zna prawa nad sobą i czyni, co się jej żywnie podoba.

Do Głuchowa przybył też pułkownik mirhorodzki Danyło Apostoł, który uciekł od Mazepy, gdy zasłyszał o zagładzie Baturyna, a także pułkownik lekkokonny Hnat Hałahan z Siczy, którego na stronę Piotra skłonił Iwan Nos. Ten ostatni zdołał się już dosłużyć całkowitego zaufania zwycięzcy, a także listu pochwalnego za usługi świadczone w Baturynie.

O tym wszystkim nie wiedział Epifani i nigdy się nie dowie, kto z dobrowoli, a kto z namowy lub strachu ofiarował carowi służby, jego zaś przywiodła tu desperacja: odrażony i wypędzony przez ludzi, którym nie wiedzieć czemu jego słowa i ręce wyrządzały zło, znalazł jedyną drogę – bity gościniec do Głuchowa, bo na inne drogi, którymi niegdyś chadzał, niepamięć odmówiła powrotu.

Trakt zasię stawał się coraz czarniejszy od końskiego łajna: śniegowa kasza, zmieszana z czarnoziemem, tryskała fontannami w górę, zatykała oczy i nos, boć przeszło tu nie mało pułków dragońskich i kozackich. W Wołokitnym nad Jeśmanią, która

białą wstęgą lodu tężała między brzegami, powstrzymawszy swój napływ do Sejmu, zbiegały się drogi poddanych, którzy na kłaśnięcie carskiego harapa ciągnęli ze wszech krańców przerażonej Ukrainy, wszyscy biegli do cara po łaski i na sąd, choć nikt ich nie pędził prócz trwogi nasłanej przez władcę, który wedle swej woli czynił z poddanego ludu co mu się zdało stosowne: męczenników, zdrajców, służalców, niewolników, rządców – to wszystko było jego.

Epifani przyśpieszył kroku, bo już na cynowoszarym urwisku poprzez zamieć prześwitywały kopuły soboru, przyciągały go jak tonącego w wirze korzeń pływający: tam znajdzie ostoję, tam rozporządzi nim car, bo już sam Epifani rządzić sobą nie może, wolność odebrał mu straszny pułkownik, a ze wszystkich strachów najbardziej nękało go przecucie zetknięcia z Iwanem Nosem, który przeklęty przez Motrię snuł się obecnie w postaci wilkołaka i był straszniejszy nawet od księcia Mienszykowa: tamten odbierał życie, ten zasię pamięć.

Jednakże w duchu Epifaniego nastąpiła osobliwa zmiana, gdy się znalazł na zatłoczonym placu przed piętrowym budynkiem z facjatą, w którym się mieściła obecnie kancelaria połowa cesarza, i dojrzał go z daleka. Z miejsca rozpoznał w krępej figurze z wilczą głową pułkownika Nosa i zdziwił się, że odeszła go obawa przed spotkaniem. Tyle, że w dalszym ciągu mu podlega i za nic na świecie nie ponosi odpowiedzialności.

Na placu stali wieśniacy, Kozacy, dragoni, były tu kobiety z dziećmi i starzy dziadkowie: wszyscy tłoczyli się, przepychali, pogadywali półgębkiem. Epifaniego nie przepuszczano, bo wyglądał na żebraka. „Dokąd się przepychasz, tam jest car, widzisz, siedzi w futrze przy stole tam przed gmachem, w kapeluszu trójrożnym sam car, przy nim z jednej strony Skorniakow, komendant Głuchowa, który osobiście zarządza kaźnią, a z drugiej księżę Mienszykow, tam obok nasi pułkownicy, jeden z nich zostanie teraz hetmanem. Tamten przygarbiony i wymizerowany to Skoropadski, a tam stoi gładki jak beczułka – to Połubotok, a ty

co niby – do nich czy do samego cara? Widzicie go, chce iść do cara; a nie chcesz przypadkiem tam, bliżej rzeki, tam są już i pale białe, i koło tortur, i cęgi, i topory. Może chcesz zgłosić się na mistrza, no to idź, idź, między nami nie ma ochotników; patrzcie go, jednak go ciągnie!”

Epifani zaś rzeczywiście przeciskał się do stołu, za którym zasiadał sąd cesarski, jak magnes działała nań postać z wilczą głową; ta stała się raptem ludzką, błysnęły i przymrużyły się oczy. Pułkownik poznał Epifaniego i skinął nań; Epifani poczuł ulgę, obawa pierzchła, a pozostała pewność, że wszystko co teraz się stanie, stanie się z woli i z winy pułkownika Nosa, on zaś będzie jedynie świadkiem i wykonawcą.

Car badał komendanta Baturyna, pułkownika gwardii hetmańskiej – Dmytra Czeczela.

– Mów łotrze – dudnił car przeszywając wzrokiem ofiarę – odpowiadaj, kiedy po raz pierwszy postanowiłeś zdradzić!

Pułkownik Czeczela – bosy, w podartej koszuli, z obnażoną głową – stał na śniegu i mroźnym wietrze skostniały i obojętny na to, co stanie się z nim wkrótce. Oczy cara wytrzeszczały się i rosły z hamowanej wściekłości, która rozsadzała go od wewnątrz; ich zimny blask nie zapowiadał względów ani zmiłowania, ale i Czeczela nie miał już lęku w sobie; wąsiki carskie, kołące i podkreścone do góry, podskakiwały zabawnie, gdy niepohamowana wściekłość wprawiała w dygotanie górną wargę monarchy; olbrzymiego wzrostu władca przechylał się nad stołem, wsparty oburącz o jego przeciwny kraniec, i wydawało się Czeczelowi, że ten wszechwładny wielkolud raptem przewróci stół i wpije mu się w gardło rękoma – co nie było wykluczone, jako że pułkownik wiedział o carskim upodobaniu do dręczenia ludzi, zdawał też sobie sprawę, że uosabia w tej chwili nie Czeczela, o którym car dotąd nie słyszał lecz hetmana Mazepę, który dostał nieograniczonego zaufania monarchy i wywiódł go w pole; Mazepę car nie pochwycił i nie pochwyci, przeto wypadnie byłemu komendantowi Baturyna ponieść męki za własne i Mazepowe przewiny wobec cara.

– Nigdy nie zamierzałem jakiegokolwiek zdrady, wasza wysokości – odparł ze pokojem.

Poderwała się górna warga monarchy i tak stężała, aż jej wykrzywione końce dosięgły szerokich nozdrzy, wyszczerzyły się białe kły, i Epifaniemu przywidziała się wilcza głowa nad kołnierzem bobrowego futra; przeniósł oczy na pułkownika Nosa – ten również miał wilczą głowę, spojrzął na Mienszykowa, co też stawał się wilkołakiem... Epifani przyłożył dłoń do ust i z ulgą wyczuł, że sam jeszcze nie stał się wilkiem: zemdliło go ze strachu, jak to on z ludzką twarzą uchowa się wśród wilkołaków, przecie rozszarpie go i pożre zgraja drapieźców, jeśli nie upodobni się do tych, którym sam się oddał, by mieć spokój i zdjąć z siebie odpowiedzialność.

Jednakże widziadło trwało krótką chwilę: górna warga cara opadła kryjąc rzadkie zęby, jedynie wyłupiaste oczy bez powiek smagały zawzięcie pułkownika Czczela. Piotr wycedził:

– A jak nazwiesz swoją zuchwałą odmowę wpuszczenia jego ekscelencji księcia Mienszykowa do Baturyna?

– Wykonywałem rozkaz hetmański i gdybym postąpił inaczej, wówczas dopiero godziłoby się mnie nazwać zdrajcą. Skoro mowa o nieprzyzwolitości postępów politycznych, to zdrajcą zwać by należało pierwiej ciebie, carze, boś pierwszy pogwałcił ugodę zawartą między naszym bat'ką Chmielem i twoim rodzicem Aleksym, wprowadzając swoje wojska na popas na Ukrainie, na grabież ludu ukraińskiego i targnąwszy się na nasze od wieków zawarowane swobody, umyśliwszy przemianować pułki kozackie w dragonię!

– Na pal z nim! – zawyrokował car.

– Nie spodziewałem się po tobie, co pijesz krew ludzi, inszego wyroku – z niezmiennym spokojem odparł Czczel. – Zginę, ale moja męka zda się na coś ludowi Ukrainy. Męczennik groźniejszy będzie dla najeźdźcy od żywego obrońcy. Tym co przeżyją zostawi myśl o zemście.

– A ja ją, zatraceńcze, we krwi utopię! Myśleć dano żywym,

nie umarłym! – Piotr skinął ręką w stronę jeńców kozackich których otaczali dragoni, każąc wyprowadzić kolejnego na rozprawę.

– Ożyjemy jako mściciele w potomkach! – zawołał Czeczeli, wleczone już przez oprawców nad rzekę. – Wy zaś w swej zjadłości sami się żreć będziecie jak te pająki!

Cara ogarnęła wściekłość: walił w stół pięściami ciężkimi jak bochny, wyrzucał z siebie słowa przepojone nienawiścią, które Epifaniemu układały się w nieustające przekleństwo dla jego ojczyzny:

„Żywe trupy, stado nieme zostawię na tej buntowniczej ziemi jako bydłeta nad pustym żłobem i będę im rzucać garście chwastów, aż spokornieją, na kopułach cerkwi miast krzyży zatknę kańczugi i lękać się będziecie szelestu liści! Podsunę wam pod pyski koryta z dymiącą osypką i nie będzie dla was nic droższego ponad to! Zapomnicie o wszystkim, czym żyliście dotąd: zwyczajach waszych przodków, mowie rodzinnej, odżegnacie się od waszych sztandarów i modlitw – wszystko oddacie za smakowite pójło w korytach!”

Epifani przymknął oczy wsłuchując się w straszliwe prorocstwo, które dobijało beznadziejnością jego ukrzyżowanego ducha, nie śmiał spojrzeć na srożącego się cara, ale gdy zmiłkły klątwy, otworzył oczy i ze zdumieniem ujrzał na twarzy Piotra kamienny spokój, groźniejszy stokroć od tego, co słyszał: car nie szafował groźbami, lecz obietnicę swoją wprowadzał w życie.

Czeczeli już nabijano na zaostriżony kół, ale torturowany nawet nie jęknął i dopiero, gdy wicher grozy pochylił ludzkie głowy, Czeczeli zakrzyczał wijąc się w mękach:

– Ludzie, opamiętajcie się, tylu was, nie stójcie jak barany, zabijcie tych wielkorządców, co przyszli tu rządzić wami!

Ale nikt nie ruszył się z miejsca, lud w oczach przeobrażał się w nieme stado; komendant Skorniakow wyprawiał Kozaków jednego po drugim na męki i śmierć, nieludzkie wycia dobiegały znad Jeśmani; na carskie machnięcie ręką profosi porywali

skazanych na miejsce kaźni, oprawcy trudzili się w pocie czoła: łamali kołem, wbijali na pał, ucinali nogi i głowy na rusztowaniu, wrywali nozdrza i Epifani patrząc na to przypominał sobie, że gdzieś już widział podobne sceny i że wtedy kurczył się z lęku, ale teraz lęk ustał, w sercu zapanował otępiały spokój i pokora.

W trakcie tych zajęć car nie spuszczał z oczu pułkowników, których był wezwał na wybór hetmana, i trzech z nich, a zwłaszcza Iwan Skoropadski, skulili się zgoła, mało co nie przywarowali do ziemi, jedynie Pawło Połubotok stał prosto wypinając brzuch i wytrzymywał carskie spojrzenie. Car miarkował, który z nich się nada na hetmana, i już wiedział, że nie Połubotok, a kogo zamianować – też jeszcze nie rozstrzygnął: który z nich pierwszy się znieci na to stanowisko?

Nie idą? No to mistrze, wykonujcie wasze rzemiosło, aż któryś tam ruszy się z miejsca! Carska ręka tym razem nie uniosła się do końca – któż to ten nie proszony, stojący obok Iwana Nosa?

– Rządź nami, najjaśniejszy monarcho! – nieznajomy padł na kolana przed Piotrem. – Na co nam ci nasi wodzireje? Nie trza nam ani Mazepy, ani Wojnarowskiego, ani Orlika, ani Hordijenki, jeno ciebie, najsprawiedliwszego. Niech nie uciskają nas swoi, obcy bat mniej dokucza: nie ma wtedy żalu ani zazdrości... A w czymże oni byli od nas godniejsi? – Suplikant uniósł głowę znad ziemi i jął mówić śpieszniej, jakby w obawie, że car przetnie to jego szczerze wyznanie: – Mówi pułkownik lekkokonny Hnat Hałahan z Siczy. Wyprowadzę twoje wojsko na gniazdo żmij, co już cię zdradziły. Ataman koszowy Kost' Hordijenko wyprowadził siedem kurzeni na spotkanie z Mazepą, a reszta gotuje się do wymarszu. Postąp że mi włość po Hordijence!

Pojaśniała twarz carska i już Piotr w myśli zgodził się mianować hetmanem Hnata Hałahana, ale tutaj zaszała niespodzianka. Z ciżby do stołu przedzierał się starszyna kozacki, który też ukląkł i przedstawiając się jako chorąży pułku niżyńskiego Zabięło, upraszał dla siebie wieś Sewołoż, co pozostała po setniku



Mazepy Netrebie, któremu przed chwilą ucięto głowę na rusztowaniu.

– Nie ma go już, nie ma, oddajże mi Sewołoż, najjaśniejszy panie!

Po czym jęli przybiegać następni: był tutaj protopop Zarucki, który prosił o przysiółek Łyzuniwkę, należący do ojca Bystryckiego, co na swojej plebanii przyjmował samego generała Meierfeldta, i setnik Bandurko wydał karczmarza, który częstował okowitą żołnierzy szwedzkich; tylko patrzeć, jak się ustawiła do kancelarii poselskiej nie kończąca się kolejka z suplikami o młyny, stawy, łąny i pasieki. Donosami za nie płacono: ktoś tam na setnika łochwickiego Jaremienkę, który gromadził dla Mazepy wiwendę, ktoś inny na Bogu ducha winnego mieszczanina głuchońskiego Taraszczenkę... Toć nie prostacy z nich, co do trzech nie zliczą – dawno zapachniał im żłób carski. Z takimi trzeba się mieć na baczności, bo rozkradną nie tylko Małorosję, ale i całe imperium...

Jednakże Piotr odzyskał wenę i zawołał:

– Skorniakow, potrząśnij no Czeczalem, może jeszcze nie uświerkł, niech popatrzy, jak walecznie mszczą się za jego mękę ziomkowie!

Nie zdążył jeszcze ruszyć się z miejsca komendant, jak z tłumu pojmanyh i przywiedzionych na kaźń wyrwał się ojciec Danyło ze Stawków i stając przed carem wypowiedział:

– Życiem swoim przyplacę to urągowisko i powiem: carze niegodziwy, obróciłeś Baturyn w perzynę, wygubiłeś ludzi, nawet nad dziećmi nie miałeś zmiłowania, to i my się nie zarzekamy po kolana brodzić we krwi moskiewskiej, bo za zburzony Baturyn powstanie cała Ukraina.

Car się roześmiał i powstrzymał sług, co już się rzucili na duchownego.

– Zostawcie go. Niech dzisiaj przyjrzy się kaźniom, później łamać go będą kołem, aż wycofa swoje obelgi, a jutro poprosimy go, by ogłosił w soborze Trójcy Świętej klątwę na Mazepę!

...Nazajutrz, 12 listopada 1708 roku z dzwonnicy od Trójcy Świętej zakołatały dzwony zwołując pospólstwo Głuchowa na plac, by wybrało nowego hetmana.

Tych co pozamykali się w domach, przerażeni wczorajszymi egzekucjami i szubienicą, którą przy okazji ustawiono na placu przed cerkwią, dragoni wyginali na siłę, nazbyt opornych brano w łyka i dołączano do gromady pojmanych Kozaków i starszyny, których nie zdołano stracić w przeddzień, i popędzono wszystkich do Łebedyna na dalsze śledztwo i tortury.

Car nakazał sprowadzić torturowanego wczoraj ojca Danyła, który miał przed nabożeństwem przekląć Mazepę. Oprawcy rozgłaszali, że pop wzięty na dyby dał się przełamać.

Przyprowadzono obłóconego w ornat i stułę nieszczęśnika, który ledwie trzymał się na nogach; Piotr poklepał ojca Danyła po ramieniu, pokiwał głową, mówiąc: „Bądź rozsądny, ojcze, widzisz przecie, że wszystko co żyje, poddaje mi się lub ginie, a ty żyć będziesz za dwa jeno słowa „anathema Mazepie” i od ciebie weźmie początek w cerkwi nowy ryt lojalnego duchowieństwa, który przetrwa wieki i umocni w ludziach wiarę w sprawiedliwość carską, przekona ich o daremności buntu. Tylko te dwa słowa, ojcze.”

Książę Mienszykow czytał przed zebranymi manifest cesarski, który wszem i wobec oznajmiał, że żaden naród pod słońcem nie może się szczycić takimi wolnościami i przywilejami jak małosyjski, bo ani jednego grosza w kraju małosyjskim nie nakazujemy brać do skarbu, natomiast miłościwie troszczyć się oń będziemy, broniąc go od najazdu bisurmana, a także od łapczywości starszyny.

Wtedy to car zwrócił się do starszyny kozackiej z zapytaniem, kogo by chcieli mieć hetmanem. Milczała starszyna i głucho milczał lud, ktoś jeno, a był to ojciec Danyło, rzekł cicho, westchnąwszy: – Połubotka albo nikogo...

Car uśmiechnął się z satysfakcją, boć to był akt pokory ze strony niepokornego, rzekł przeto:

– Z Połubotka może wyrósć nowy Mazepa... – Spojrzał spode łba na postawnego pułkownika czernihowskiego, który nawet teraz stał dumnie i wytrzymał carskie spojrzenie. – Nie można wybierać Połubotka, nazbyt jest przebiegły. Wybierzcie raczej Skoropadskiego. Ale wpiery nim pobłogosławimy nowego hetmana, trzeba powiesić zdrajcę.

Tłum jęknął i zafalował: czyżby pojmano Mżazepę? Ależ nie, służy carscy przydźwigali na plac kukłę na podobieństwo Mazepy z orderem świętego Andrzeja na piersi, zrzucili jej pętlę na szyję, powlekli po majdanie i powiesili na szubienicy.

– No, jak tam klątwa? – zakrzyczał car na Danyłę.

Ojciec Danyło obrócił się ku Piotrowi, chwilę wpatrywał się w jego wybałuszone zimne oczy, po czym podszedł do szubienicy i stanął pod nią obok kukły.

– Przeklinam cię, carze – wypowiedział znękanym głosem, zrzucając z siebie stułę i rewerendę. – I wiedz, że za Baturyn powstanie cała Ukraina!

Piotr przybladł i ociężale, zgoła niemrawie, jak pokonany w pojedynku gladiator, skinął dłonią. Ojca Danyła w białej szatce wyprowadził z placu Skorniakow i nad rowem przydrożnym własnoręcznie uciął mu głowę.

Stropił się car, przedstawieniu groziła kłapa. Raz jeszcze przyszedł z wyręką swojemu suwerenowi pułkownik Nos. Przyprorowadził do cara jakiegoś obszarpańca i rzekł:

– Najjaśniejszy panie, oto skruszony spowiednik Mazepy: on to dopełni klątwy.

Epifaniego śpiesznie obłóczono w rewerendę, nałożono mu stułę na szyję i podprowadzono do szubienicy, na której wisiła kukła Mazepy. Spojrzał na tłum i dostrzegł w nim setki wilczych łbów, ukrył twarz w dłoniach i wykrzyczał jakieś słowa. Car przyjął je za słowa klątwy. Epifani zaś bezustannie powtarzał słowo Har-Magedon, po czym niesamowite wycie wilków zatrzęsło całą okolicą.

## Rozdział trzeci

Okryło się Dzikie Pole puchatą ostnicą, kraśnym czerńcem i zielonym modrakiem, rozemdlało nad stepem skwarne lato i rzeka Czuhajka, co wychynęła z leśnego parowu i podmyła wzgórek przypominający ogromną mogiłę, tłukąc weń raptownie, jak gdyby chciała przebić go na wylot, by nie błąkać się zakolami po stepie – spłycała wreszcie i ze zgryzoty ryczy nad nią szurpaty buhaj; ziemne zajączki – skoczki stepowe wychylają łebki z nerek, ruszają wąsikami, łowią prognostryki ochłody, której wciąż nie ma; w chłodzie podniebnym krążą orły stepowe bacznie wypatrując łupu i w rozlewiskach Czuhajki czajka kwili skargliwie.

Wszystko to widzi i słyszy mnich Epifani. W celi eremu, którą sam sobie wyźłobił we fliszowatym brzegu nad Czuhajką, stoi ujmując dłońmi kraty okienka, jak gdyby pragnął je wyważyć, chociaż sam wprawiał je w ściany otworu: napiął się cały jak gdyby chcąc się wyrwać z cieśni eremu, chociaż się sam w nim obwarował.

...Przez srogą zimą, dżdżystą wiosną i upalne lato, od wsi do wsi, z miasta do miasta przebijał się Epifani z Głuchowa do Połtawy, prosząc o jałmużnę i nocując tam, gdzie go noc zastała: w oborze czy w chacie albo po prostu w polu, niekiedy na dłużej zatrzymywał się w noclegowisku klasztornym, a później ze starcami, których sporo wędrowało po Ukrainie, skręcał w stronę odpustów, kiedy to można było nieźle się przeżywić, ale najczęściej szedł sam, bo żebrak miejsca zagrześć nie może – musi iść – to jego staranie i żniwo.

Epifani z nikim nie wdawał się w rozmowę i za niemowę go miano. Nikt go nie przepędzał, ale i nie zatrzymywał, a gdy tylko zostawał sam, zewsząd obiegało go wilcze wycie i równocześnie słyszał rozkaz pułkownika Nosa: „Zabij Mazepę, zabij Mazepę!”, szedł więc dalej śladami wojsk szwedzkich i kozackich, bo inaczej nie mógł postąpić – całe jego ludzkie jestestwo podlegało obcej woli, spod której wyzwolić się było niesposób.

Zdawało mu się w Głuchowie, że już się wyzwolił wołając pod szubienicą z zawieszoną kukłą Mazepy „Har-Magedon” i z uczuciem ulgi czekał, że lada chwila spadnie nań ostrze topora, który dopiero co ściął ojca Danyła; lęku już nie czuł, pragnął jedynie umknąć od tego pułkownikowego zauróczenia, że już na zawsze tkwić będzie w złu, ale ciżba zakrzyczała za nim „anathema!” i tak znów się do niego przyczynił, jako pierwszy przeklinając Mazepę.

Zawył z rozpaczy, bo wyczuł palcami na twarzy wilczą paszczkę i pojął, że już nigdy nie wyrwie się z niewoli u wilkołaków, rzucił się do ucieczki z placu, ale przychwycił go za fałdy Iwan Nos i rozkazał:

– A teraz idź i zabij Mazepę!

– Przecie mnie nikt nie uczył zabijać! – zapłakał Epifani przypadłszy mu do piersi.

– Umiesz patrzeć, jak zabijają, teraz się odważ wbić ostrze.

W lipcu 1709 Epifani znalazł się pod Połtawą. Nie słysząc już wycia wilków sądził, że umknął spod nadzoru pułkownika, zagubił się w zawierusze wojennej: maszerują pułki, żołnierze sypią szańce, zakładają biwaki, rychtują działa, słysząc szczęk oręża... Gdzieś tu musi być Mazepa, jego protektor, powie mu, że wysłano go z misją zabójstwa, niech się pilnuje; pułkownik Nos z pewnością nie jednego Epifaniego wysłał z podobną misją. Radość wobec możliwości oczyszczenia się z winy ogarnęła go bez reszty, wyzna wszystko Mazepie, i ta spowiedź przywróci mu pamięć: cóż on takiego uczynił, że został bezradnym świadkiem zła, dlaczego sam je wyrządza, choć tego nie chce?

Ale oto sam jaśnie wielmożny hetman wychodzi z namiotu, a z nim wraz młody człowiek – toć przecie Karol! Idą w stronę Worskli; niechże waść poczeka, mości hetmanie, niechże waść poczeka, zali nie poznaje pan swego pupila, swego spowiednika! Mazepa nie słyszy, idzie dalej, jednakże na wołanie Epifaniego obrócił się Karol i wówczas pocisk posłany z linii moskiewskich trafia w kolano króla...

„Cóżem ja uczynił, cóżem ja uczynił, przeciwnie tego nie chciałem!” – zatargał kratami okienka mnich Epifani.

Poprzez okienko przeblýskuje toń – jezioro utworzone przez rzekę pod skałą. Zejdzie tam stromą ścieżką dopiero pod wieczór, by zacerpnąć dzban wody i może zdarzy mu się ujrzeć z bliska białe łabędzie, co niekiedy przylatują nad modre jezioro – czyste i niebiańskie; za każdym razem, gdy widzi je przez okienko, nadzieja aż do bólu przenika mu serce, że razem z nimi przyfrunie czy to zbawcza nowina, czy duch oczyszczenia; podkłada się ostrożnie, by ich nie spłoszyć – może jak się do nich, nieskalanych, przybliży, coś wówczas się stanie? Jednakże łabędzie, głośno łopocąc skrzydłami, uleciały do nieba i Epifani wie, dlaczego się go lękają: zło wszak ze sobą przynosi.

Nie ma dziś łabędzi. Epifani odwraca się od okna i postępuje w głąb wąskiej celi, w której stoją dwa pniaki: mniejszy do siedzenia, większy zaś jako stół; na stole kałamarz z inkaustem, pióro i jeszcze nie zapisany papier. To dar od Nicolae – ihumena monasteru w Namat.

...Po zwycięstwie nad Szwedami Piotr wyprawiał pijatykę, świętując nadspodziewaną wiktoryę: szczęśny traf mu dopomógł. Rannego w nogę króla obnoszono na improwizowanej lektyce po polu bitwy, nawoływał w malignie: „Żołnierze, król jest z wami!”, ale to nie wiele pomogło: Szwedzi, którzy zwykli oglądać rezolutnego swego wodza zawsze na czele, rozbiegali się w popłochu i głównodowodzący operacją połtawską hrabia Renschildt dostał się do niewoli. Pijanego cara, który na bankiecie raz po raz wznosił kielich to za waleczne pułki, to za „swojego brata” Karola XII, otrzeźwił Mienszykow dopiero na wieczór i wówczas to Piotr wysłał księcia w pogoń za Mazepą.

Resztki armii Szwedów i Kozaków pierzchały brzegiem Worskli do jej ujścia. Ranny Karol i chory Mazepa jechali na przedzie w jednej karocy; hetman, wsparty na poduszkach, zdawał się być obojętny na wszystko, co zaszło, i widzieli wszyscy, że nie wiele w nim życia zostało. Wodził nieprzytomnymi oczyma po

twarzach Kozaków podążających za karocą konno i pieszo i, rzecz jasna, nie dostrzegając obdartusa, który doganiał ich w pośpiechu – machał rękoma, dawał znaki – ojciec Epifani myślał podówczas nie o hetmanie, ile o oczyszczeniu swej duszy, pragnął jednego: przypaść do ręki hetmańskiej i kiedy uzyska odeń odpuszczenie mimowolnego grzechu, wpaść pod koła karocy i ponieść śmierć. Nie znał bowiem większej udręki niż dźwiganie ciężaru misji, którą obarczył go pułkownik.

Jednakże do karocy, otoczonej przez jezdnych, Epifani przecisnąć się nie zdołał, na przeprawie zatem w Perewołocznej, gdy Karolowi i Mazepie podano prom, a Kozacy puścili się w pław na koniach i bez koni, Epifani uchwycił się ogona jakiegoś stepowego rumaka i tak przepłynął na prawy brzeg Dniepru, a później telepał się stepem razem z kozactwem do Bohu.

Seraskier Bender i Budziaku Ismail pasza w obecności chana Krymu Dewlet Gireja 1 sierpnia 1709 roku przeczytał na głos firman sultana Achmeda III, w którym Kozacy otrzymywali ziemie między Prutem i morzem, broń i umundurowanie, nadto jeszcze obiecano im żołd w razie wojny z niewiernymi; koszowego Kostia Hordijenkę obdarzono czerwoną chorągwią z półksiężycem i gwiazdą, zaś hetmanowi Mazepie, który leżał chory w namiocie królewskim we wsi Warnica pod Benderami i czekał, aż zostanie wydany Moskałom za trzysta tysięcy talarów, podarował sultan futro sobolowe.

Pod tym futrem, narzuconym na prześcieradła, leżał hetman na łożu śmierci i czekał na ojca Epifaniego, umiłowanego swojego spowiednika, który jakoś przedarł się do pisarza hetmańskiego Pyłypa Orlika i poprosił, by powiadomić Mazepę o jego obecności tutaj w obozie.

Pyłyp Orlik i pułkownik Andrij Wojnarowski nie odstępowali hetmana oczekując, komu przekaże pieczęć i insygnia, nie opuścili więc namiotu nawet wówczas gdy wszedł Epifani w szatach duchownych i z krzyżem, jako że w każdej chwili Mazepa mógł oddać Bogu ducha.

Uśmiechnął się chory hetman na widok urodziwego absolwenta Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, który ongiś w chwilach odpoczynku i zadumy hetmańskiej z uczuciem i wykwintnie recytował z pamięci poezje Nazona.

– I tyś tu jest... – wypowiedział machinalnie i zdziwił się, że spowiednik upadł na twarz i długo płakał, a podnosząc się wykrztusił:

– Wybacz mi mój grzech, którego nie znam, pograżywszy się w otchłani niepamięci! Niech wróca do mnie moje uczucia...

– Kiedyś opuścił Baturyn? – zapytał hetman podejrzliwie.

– Wokół mnie ciemność i nic nie pamiętam...

– Coś zapamiętał na ostatek?

– Że mam cię zabić.

– Kto ci rozkazał zrobić coś takiego?

– Pułkownik Nos, ten haman i wilkołak.

Mazepa podźwignął się na łokciu i wychrypiał:

– I ty, skalany znową ze zdrajcą i zbrodniarzem, jakiego świat nie widział, ośmieliłeś się przyjść do mnie w mojej ostatniej godzinie?

– Mości hetmanie, zechciej mi wybaczyć, opuściła mnie pamięć! – wyjęczał Epifani, przypadł do łoża i dotknął ustami ręki hetmańskiej bezwładnie leżącej na futrze.

W tej chwili hetman oddał ducha.

Coś zaszleściło pod drzwiami eremu, drgnął Epifani, odrygłował drzwi i wpuścił do wnętrza braciszka z monasteru w Namat, który raz na tydzień przynosił mu od ihumena Nicolae bochenek chleba, garniec gotowanego bobu i kwaterkę oliwy.

– Czemu siedzisz w ciemności? – zapytał mniszek. – Przecie przyniosłem ci świece.

– Jeżeli nie widzisz płomienia świecy, braciszku – odparł Epifani, – to jeszcze nie znaczy, że nie ma go w świecy. Ma ona w sobie moc palenia się i świeci zawartą w niej mocą, a ja widzę ten płomień. Tylko wałek wosku bez knota nigdy nie zapłonie.



– Te, które ci przyniosłem, są z knotami. Czemuż ich nie zaświecić, by rozproszyć mrok dookoła?

– Nie mam ognia, bom stracił.

– Przyniosę ci...

– Nic nie rozumiesz... Najpierw samemu trzeba doznać oświecenia. Chcę, aby Bóg wrócił do mego serca.

– Błuźnisz, ojcze! Czyż może się to zdarzyć, by mnich żył bez Boga?

– Odbierano mi Go przez całe życie... Ja, chłopcze, pochodzę z Kamianki, tej co pod Fastowem. Ojciec mój był nabożny, nauczył mnie składać litery, rychło umiałem na pamięć psalterz i godzinki. Do zakonu szycowałem się od maleńkości: do syta jadłem jeno w niedziele i w środy, sypiałem na ziemnej podłodze... Później ukończyłem seminarium duchowne w Kijowie i zostałem poszcującym mnichem w tamtejszej Ławrze Peczerskiej. Zagłębiłem się w księgi duchowne i starałem się nie widzieć, co się dzieje dokoła. Ale widzieć musiałem: mnisi nawet w poście chadzali wieczorami na picie herbaty, jedli tam prosięta i karasie i zapijali tłuste jadlo śliwownicą i nalewką na malinach... Przy takiej uczcie zastałem pewnego razu samego ihumena Allifuja, tom krzyknął: „Przecie post, wasza przewielebność!” On zasię, mający już w czubie, tak mnie zbył bez wstydu: „Łotrostwu nie trzeba postu!” I w almarii, dokąd szaty składają, widziałem pozamykane dziewczki dla swawoli... Byłem ci ja prowadzącym księgi u ihumena, jeździłem z nimi po majątnościach świętej Ławry i widziałem straszną ludzką nędzę. Płakałem przed obrazem Bogurodzicy, obsypanym diamentami: Panno Maryjo, gdzież Twoja sprawiedliwość: ludzie mrą z głodu, a Twoja podobizna w złocie!.. Uciekłem z Ławry i poszedłem na naukę do Akademii Kijowsko-Mohylańskiej. Uczyl mnie filozofii mądry profesor Tymotej Werhun, teologii – ojciec Antoni Prostyboh, poetykę zaś i retorykę wykladał sam Teofan Prokopowicz, apologeta Mazepy... To ileż spraw boskich mogło pozostać w moim sercu, gdym od ihumena Nicolae postyszał, że w soborze świętej Zofii w dziesięć

dni po połtawskiej potrzebie Teofan ogłosił klątwę na mojego dobroczyńcę i pochwałę Antychrysta?.. Chcę, żeby wrócił do mojego serca Bóg, którego wyгнаła orda strachu, obojętności i zdrady...

Z początku mniszek słuchał Epifaniego z niedowierzaniem, po czym zamyślił się i po chwili z ciekawości zadał pytanie:

– Jakżeś ty się znalazł w naszym monasterze i dlaczego odprawujesz pokutę?

... Orlik i Wojnarowski zapomnieli o spowiedniku, który przyznał się do zмовy z pułkownikiem Nosem przeciw Mazepie i wstrząsnąwszy tym hetmana przyczynił się do jego nagłej śmierci; przez czas jakiś mierzyli się oczyma: pułkownik Wojnarowski, siostrzan hetmana, miał prawo do spuścizny po nim i obejmowała ona nie tylko pieczęć i insygnia hetmańskie, ale i dwie beczki złota, które Mazepa zdążył przeprowadzić na prawy brzeg Dniepru w Perewołocznej – oświecony i wykwintny młody starszyna generalny marzył w cichości o buławie hetmańskiej, jednakże gotów był ustąpić pisarzowi generalnemu Pyłypowi Orlikowi, doświadczonemu politykowi, którego Mazepa jako pierwszego wtajemniczył w arkana swoich stosunków z Karolem.

Orlik bacznie wpatrywał się w oczy współzawodnika, władczo położył dłoń na inkrustowanej macią perłową szkatule z pieczęcią hetmańską, stojącej na sekretarzyku przy wezgłowie zmarłego, drugą zamknął hetmanowi powieki i nakazał Wojnarowskiemu zająć się przygotowaniami do pogrzebu.

Dopiero, gdy młody pułkownik cofnął pełne urazy spojrzenie, Pyłyp Orlik spostrzegł duchownego, który stał w kącie namiotu, przebierał wargami, z których ulatywał szept: „Ja nie chciałem, nie chciałem...” Pisarz generalny wlot pojął, że to Epifani przyczynił się do śmierci hetmana, stąd pierwszą jego myślą było przebadanie go na torturach o współnictwo ze zdrajcą Nosem, ale Epifani miał wzrok nieprzytomny, a takich badać prawo kozackie nie pozwalało. Rzekł mu tedy:

– Szukaj monasteru, byś mógł odpokutować, i jeśli przekonasz się, żeś wyrządził zło z własnej woli, zadaj sobie śmierć. Idź precz...

Była ulewa i wielka nawałność, gdy chowano Mazepę w warnickiej cerkwi parafialnej. Z namiotu królewskiego do cerkwi pociągnął orszak żałobny: przed karocą z trumną, zaprzężoną w czwórkę koni. Wojnarowski niósł w rękach szablę hetmańską, Orlik zaś pieczęć na poduszce; za karocą szedł oddział Kozaków z muszkietami na ramieniu, za Kozakami kroczył z odsłoniętą głową król Szwecji Karol XII, Epifani stał z boku, przemoknięty do nitki i w głowie kołatało mu, że może właśnie tak – w niepogodę, a może i pod jasnym słońcem – setki lat wcześniej grzebano na tej samej ziemi rzymskiego wygnańca Owidiusza, którego poezją tak się zachwycił ukraiński wygnaniec Mazepa i wszystko to – niegdysiejsze i dzisiejsze – już skryło się za górą, sprawy tu pogrzebanych to też już historia, żywi zaś – Pyłyp Orlik, Andrij Wojnarowski, Karol XII i on, Epifani – pozostaną jako nieznani na obczyźnie, a na Ukrainie pamięć o nich się zatrze, i potomkowie pójdą bez nich w swoje jutro z tą właśnie księgą Nazona i będą się jej przyglądali poprzez wielki odstęp marnie straconego ludzkiego czasu, a może i tego odstepu nie zauważą.

Po pogrzebie Epifani ruszył na przelaj przez obce strony mołdawskie i kiedy trafiał na siedzibę mniszą – pozostawał tam na czas jakiś, a że nikt o nic go nie wypytywał, to i on milczał i bez żalu żegnał się z ludźmi, u których nie znajdował współczucia i którzy nie usiłowali pytaniami przywrócić mu do cna zapomnianej przeszłości. Pozostawił za sobą siedziby mnisze w Agatonie, Barbu, Kirnu, Dalheuti i dopiero w monasterze Namat stary ihumen Nicolae przywołał go do siebie i zapytał:

– Od Mazepy?

Epifani skinął głową potakująco.

– Z jakiego miasta?

– Nie wiem...

– Z Kijowa, Połtawy, Czernihowa?

– Nie...

– Z Baturyna?

Długo zastanawiał się Epifani, błędził oczyma, błyski strachu i szaleństwa przebijały czerwienią z oczu i pojał mądry ihumen, że nieszczęśnik nie zniósł baturyńskich okropności i zmacił mu się rozsądek – jatki, jakie wyprawili Mienszykow, odebrały mu pamięć. Przeto, jak mądry znachor, który igłą przekłuwa pierś umarłego i dotykając ostrzem serca przymusza je do bicia, jął opowiadać to, co wiedział od parafian oraz cudem ocalałych uchodźców z Baturyna.

Wiele opisał strasznych scen ihumen Nicolae, ale nic nie rozproszyło ciemności mózgu Epifaniego, podobne sprawy widział i w Głuchowie i pozostał spokojny: ludzie giną – jak to na wojnie; ależ nie, niczego przypomnieć sobie nie zdoła.

– Wtedy ci bezecnicy – opowiadał nie żałując Epifaniego ihumen – podważyli belkowanie dzwonnicy, powtykali tam główkami dzieci i wybili kliny...

I wówczas zawirowała żywa karuzela przed oczyma Epifaniego, a dzieci nie krzyczą, jeno drgają, drgają im nożyny... krzyknął Epifani, płomień pożogi przepalił mu oczy, córka diakona cerkwi Orędowniczki w Baturynie rozdzierała mu bielmo i lamentowała: „Ojcze Epifani, czemuż ojciec stoi, nic nie widzi?!”

Wszystko przypominał sobie Epifani, stał zasłaniając dłońmi źrenice i szeptał: „Jeżeli zdasz sobie sprawę, że uczyniłeś zło z własnej woli, śmierć sobie zadaj”.

– Kto ci to powiedział, synu? – nachylił się ihumen. – A tyś zabijał?

– Nie... Alem milczał i patrzył. Przeklęty jestem za ten grzech, dlatego przynoszę zło ze sobą. Nie godzi mi się żyć na świecie.

– Nie śpiesz się robić tego, czego odrobić się nie da. Różne są przewiny i różne za nie pokuty. Poszukaj samotności. Przyjmij na siebie wyrzeczenie i zbuduj sobie erem. Nad rzeką Czuhajką wznosi się urwisko. Zabierz łopatę, siekierę i idź. Będę pamiętał

o tobie. A gdy zdasz sobie sprawę ze swojej winy, poczujesz jej brzemię, wówczas sam znajdziesz dla siebie pokutę. Dopiero wtedy. Nie śpiesz się odbierać sobie życie, bo zawsze to zdołasz uczynić.

Braciszek patrzył na Epifaniego szeroko rozwartymi, a jednak nieufnymi oczyma: jak mogło dziać się na świecie coś tak okropnego? W monasterze Namat jest tak cicho i błogo... Zali młody mnich widział to wszystko na własne oczy?

Rzekł uśmiechając się niepewnie:

– Masz pióro i papier na stole. Ty wszystko to przemyślasz, żeby opisać?

– Pióro i papier dał mi ihumen Nicolae, żebym swój grzech wyznał na piśmie i zważył ciężar pokuty, jaka mi jest sądzona... A ja myślę teraz o tym, by pozostawić pamięć o nas. Potomkom chyba nie starczy jednego Owidiusza...

– Któż to był Owidiusz?

– Powiem ci kiedyś... Myślę, że naród, który nie ma swojego pisanego świadectwa, ginie nawet wtedy, gdy brak widocznych powodów jego zagłady. Zapomina sam o sobie, wpada w niepamięć. Powinienem napisać o wszystkim co mi wiadomo: o własnej niepamięci, ruinie świątyni mojego ducha. Nie będę nic wymyślać. Ale wszystkiego nie widzę, bo świątynia legła w gruzy nie tylko we mnie. Potrzebny mi jest świadek...

– Mnie miałeś na myśli? Przecież ja nic nie wiem.

– Nie, nie ciebie... Ale nie tylko jam patrzył i milczał. Wielu jest takich i wszyscy powinni odzyskać mowę. Dopiero wówczas zdołamy zetrzeć ze swojej twarzy krew niewinnie poległych, gdy opowiemy ludziom całą prawdę. O sobie przede wszystkim... Baturyn, chłopcze, to jeno krztyna niedoli, w jakiej znalazł się nasz naród. Muszę wiedzieć wszystko. Kto mi to powie? Kto mnie oświeci?

Epifani pochylił się nad pniakiem i mówił sam do siebie:

– Czysty jest mój papier i wyschło mi pióro... Pusto dokoła, nie ma nikogo!

– Obmyśli! – posłyszał głos mniszka.

Obejrzał się, ale chłopca nie było w eremie.

Obmyśli? Co? Przemyśleć wszystko co widział, odczuł, przeboleł, wszystko to wyrzucić z siebie na papier i samemu zostać sędzią własnych i cudzych postępków? A gdzie poręka, że sąd będzie słuszny? Wedle jakiego kodeksu sądzić mam sam siebie? Kodeksu mojego sumienia? Przecież na miejscu sumienia jest we mnie krwawa siekanina z resztek zeszczonej wiary w Boga. Nie ma Boga! Gdyby był, to nie zapłonąłby Har-Magedon w takiej niesamowitej grozie. A może jest... Ale zły. Rozgniewany jak w Objawieniu świętego Jana... Jak śmiem dopuszczać do siebie takie myśli? Zmiłuj się nade mną Boże w wielkiej łaskawości Twojej... w ogromie Twej litości zgładź moją nieprawość...

Nie pomaga mi psalm pięćdziesiąty pierwszy – moje doświadczenie przeczy Bogu. Moje doświadczenie nie może współistnieć z wiarą...

A czyś poznał świat do końca? Nie przecież. A skoro nie, musisz mieć wiarę – zachętę do poznawania jeszcze nie poznanego. Musisz ją przegryźć rozumem. Znaleźć w nieograniczonej różnorodności rzeczy, w zmienności zjawisk. Wyłuskać z tej różnorodności i zmienności symbol sprawiedliwości i znaleźć dlań ludzkie wcielenie. Sam sobie wyznajdź sędziego.

Bez wiary się nie obejdiesz jak możni tego świata, co sami sobie za sędziów staną. Dwumetrowy car Piotr utrwalił wzorzec potęgi zestawiając na żywo wielkie i małe rozmiary: ze wszystkich stron świata nasprawdzał do stolicy karzełków i w wolnych chwilach bawi się z nimi utwierdzając w sobie w ten sposób przewagę wielkiego nad małym. Stąd wierzy w swoją wszechmoc, innej zaś wiary mu nie potrzeba.

Ty zaś – bezsilny, zniszczony przezeń liliput ducha i ciała, z jego woli przeklęty, by powodować zło, i z jego woli niemocny ciałem, zdruzgotany przez życie – chcesz odnowić świątynię swojego ducha? Znajdź tedy symbol, który wyznaczy miarę twojej

pokuty. Jaki? Niechże to będzie łabędź, który przylatuje na modre jezioro Czuhajki – symbol czystości.

Bo to nie ptaki, lecz niebiańskie zwiastunki burzy, walkirie, które z deszczowych nici wiją kądziel chmúr i przędą z nich złote pasemka czystych błyskawic. One to wyśpiewują prawdę, wypłakują kłamstwo, uzdrawiają wyzutych z wiary i znają przyszłość.

Obmyślam walkirię – dla odzyskania utraconej wiary. Dzięki ci, braciszku, żeś mi doradził. Zmiłuj się nade mną, Boże...

Arkusze papieru był drobno zapisany; Epifani pisał, jak się nauczył od profesora poetyki Teofana Prokopowicza, inaczej nie potrafił – przypowiadkami jeno, alegorią. Czuł, że znajduje w pisaniu pociechę i ucisza ono rozterkę jego ducha. Przywoływał postać walkirii, co zleciała łabędziem z niebios na Czuhajkę, przeobraziła się w dziewczoję, naga stanęła przed nim i wówczas ogarnęło go przemożne ziemskie pożądanie, poczuł siłę męża, którą tak haniebnie utracił, ucieszył się zatem, że Bóg zwraca doń swe oblicze i on sam znów odnajduje dla się Boga.

Zapełniał kartę za kartą, zgłębiając tajemnicę przeobrażenia łabędzi w dziewczyny – w tym momencie posłyszał ich klangor. Zerwał się, podbiegł do zakratowanego okienka – zawsze tak podbiegał obserwując łabędzie i w najgłębszych zakamarkach duszy piastował nadzieję, że łabędzie przyniosą odmianę w jego bytowaniu, jednakże ulatywały spłoszone, kiedy przybliżał się do jeziora – uleca i teraz.

Cicho wyszedł z eremu, na palcach zstępował stromą ścieżką do jeziora, ale zanim stąpił na schodek, z którego widać było modre oko zalewu, łabędzi już nie było i niewiara znów przytłoczyła mu serce.

Raptem ujrzał rozpostartego na piasku ptaka. Kto go zabił, jaki bezlitosny myśliwiec niedostłyszalnie wypuścił strzałę czy kulę; Epifani zbiegł nad brzeg jeziora, uniósł lekkiego jak puch łabędzia i przekonał się, że to jeno łabędzi kożuszek, który zrzuciła walkiria chcąc się wykąpać.

Ukrył w zanadrzu kożuszek, boć wiedział, jak można pojmać niebiańską dziewczę, przecie dopiero co pisał o tym, i śpiesznie wspiął się ścieżką pod górę. Wszedł do eremu, naprędce wydłubał dołek w ścianie, włożył tam szatkę i zalepił otwór gliną.

Stał tedy przy oknie i czekał. Niedługo wyczekiwał; spoza skały zasłaniającej jezioro od strony eremu, wyszła dziewczyna biała jak piana nad wodospadem; piersi, niby podtrzymywane dłońmi od dołu, zaglądały w niebo różowymi sutkami, zbliżała się do eremu bez zawstyżenia, dziewicze łono kędzierzawiło się złotawo, i kiedy stanęła pod okienkiem, usta, na poły rozchylone jakby w oczekiwaniu płomiennego pocałunku, wyszeptaly:

– Nie mam się gdzie schować, a noc będzie chłodna.

Epifani odryglował drzwi, wziął ją na ręce, ułożył na swojej ubogiej pościeli i długo się przyglądał, a kiedy dała mu znak oczyma, przypadł do niej i ugasiwszy swoje palące pragnienie, zapytał:

– Czyżby to Pan mi wybaczył?

Dziewa Łabędzica siedziała na postaniu osłaniając łono i piersi płachtą i spoglądała nań jak z zaświatów, w których już wszystko wiadomo i nie ma zagadek, i przez to właśnie, że wszystko wie, cni się jej, bo chciałyby czegoś oczekiwać, spodziewać się czegoś, czuć obawę przed niewiadomym, lękać się, odgadywać niewiadome w snach i wróżbach – jak wszyscy śmiertelni. Nie była jednak człowiekiem, lecz godnością ludzką, która przysła do celi mnicha, by przypomniął sobie tę wartość człowieczeństwa i zbliżając się, dotykając, ciesząc się, na wieki odtąd czuł, że nie jest wart tej godności.

Epifani wpatrzył się w twarz Łabędzicy, usiłował sobie przypomnieć, skąd ją zna; już gdzieś widział owe czyste źrenice – może była to twarz smętnej swawolnicy ze Stawków, co się utopiła w przeręblu ze wstydu, że dane było jej zetknąć się z pokalaną duszą Epifaniego, ależ nie – inne to oczy, insza godność, i z miejsca pojął, że Łabędzicą została urodziwa Motria Koczubejówna, która owego straszliwego wieczoru w Baturynie



przemieniła zdrajcę w wilkołaka, jego zaś o coś spytała – o co takiego? Nie pamiętał, jedynie spojrzenie jej, które dotąd tkwiło mu w sercu, rozpoznał obecnie.

Podniosła się z postania i skierowała do wyjścia; Epifani poszedł za nią i szli długo, przedzierając się przez gęste chaszczce, zstępowali z urwisk, walili się w bujną trawę: Epifani pragnął jej nieustannie, usiłując wyłudzić od niej odrobinę godności dla siebie, ale jedynie żaby wkoło rechotały, gdy zmorzony padał na wznak na ziemię, zdając sobie sprawę, że nigdy nie zaspokoi swojego pragnienia Łabędzicy, że jej godność budzi nieustanne pragnienie zaznania tej, którą utracił. Wiedział już, że Łabędzica uciszy go dopiero wówczas, gdy wróci doń dusza zaprzędana wilkołakowi.

Wieczorami czekał, kiedy ozwie się wilkołak i trafi się sposobność pójścia doń, odebrania swojej duszy i podesłania jej pod stopy Łabędzicy.

I doczekał się: pewnego zmierzchu w zakamarkach leśnego jaru rozległo się przeraźliwe wilcze wycie. Nie był to zew żądzy ani wyraz nieznośnego wilczego głodu, lecz skowyt niezaspokojonej męki drapieżcy, którego woń krwi przyprawia o szaleństwo.

Epifani rozpoznając wycie dźwignął się z postania. Nazbyt było mu znane: pobrzmiewało w pamięci jeszcze od czasu, gdy na placu w Głuchowie car zmusił go do wypowiedzenia klątwy na Mazepę; Epifani wykrzyczał inne słowo, lecz zatraciło się ono w zgietku rozradowanych wilkołaków i Bóg nie przyjął pokuty – z nowym występkiem w duszy pociągnął wówczas Epifani śladem Mazepy, by popełnić jeszcze drugi, i trzeci, i niezliczone inne, zło bowiem zło pociąga za sobą... Wiedział mnich, kto go teraz woła i pozostawiając Łabędzicę w eremie wyszedł na wołanie.

Zgroza go ogarniała, przystawał, ale szedł, bo wiedział, że wycie to brzmieć będzie w jego sercu potąd, aż rozerwie swoją więź z pułkownikiem Nosem, aż go uśmierci.

Zeszedł nad jeziorko i bacznie jął się wpatrywać w szarzejący

zmiersch, co gęsto spowił kępy nadrzeczne, otulając krzaki głogu, i pomiędzy kołącym jeżowiskiem ujrzał dwie pałające centki – tak zwodniczo płomienieją błędne ogniki. Był to wilkołak.

Epifani podszedł na odległość trzech kroków i ujrzał, jak płomiennooka bestia dźwiga się na tylne łapy i staje się człowiekiem z fizjognomią pułkownika Nosa.

Wiedział mnich, że wilkołaka zabija się kołem z osiki, głogu lub tarniny, przeto nie spuszczać z oczu pułkownika poderwał się śpiesznie, kalecząc dłonie o ciernie, by wyłamać gruby odziomek z gąszczu tarniny, ale mu się to nie udało: pęd tarniny był żyłasty, pułkownik zaś zgadując, o co chodzi mnichowi, roześmiał się złośliwie:

– Zbyt łatwo chcesz się mnie pozbyć! Nie jestem już sam jeden: spośród kamratów moich pułkownik Hnat Hałahan, dobrze znający tajemne brody na porohach, naprowadził na Sicz Czortomłycką ordę pułkownika Jakowlewa i wszystkich hultajów, których koszowy Hordijenko pozostawił na Siczy, do nogi wybito, skórę ze łbów żywcem zdzierano, umarłych wykopywano i wieszano. Hnat sam uganiał się za Kozakami, chwycił i wydawał Jakowlewowi na pokaranie: dostał za to od cara włość w Pryłukach i teraz wyje na ludzi podobnie jak ja...

Pojął Epifani, że nie zdoła uśmiercić wilkołaka, który przeobrazi się w żmiję, jaszczurkę, hienę i dalej wyc będzie i syczeć w jego sercu, postanowił więc zabić upiora słowem.

– Słuchaj co ci powiem pułkowniku – Epifani zrobił krok do przodu. – Żałuj za swoje złości i przemienisz się z wilkołaka w człowieka. Wszak nie pokutując za zło pozostaniesz na wieki w pamięci ludzkiej zabójcą, gubicielem, tyranem. Zali ci nie strach, że na wieki zostaniesz potworem?

– A czyż widać po mnie, żem potwór? – odparł zgoła nie stropiony pułkownik. – Czy ktoś powie patrząc na mnie, że umiem zabijać tak jak się drwa rąbie, odpoczywać po tej pracy i za zarobione pieniądze jeść i stroić się? Skądże znowu, nawet kobieta może mnie pokochać!

– Pokochać? – przeraził się Epifani wspominając białą Łabędzicę. – Ciebie też stać na to święte uczucie? O nie, potwór duchowy kochać niezdolen, własne „ja” mu powie, że nie jest wart miłości. Zamiast niej rodzi się w nim złość. Pokraka duchowa zostaje najwyżej gwałcicielem – z góry się mści na kobiecie za to, że znienawidzi go kiedy rozpozna.

– Dlatego nie bawię się w mrzonki o czystej miłości, na co mi te bezskuteczne zabiegi?

– I możesz żyć bez niej?

– Aleś ty prostak. Wystarczy mi sama zazdrość. Gdybym to ja narodził się ze sławą i udziałem Mazepy!.. Nie było mnie na to stać... Wiem, że jednakowo przyciągają do siebie uwagę potwór i adonis, łotr i dobroczyńca. Różnica ta jedynie, że adonis i dobroczyńca nie dbają o swoje wyniesienie. Wywyższa ich sama natura. A mnie przychodzi sprzedawać duszę diabłu!

– Jednakże tak okupiona pomyślność nigdy ci nie da szczęścia ani radości! Szczęśliwi bywają jeno czyniący dobro.

– Ich udziałem jest niedostatek.

– Przez całe życie zatem będziesz zabijał dla swej korzyści?

– Tak! A ty będziesz żył z żebraniny i milczeć będziesz patrząc na zbrodnię – byle przeżyć w swej nędzy!.. Mój ty świętoszku, milczenie jest cięższym grzechem niż zabójstwo. Zabójca ani myśli wracać pomiędzy ludzi, nie dba o ich zdanie i sądzono mu żyć wśród wilkołaków. Milczkowie zaś, przymykający oczy na zbrodnię, pozostawiają sobie furteczkę do ludzi i są podlejsi od nas.

– Jesteś straszylłem! – Epifani wyrwał z ziemi pęd tarniny i zamierzył się na pułkownika. – Zgiń, przepadnij!

Ale pułkownik w mig przemienił się w bestię i zaszeleścił krzakami, niebieskie błędne ogniki jęły się oddalać, z daleka zaś dobiegł posyk żmii:

– Spróbuj mnie zabić w sobie!..

W tym momencie rozległo się wycie mrozące krew w żyłach. Epifani zrozumiał, że wydobywa się ono z jego własnego gardła.

Mrok nad jeziorem pobielał: tam stała biała Łabędzica.

- Chodź ze mną – rzekła.
- Ktoś ty?
- To ja byłam Motrią Koczubejówną.

## Rozdział czwarty

Epifani siedział na pniaczkę, pochyliwszy się nad swoim stołem do pisania. Często maczając gęsie pióro w kałamarzu, zapisywał na papierze słowo w słowo to, co opowiadała Łabędzica, która była gdzieś tam poza jego ramionami naga i czysta jak anioł, on zaś pożądam jej tłumić pisaniem swoją żądę, która stawała się raz po raz paląca aż wstyd, jednakże mnich nie miał prawa nawet odwrócić głowy, bowiem Łabędzica przeobraziła się w Motrię Koczubejówną, której nie było już na świecie, żyła jeno szlachetna jej uroda wnikaćca teraz w każde jego włókienko niczym balsam czy dźwięk lub też bezgłośnie przenikliwie drzenie i Epifani pisząc sycił się idealną pięknnością Motri jak najcenniejszym darem swojego życia.

Łabędzica-Motria przypominała mu to wszystko, co utonęło było w mroku niepamięci i otwierała przed nim świat, co się przewinał wokół niego przez lata tułaczki, nim dotarł do monasteru w Namat i został przywrócony pamięci przez ihumena Nicolae – czasu bowiem zleciało sporo i przez ten czas żył nieświadom swojego grzechu.

Z całego znamienitego Baturyna, zaopatrzonego w bastiony, wały, zamki, pałace, lepianki, warsztaty i broń, ocalał jeno dom Wasyla Koczubeja, uchroniony przez jego donos na Mazepę, w nim zaś jako jedyne pozostawione przy życiu spośród mieszkańców Baturyna, zabezpieczone przez zdradę gospodarza – Lubow Koczubejowa z córką Motrią, a także zaklęty w wilkołaka Iwan Nos i ułaskawiony za milczenie ojciec Epifani. Zrozumiała też Motria, że swoje mienie rodowe i to miejsce w Baturynie, do którego kiedyś przyjdą ludzie, by spytać o prawdę, oczyści ze skalania ona jedna swym dalszym życiem.

– Nie pamiętasz, jakem go przekłęła, jak w jednej chwili wyszczerzyły się kły wilkołaka; i twoja twarz stała się wtedy podobna... Do dziś pozostałbyś zwierzem, gdybym cię o świcie, kiedy to pułkownik kazał ci zabić Mazepę, nie dopędziła nad Sejmem błagając: „Odsłoń mi, ojcze, tajemnicę spowiedzi, ofiaruj mi na moją drogę cierniową słowa hetmana, które rzekł o mnie przed przyjęciem Sakramentu, namaszczoney przez ciebie, w noc odwrotu Mazepy za Desnę!” Nie odsłoniłeś mi tajemnicy, boś stracił pamięć, przecie błysk człowieczeństwa mignął w twych oczach, jako że mogłeś uczynić bodaj niewielkie dobro bliźniemu i grymas zwierzęcia znikł ci z twarzy... Płaczesz ojcze, przypomniałeś sobie? Pocieszyłeś się, że nawet wówczas, w śmiertelnej niewoli grzechu, pozostałeś choć na makowe ziarenko – człowiekiem?

– Może za to, żem zapamiętał słowa hetmana i później powtórzył ci je, odpuszczony mi będzie grzech? – z nadzieją zapytał Epifani. – A ty, niosąc ze sobą w sercu te słowa jak najcenniejszy skarb, jak swoją godność, wytrwałaś wśród oprawców, rozprostowałaś skrzydła łabędzie?..

– Nie tak to łatwo zyskać przebaczenie, ojcze... Pociesz się, że spełniwszy dobry uczynek pozostałeś człowiekiem... Nie powiedziałeś mi wtedy nic, ja zaś pozostawiwszy rodzicielkę niedobrą w starodubowskim majątku, który nam zwrócił nowy hetman – Skoropadski, doszłam do Połtawy z mężem, sędzią generalnym Czujkiewiczem. Niedługo z nim żyłam: przed bitwą Czujkiewicz przeszedł na stronę Piotra, ale ten obłudnik odpłacił mu za wierność kajdanami i rozkazał go zesłać nad Kanał Ładoski, ja zaś trafiłam do monasteru.

– Wszystko to przypomniałem sobie, Łabędzico... Po śmierci Mazepy – w Multanach, w Dalheuti... Mały klasztorzek otoczony sadem jabłoni, leżę w pościeli chory i niemy, prawie bez życia... Jakaś mniszka postawna i urodziwa, imieniem Maria, dogłąda mnie, poi mlekiem jak dziecko i uśmiecha się z radości, że wracam do życia. Przyglądam się jej dzień po dniu usiłując przypomnieć sobie, skąd znam tę miłą twarz, wreszcie poznaje: „To ty, Motriu?”

Jak tu się znalazłaś? – „Poszłam śladem hetmana podobnie jak i ty. Ty – żeby zabić, ja – chcąc ocalić”. – „Nie zabiłem go...” – „I ja nie ocalałam. Powiedz, grzeszny ojcze, odstoń tajemnicę ostatniej spowiedzi Mazepy, musiał ci jakieś słowa powiedzieć o mnie. Tak mi są potrzebne na daleką drogę...” – „Tajemnicę spowiedzi? Przypominam sobie... Powiedział przekazując dla ciebie listki nieśmiertelnika... nie mam ich, starty się jak moja pamięć... Powiedział: „Natchnęła mnie do wielkiej sprawy”.

W celi rozległ się cichy szloch. Epifani się obejrzał: na posłaniu okrywszy nagość płachtą siedziała Łabędzica z twarzą Motri, patrzyła na mnicha z wdzięcznością i szeptała:

– Dzięki ci, słowa te uratowały moją godność i gdy karły chciały mnie pomniejszyć, zdolały mi urósć skrzydła łabędzie.

– Karły? Gdzież to było?

– Zateśniłam za krajem rodzinnym i wróciłam na Połtawszczyznę. We wsi Puszkariwka, opodal traktu na Romodan, stoi na wzgórzach wśród wiśniowego sadu klasztor żeński. Zostałam tam nowicjuską, a później przyjąłem wielkie postrzyżyny. Ale nie dano mi dożyć tu swoich lat. Ktoś doniósł Skoropadskiemu, że Czujkiewicz nie zamierzał zgoła przechodzić na stronę Piotra, że nie jest nad Ładogą, lecz u Turka, przeto na rozkaz kanclerza Gołowkina Skoropadski wysłał do Peterburga żony wszystkich stronników Mazepy, którzy uciekli do Turków – jako zakładniczki. Wyprawiono się i po mnie do monasteru. Siostrzyczki ostrzegły mnie o niebezpieczeństwie i o zmierzchu wybrałam się do Czernihowa szukać u Połubotka protekcji. Wtedy właśnie ruszył z Kozakami nad Kanał Ładoski, zabrałam się więc z nimi. Poszła też ze mną żona Hamaliji, esaula generalnego. Ale nie dopuszczono nas do mężów, zabrano do Peterburga jako branki, chociaż mężowie nasi nigdy u Turków nie byli... Osiedlono nas na Wyspie Wasilewskiej, gdzie karły miały mieszkanie. Skąd się wzięły? Wiesz chyba, że Piotr lubuje się w mniejszych od siebie.

– I tobie jednej wyrosły skrzydła... A co się stało z innymi żonami?

– Na przedmieściu karłów mieszkała ze mną matka Fedora Mirowicza, chorążego generalnego, a także żony esaula generalnego Seweryna Hamaliji, pułkowników Iwana Pokotyły i Dmytra Hordijenki. Starszy nad karłami zmusił je na rozkaz Mienszykowa, by napisały do mężów listy, żeby wracali z Turcji. Kobiety usłuchały i obrócono je w karlice... Ja zaś, mając pewność, boć przecie widziałem sama, że Czujkiewicza wzięto do robót przy kanale, nie pisałam listu i nakazano mnie zrównać...

– Jak to zrównać?

– Zmniejszyć o głowę, bym nie wyrastała ponad karlice. Wtedy to uleciałam. Ojczy, zaliś nie zastanawiał się nigdy, skąd się bierze skarlenie?

– Wiem za dobrze! – zawołał Epifani. – Dawno temu w naszym kraju żył boży kowal Kuźma Demian. Kiedyś napadł nań wielki żmij: przelizał jęzorem wrota kuźni, ale boży kowal był nie w ciemę bity, złapał żmija za język cęgami, zaprzągnął do pług i przeorał nim ziemię od morza do morza. Nad Dnieprem wielki żmij prosił się do wodopoju, ale nieubłagany kowal popędził go aż do Morza Czarnego. Wypił żmij pół morza, pękł – i rozpełzły się po naszej ziemi małe żmijęta, które i do dzisiaj nie dają nam wyrósć ponad ich wzrost.

– To bajka – odparła Łabędzica Motria. – Ty zaś dokop się prawdy.

Zamyślił się Epifani, wrócił do stołu, pióro samo umoczyło się w kałamarzu i wywodząc na papierze słowa-zaklęcia, przemówiło:

„Dopomóż nam Boże zabić pułkownika Nosa. Zabijmy w sobie małość: w każdym dniu, w każdej chwili niech będzie w nas obecna myśl o prymacie wolności człowieka, bo bez uznania jego suwerenności jako jednostki gubi się sam naród. Daj nam Panie umiejętność bronięcia wyżyn ducha; zewsząd czyha na nas niewola, która nas kusi życiem łatwym i spokojnym. Wybaw nas, Zbawicielu, od niewolniczej sytości, zabijającej ducha, obudź w nas głód dosięgania całym naszym jestestwem horyzontu serc

naszych. Nie daj nam zleniwieć i skarlecć wśród lenistwa, wysusz nam usta pragnieniem wolności, odbierz nam usługą gotowość do wyboru między wolnością i niewolą!..

Umocnij nas, Najwyższy, władztwem rozumu, nie obarczaj nas winą za naszą historię. Zali to myśmy winni, że w zamierchłej przeszłości wyrzekli się przodkowie nasi korony uznając zwierzchnictwo patriarchy Bizancjum, który nie miał prawa koronować, przez co staliśmy się mniej znaczni od sąsiadów, których koronował papież w Rzymie? Że po utracie władzy książęcej ci sami przodkowie dali się zhołdować koronowanym sąsiadom i nigdy już nie potrafili nazwać się państwem? Że nasi hetmani nie przywdziewali czapki monarszej i dlatego to pospółstwo szukało protekcji u obcych głów koronowanych? Czyż nie dlatego ojcowie nasi przysięgali carowi moskiewskiemu w Perejaśławiu, bez zastrzeżeń wierząc w jego potęgę? Czyż nie przez naszą gotowość wyboru między wolnością i niewolą tak tragicznie długo trzymał hetman Mazepa pod korcem swój zamiysł wyzwolenia Ukrainy? Czyż nie rozpanoszyło się u nas gminowładztwo — fantazyjne i kuszące, które czarowało, wprawiało w podziw i cieszyło sąsiadów? Czy nie za późno nawiedziła Mazepę myśl o samowładztwie hetmańskim? Zmiłuj się nad nami Boże w łaskawości Twojej, zaszczerp nam ducha państwowości!..”

– Powstrzymaj się – rzekła Łabędzica Motria. – Szczera jest twoja modlitwa, ale nigdy nie czerń tego, co jest nasze i jedyne na świecie. Z gminowładztwa naszego wyrośnie kiedyś najsilniejsze państwo w Europie, gdy obręcze koron przygniotą czoła obcych pomazańców.

– Pierwej jednak musimy wytracić w sobie pułkownika Nosa, co dla swej prywaty zawsze gotów jest zaprosić do nas cudzoziemca, by zakuł nas w kajdany sytej niewoli. Nie odstępuje nas przez całe nasze dzieje. On sprawił, żeś uległ otępieniu. Przeraziłeś się – on. Pozazdrościłeś, powziąłeś złość, doniosłeś, oczerniłeś – on! A później zabiłeś, zdradziłeś, sprofanowałeś swój Krzyż, zburzyłeś świątynię na ziemi i we własnej duszy!



- Czy piszesz spowiedź?
- Tak.
- I myślisz tak się oczyścić?
- Tak.
- Toś łatwą wybrał dla siebie pokutę...

Epifani rozmawiał z Łabędzicą nie patrząc na nią: była z nim nawet wtedy, gdy opuszczała erem, przenikając na dwór mglistą smugą przez kraty okienka. Zestawiał swoje myśli i rozterki z jej godnością i dopiero wtedy, gdy mu nie przeczyła, przekonywał się o prawdzie i doniosłości swoich przemyśleń.

Teraz jednakże Epifani nie chciał przyjąć do siebie jej słów o spowiedzi jako nietrudnym zadośćuczynieniu. Czyż to tak łatwo rozpostrzeć swoją duszę sponiewieraną i splamioną na pokaz profanom?

Rzekł:

– Nie zakończyłaś jeszcze swojej opowieści o siedzibie karłów...

– Nie zrozumiesz, póki sam nie zobaczysz... Czemuż unikasz rozmowy o tym, że tobie trzeba prawdziwej pokuty? Spójrz mi w oczy.

Epifani obrócił głowę i zadygotał: na posłaniu siedziała kobieta surowa i urodziwa, ale nie była to Motria: na mnicha patrzyło oblicze Panny Maryi z ikonostasu cerkwi Orędowniczki w Baturynie.

– Dlaczego Judasz zaprzedał się sanhedrynowi? – zapytała Panna Maryja.

Na to pytanie, niespodziewane i twarde, trzeba było niczym sędziemu odpowiedzieć prawdę, Epifani był jeszcze niegotów.

– Judasz nie dla korzyści zdradził Jezusa, jeno że stracił Weń wiarę – rzekł i zląkwszy się wypowiedzianego bluźnierstwa opuścił oczy.

– Można więc usprawiedliwić pułkownika Nosa, który stracił wiarę w Mazepę? Ty też się usprawiedliwiasz, choć niby pragniesz zabić go w sobie. Bo zetrzeć ślad Judasza w sercu nie jest tak łatwo.

Chcesz wyrzucić z siebie swój grzech na papier w przekonaniu, że przyjdiesz do potomków czysty, w istocie zaś pozostaniesz zbrukany. Uciekając się do takich wybiegów nie oczyszczasz się, lecz rozdwasz: ludzi pouczasz jak być wolnymi, sam zaś rezerwujesz sobie prawo wyboru niewoli. Pokazujesz im trudną drogę, sam kontentując się wygodniejszą. Stąd twej spowiedzi nikt nie da wiary, potomkowie nie pójda ciernistym szlakiem, który im opisujesz, lecz biorąc wzór z ciebie nadal wygodę dla się znajdą w niewoli.

– Cóż począć mam, by się oczyścić?

– Znaleźć Jezusa, wziąć Jego krzyż i pójść za Nim.

– Gdzież On jest w tym skalanym świecie?

– Szukaj Go w przedsionku sprofanowanej świątyni twego serca.

– Przecie się Go wyrzekłem, uwierzywszy w umowę Judasza z sanhedrynem, że nie będzie rozlewu krwi.

– Aleś widział, że krew przelano na naszej Golgocie. Zostałeś jednak z Judaszem. On zdradził z wyrachowania, a ty ze strachu – cóż to za różnica? Dlatego musisz znaleźć Jezusa, by doznać skruchy.

– Ślad postępku Judasza pozostał w mojej duszy – nie ma tam miejsca dla Boga. Został mi jeden ratunek – spowiedź.

– Chcesz się wyświadczyć nie odprawiając pokuty? Nic z tego – musisz wyjść z zacisznego eremu jak apostoł Piotr z ogrodu w Getsemani i przyjąć na siebie te cierpienia, które dziś znosi lud. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Epifani obrócił się w stronę stołu i pochylił głowę nad arkuszem, który w jednej chwili stał się dlań niepotrzebny. Wpatrzył się – arkusze był czysty, nie widniało na nim ani jedno słowo i zrozumiał mnich, że nie ma prawa pisać dziejów własnego życia, by się oczyścić, bo dzieje te dopiero się zaczęły i trzeba cierpliwie przeżyć je do końca.

Raptem poczuł, jak ciepłe dłonie dotknęły policzków i ktoś łagodnie przytulił się twarzą do jego głowy. Poczuł ulgę w sercu,

momentalnie odpłynęła zeń posoka obawy przed życiem, jął się szycować do pokuty.

– To ty, Łabędzico? – spytał.

– Byłam teraz Motrią, której ofiarowałeś słowa otuchy.

– A czy jest kraina karłów?

– Jest – odparła Łabędzica. – Motria uciekła z tej krainy, ty zaś pozostałeś w niej dotychczas i zdaże ci się, że karły są wielkie i groźne. Otwórz oczy, zobacz je, pokonaj i dopiero wtedy idź jako pątnik.

– Gdzie jest Motria?

– Tego nikt nie wie. Bo też nikt nie wie, gdzie jest dusza hetmana, który chciał ofiarować wolność naszej ziemi.

– A ty kto jesteś?

– Jestem twoja znękana dusza... Mój cierpiętniku nieszczęsny, jak wiele bólu przypadło ci w udziale i daj ci Boże siły, byś go przetrzymał.

– Ale ty dźwigać będziesz ze mną pokutę i będzie mi lżej...

– Jestem czystością twojego ducha i tylko wtedy będę z tobą w jedności, gdy sam się oczyścisz. Jakaż to niby ze mną pokuta, ze mną jeno radość dla ciebie. Pokutować można jedynie sam na sam ze swym grzechem.

– Gdzież ty się podziejesz?

– Oddaj mi mój łabędzi kożuszek, powrócę w swój wymiar czasu. Pokazałam ci się, byś wiedział, że jeszcze trwam w tobie.

– Umrę z tęsknoty za tobą.

– Tęsknota doda ci sił w cierpieniu... Wrócę do ciebie, gdy wyzbędziesz się lęku i wilkołak będzie dla cię jeno płochliwym tchórzem.

Epifani podszedł do ściany, wydobył z niej śnieżnobiały kożuszek, wyłamał kraty w okienku, długo stał w osłupieniu, wpatrzony w lot Łabędzicy, która oddalała się, malała i wreszcie znikła w niebieskiej modrości. A gdy już żał pałacy w sercu zelżał nieco, Epifani wziął kostur i po raz drugi wyruszył w świat, zachęcony obecnie rozkazem swojej białej duszy.

## Rozdział piąty

Młody król szwedzki nie znał ani trwogi, ani poczucia twardej rzeczywistości. Jego krótkie życie, pełne świetnych zwycięstw i tragicznych klęsk, zawarło się w wąskim przedziale czasu – od zawadiackich igraszek chłopięcych w pałacu ojcowskim, gdy pod jego szablą zlatywały łby cieląt i baranów a krew obryzgiwała ściany obite gobelinami, aż do lekkomyślnej śmierci w roku 1718 pod oblężoną przez Moskali norweską twierdzą Fredrikshald, kiedy to król skrzykując ze sobą do szturmujących wojowników szwedzkich, podnieconych zapalem wodza, wyskoczył z okopu i tępy pocisk ugodził go w samo serce.

Spełniła się wróżba starej Cyganki, która jeszcze na początku Wojny Północnej przepowiedziała młodemu królowi krótkie i sławne życie: może i było ono sławne dlatego, że uwierzył gadzina wróżbom i śpieszył się spełnić misję powierzoną mu przez Boga, a może właśnie było krótkie przez tę ochoczość, pragnął bowiem Karol uzyskać sławę w zgęszczonym ponad miarę czasie, w którym dla kul brakło wolnej przestrzeni i każda z nich śmierć zadawała.

Tak szedł przez życie nieustraszony król od pobudki pod Narwą w 1700 roku, kiedy to rozbił na głowę Piotra I, poprzez Warszawę, Kraków, Grodno, Berezynę, Smoleńsk, aż zatrzymał się na Ukrainie, gdzie Opatrzność sprzęgła go z losem narodu, któremu wolność nie była sądzona.

Jednakże, przebywając na wygnaniu w Benderach – Karol XII wciąż jeszcze wierzył w szczęśliwą gwiazdę kozackiego ludu, który na dziś stał się zaczynem fermentu w Europie, jutro zaś, kierowany przez oświeconego wizjonera Pyłypa Orlika pełnić będzie rolę potężnego garnizonu w środku Europy i pod protektorem Szwecji utrzymywać w respekcie wobec północnego władcy zdradliwą Turcję, próchniejącą Polskę i łapczywą azjatycką Moskwę z samodzierżawnym wielkoludem na czele, któremu dłonie podobnie jak Karolowi poczerniały od trudu i rękojeści

szabli, dusza pożąda sławy i władzy, serce zaś niewrażliwe jest na widok przelanej krwi.

Znużony przymusowym nieróbstwem w Benderach, bez wojska, bo armia szwedzka pozostawiona w Perewołocznej pod komendą generała Loevenhaupta kapitulowała przed Mienszykowem, zamyślił król imprezę, z pomocą której spodziewał się przywrócić Szwecji minioną sławę.

Naglił Kozaków, by co prędzej wybrali hetmana, który by skłonił chana krymskiego Dewlet Gireja do wyprawy na prawobrzeżną Ukrainę. Wówczas sułtan Achmet III podciągnie swoje pułki ku granicom Polski, on zasię, król, rozkaże wojskom szwedzkim wyruszyć z Pomorza i armia moskiewska, z trzech stron otoczona przez przeciwników, odejdzie na zawsze na ziemie swoich przodków, tracąc przewagę wojskową i polityczną na obszarze Europy.

Taki plan strategiczny narodził się w głowie nieokiełznanego króla, który już pewien był zwycięstwa, wszakże musiał czekać, aż skończy się spór o buławę hetmańską między Pyłypem Orlikiem i Andrijem Wojnarowskim, którego zmarły hetman jeszcze w Baturynie przed wysłaniem go na nauki do Niemiec uznał za swego spadkobiercę.

Karol XII wahał się, któremu z nich dać przewagę: Pyłyp Orlik, przez wiele lat sprawując urząd pisarza generalnego wojska zaporoskiego zgromadził nie byle jakie doświadczenie polityczne, jednakże młody król skłaniał się bardziej na stronę młodego, wykwintnego i bardzo oświeconego pretendenta do buławy, który swoim wdziękiem i nieustraszonością zdążył mu zaimponować.

Spór ciągnął się prawie przez rok, żony pretendentów, obie Hanny, pokłóciły się na wieki, jednakże na początku kwietnia 1710 Kozakom i królowi stało się wiadomo, że Wojnarowski jako najbliższy spadkobierca Mazepy zabrał skarb państwa, wydzielając Orlikowi na potrzeby wojska z sześćdziesięciu tysięcy talarów jedynie trzy.

Nie mógł Karol pojąć sekretu owej ugody. Kozacy zaś jęli

szemrać. Bo kim zostaną ciury pełniący służbę w taborach, albo też piechurzy bez żołdu? Wypiszą ich z rejestru i pozostawieni niemajątnemu hetmanowi Orlikowi pójdą najwyżej jako najemnicy. Czerń przeto domagała się oddania buławy Wojnarowskiemu.

Nie wiedzieli Kozacy, nie wiedział również i król, że pretendenci doszli do zgody, gdy Wojnarowski dostał z Hamburga od młodej i wpływowej w materiałach politycznych hrabiny Aurory Koenigsmarck list, w którym ostrzegą, że przekupna Porta może w każdej chwili wydać Piotrowi obu pretendentów razem ze skarbem Mazepy, przeto radzi edukowanemu w Dreźnie Wojnarowskiemu czym prędzej wyjechać ze skarbem do Europy, złożyć złoto jako depozyt w którymś z banków, samemu zaś zająć się orientacją Anglików i Francuzów do przyszłej wojny z Moskwą.

5 kwietnia roku 1710 kozactwo obrało hetmana Pyłypa Orlika: nowoobрани hetman ogłosił „Konstytucje praw i wolności Wojska Zaporoskiego” wysyłając deputację na Krym do Dewlet Gireja i nad Don do byłych uczestników powstania Buławina, a także do Baszkirów i Tatarów kazańskich, by wspólnie z wojskiem kozackim na rok przyszły po zamarzłej ziemi wyruszyć w pochód w celu wyzwolenia Ukrainy, zając Kijów, Woroneż, Azow.

Tkwiać drópie na kurhanach niczym strażnicy albo drogowskazy. Dokąd iść? Świat jest rozległy, kurhany zaś po lewej, po prawej i przed nami, i na każdym kwili szary ptak, przywołując ku sobie, jak gdyby na świecie istniała tylko jego prawda, i zapewnia, że tylko z nią ochroni się człek od kłamstwa, które ściga swoją ofiarę, wciąż jeszcze spodziewając się stypy po jej duszy.

W jakąż stronę uleciała Łabędzica i czy była ona – nieskalanym, niezaniechanym sumieniem Epifaniego? Musi ją dopędzić, przewędrować uprzednio trzydzieści manowców czyścicowej udreki, by wrócić do siebie i mieć prawo pracować, kochać, nauczać i odmawiać modlitwę.

Dokąd żeś uleciała biała duszo moja i jakich mąk mam

doświadczyć, byś zrzuciła z siebie łąbodzi całun obcości i przybrawszy znów postać dziewczęcą połączyła się ze mną raz na zawsze w jedno – iżbym nie tułał się po świecie, rozszczepiony na niezliczone postacie, z których jedna jedynie byłaby czysta – ty sama.

Jak zbrodzień, który wraca na miejsce swojej zbrodni, szedł Epifani do Bender. Słała mu się pod nogi puchata ostnica, pozostawiał za sobą ślad na rozdeptanych zielonych modrakach, ślad, którym kiedyś wolny od grzechu powróci do porzuconego eremu, i wołał go naprzód znajomą drogą posepny drop na wysokim pagórze przed bramą do Bender.

Z dała pośród rozedrganych w upale majaków zamierało miasto, w którym niegdyś Epifani – nie pamięta nawet jak dawno temu – przytknięciem ust do ręki hetmana przyczynił się do jego śmierci, a później odprowadzał oczyma trumnę okrytą czerwonym jedwabiem – kitajką, co kołysała się na barkach kozackich nad światem skąpanym w deszczu.

Nieopodal Bender, pomiędzy Dniestrem i Warnicą, gdzie pochowano Mazepę, wyrosło miasteczko. „To jest Caropolis – rezydencja króla szwedzkiego – wytłumaczyli mu Kozacy płaczący się bez zajęcia po peryferiach. – Tutaj jest wszystka jego potęga i sława, i przyszłość, a gościem u niego bawi hetman ukraiński na wygnaniu, Pyłyp Orlik, który niedawno wrócił z niedobitkami z wyprawy na Białą Cerkiew.”

Osiem pułków dragonii pod dowództwem generała Buturlina rzucił Piotr na zastępy Orlika, drgnęli wojacy cesarscy przed naporem i nienawiścią straceńców, a wówczas na wygnanych z ojczyzny ruszyły cztery zagony hetmana Skoropadskiego. Ze służbistością ordyńców, którym obiecano łaskę i nagrody, z troskliwością mężów, których żony zabrał do Głuchowa jako zakładniczki generał Buturlin, z nienawiścią ojców, których dzieci pobrali w jasyr Tatarzy przywołani na pomoc przez Orlika, ze sztandarem prawosławnego Boga, który upodobał sobie cara moskiewskiego i darzył go wiktoria, z rozpaczą wieśniaków,

którzy przez całe wieki, z roku na rok, marzyli o wolnej chwili, by pochwyć sierpy i zżąć posiane zboże, z desperacją skazanego na niewolę plemienia, do którego już nigdy nie uśmiechnie się swoboda, życie zaś, będące darem Boga, przeżyć trzeba i nikt nie chce umierać śmiercią głodową – uderzyły cztery pułki hetmana Skoropadskiego i rozbiły czterdziestotysięczną armię hetmana Orlika.

Powrócił Orlik do Carpolis i zapytał króla, gdzie ta armia turecka, która miała dotrzeć do granic Polski, gdzie wojsko szwedzkie, które powinno było wyruszyć z Pomorza; król zaś zapytał hetmana, gdzie skarb Mazepy, za który Wojnarowski miał w razie wyprawy zakupić broń we Francji... – „Oto gdzie” – wskazał Orlik na targowisko kozackie za namiotami i szałasami: tłoczyli się tam Turcy, Tatarzy i wszędobylscy Ormianie, kupujący od rycerzy zaporoskich ich rynsztunek wojenny, by Kozacy mieli za co kupić suszonej ryby i wypić okowity za niegdysiejsze wiktorie.

Epifani widział te transakcje: Kozacy sprzedawali niewier-  
nym armaty i buńczuki za talary; falkonety i piernacze – za dukaty, hakownice i litaury za dziesiątaki; piszczałe i surmy – za piąta-  
ka, szable i znaki pułkowe – za trojaka; – i znów przypomniał się Epifanemu pogrzeb Mazepy, kiedy to patrzył na trumnę kołyszącą się nad spłoszonym światem i myślał o Nazonie, którego w staro-  
żytności też pochowano tu przy ceremoniach obcych tutejszemu ludowi, i o czarnej otchłani czasu, co legła pomiędzy życiem Owidiusza i przyszłym śpiewakiem, który nie będzie pamiętać – bo niepotrzebna mu będzie owa pamięć – walki, namiętności, bohaterstwa i zdrad zapomnianego plemienia, porażonego lękiem i upokorzeniem – komu więc przyda się jego Epifaniego, pokuta, skoro sam lud za groszaki wyzbywając się swojej broni i godeł państwowych pokuty tej nie przyjmie...

Beznadzieja i niechęć do życia ogarnęły Epifaniego na widok tych targów, zgiełku i zachwalania towaru. Jakiś obdartus zwiął szablę z damasceńskiej stali w kółko, wypuszczał i odskakiwała



w powietrze z donośnym poświstem; Kozak przycmokiwał, a zwalisty Turek brał szablę do ręki, zamachiwał się nią, przecinając włosie końskie, po czym zabierał ją sobie, rzucając pogardliwie na bufiaste szarawary kozackie srebrną monetę. Inny Kozak szczękał języczkiem piszczali i mierzył w jastrzębia bujającego w zenicie, ładował kulę, podsypywał proch i strzelał – jastrząb padał w dół. Kozak zabierał monetę i śpieszył do szynku w rogu targowiska, a tam już krążyły w koło konwie – to puszkarze przepijali utarg za harmaty: hulaj dusza bez kontusza, raz do roku święto!

Epifani złapał się za głowę rękoma: zali tak właśnie, w tym momencie kończy w niesławie kozaczyzna swoje chwalebne dzieje? Wszystko bowiem zdarzało się w kozaczym życiu: odbierali broń rycerzom wrogowie, sami rycerze pozostawiali ją po pogromie na polu bitwy, wybuchały i ulatywały w powietrze puste beczki, pękały w walce wręcz szable z najlepszej stali, ale jeszcze dotąd nie sprzedawał Kozak broni – cóż za nią kupi za pozostałe po przepiciu pieniądze – jarzmo?

Mnich zagadnął podchmielonego Kozaka, gdzież jest kurzeń hetmański: obszarpaniec zmierzył wzrokiem jego zrudziałą sutanę: na co ci, obdartusie, sam hetman, jego mamy jednego i tylko jego, bo żołdu daj Boże i broni też już nie ma, ale jest jeszcze z hetmanem wolne towarzystwo kozackie! A ktoś ty taki, a nuż Moskwa na przespiegi wysłała, powiedz, coś za jeden, hetmana nie oddamy, bez broni jużeśmy, ale jeszcze z głowami, a bez niego całkiem bez głów zostaniemy...

Obszarpaniec sięgnął ręką do pasa, gdzie należało się wisieć szabli w pochwie; tej już nie było, pieniądze za nią zdążyły wywietrzeć z chmielem z kozackiej głowy; hej bo – tańcowała ryba z rakiem, a pietruszka z pasternakiem, cebulina znów z czosnkiem, dziewczuszyna z wyrostkiem! – poszedł Kozak zygzakiem przez plac przyspiewując: – oto ojciec świętobliwy dom pod strzechą z sitowia, tam nasz jaśnie wielmożny hetman pieniążki rachuje, by między nas rozdzielić, pójdź doń, może i tobie da jałmużnę!

Epifani stał na progu izby hetmańskiej i długo wpatrywał się usiłując rozpoznać w niewysokim mężczyźnie ze zniszczoną twarzą wiernego towarzysza broni Mazepy, co sam został hetmanem na wygnaniu. Pyłyp Orlik w czerkiesce i wysokich butach do konnej jazdy, z łysiejącym ciemieniem i zgarbionymi plecyma stał przy oknie i z melancholią spoglądał na zbieraninę na rynku.

Odwrócił głowę, gdy drzwi skrzypnęły, poznał Epifaniego i wskazał mu ręką ławę, by usiadł; Epifani pomyślał, że Orlik jest dziś równie bezsilny jak niegdyś on w Baturynie, nic nie może dokonać i nie ma sił ani odwagi wyjść do przekupniów, by jak Chrystus rozpedzić ich nahajką na cztery wiatry. Nie może, bowiem Kozacy rozjuszeni są przegraną pod Białą Cerkwią i sojuszem Orlika z ordą, która wycofując się z Ukrainy podeptała w cerkwiach święte dary i ikony, urządziła w świątyniach stajnie dla koni, poniewoliła dziewczyny, dzieciom główki rozbijała o mury i rzucała je w ogień – i kozactwo rozwścieczone spustoszeniem Ukrainy od Rosi do Dniepru zdolne jest rozedrzeć na strzępy swego hetmana wśród tego targowiska.

Znalazł więc w owej godzinie Epifani w osobie hetmana współuczestnika grzechu i świadom tego będąc Pyłyp Orlik podszedł do Epifaniego, położył mu dłoń na ramieniu i rzekł cicho, jak gdyby namawiał do spisku:

– Wybacz ojcze, żem skrzywdził cię podówczas słowem: nikt nie wie dzisiaj, jak się jutro ułoży... Trudno nam stawać oko z oko z ordą. Musimy wszak wytrwać i Bogu wiary dochować... Przysięgałem, gdy mnie zamianowano hetmanem, dbać o dobro ojczyzny, o jej całość, o rozszerzenie praw i swobód kozackich, na ile mi dano sił i umiejętności. Nikt nie przymusi mnie, bym stracił wiarę w przyszłość mojego narodu...

Epifani spojrział przenikliwie w oczy hetmana doszukując się w nich pewności dorównującej tym wzniosłym słowom, ujrzał w nich jeno cień desperacji i smutku, które Orlik osłonić chciał swą wypowiedzią. Rzekł:

– Wybacz jaśnie wielmożny mnie, com niegodzien zzuwać ci

buty, słowa jakie ode mnie usłyszysz. Złożyłeś przysięgę i nauczyłeś się jej na pamięć jak żak tekstu wielkanocnego wiersza, i trzymasz ją przy sobie jako wykup za wszystko co czynisz. Zamierzyłeś słuszną sprawę, to rzecz wiadoma, ale gdy przeradza się ona w zło, zasłaniasz się tą przysięgą przed sądem i pomstą ludzką, i znajdujesz w niej usprawiedliwienie swoich postępów. A cóż ja pocznę, skoro nie mam przed kim przysięgać, a com zbożnie zamierzył, obraca się w zło? Czyż to nie w dobrej intencji wyszedłem rano na rynek garncarski w Baturynie, ale bezwiednie stałem się świadkiem i uczestnikiem zła nie z tej ziemi? Czyż to ja chciałem zabić hetmana swym pocałunkiem, albowiem pragnął, by mój krzyk, na który zatrzymał się Karol, przyczynił się do jego zgubnej rany?.. Nie ma dla mnie przebaczenia i potępi mnie każdy. A za twój wypad pod Białą Cerkiew, po którym wezwana przez ciebie orda tatarska spustoszyła połowę Ukrainy, historycy w przyszłości napiszą ci w swoich diariuszach pochwałę za śmiałość i rezolucję. Dlaczego ja mam ponosić karę za to, że widział zagładę pięciu tysięcy ludzi, a ty nie znasz mąk duchowych, wytraciwszy ich dziesięć kroków więcej?

Hetman groźnie błysnął oczyma, jednakże Epifani wytrzymał jego spojrzenie, pewien bowiem był teraz swojej racji i ani trochę nie stropiła go wyniosła mowa Orlika, która zabrzmiała jak deklamacja studenta retoryki:

– Jaką bądź korzyść czy też uszczerbek odniósł z tego nasz naród, myśmy doznali z poczynań naszych jeno pociechy, bośmy trudzili się na chwałę i wielkość ojczyzny!

– Skoro tak cieszysz się ze swego postępu, czemuż to lękasz się wyjść na rynek do Kozaków, którym nie dałeś żołdu i którzy po twoim trudzie na chwałę ojczyzny kupczą dziś bronią a zarazem honorem?

Zgarbił się hetman i milczał czas jakiś, po czym uniósł głowę i patrząc w oczy Epifanemu mówił niezbyt pewnie, jednakże ta niepewność, która zabrzmiała w jego mowie, wzbudziła więcej doń zaufania:

– Miał żołądka inszą im dałem kosztowność. Dziś może na nią nie być pokupu, z czasem wszakże treść jej nabierać będzie coraz wyższej próby i kiedyś wyróżni nasz naród pomiędzy innymi... Wierzę w to i muszę wierzyć, bo gdybym utracił nadzieję – na cóż by się zdało wtenczas moje hetmaństwo i moje staranie?.. Dałem Kozakom i całemu ludowi Ukrainy najsprawiedliwsze Prawo – „Konstytucje praw i wolności Wojska Zaporoskiego”, wedle których mają prawo mnie również sądzić. Dlatego nie wychodzę do nich, by w gorącości, nie rozumiejąc najgłębszej istoty Prawa, nie pośpieszyli się użyć go wobec mnie, nie oznacza ono bowiem folgowania swawoli, ale uznanie godności ludzkiej...

– Czy chcesz powiedzieć, że dałeś im je za wcześniej?

– Może i tak... Jednakże i tak przyjdzie pasować się z despotą, wówczas nasz lud, osłabiony orężnie, musi mieć broń mocniejszą niż ordynarna przemoc ślepego despotyzmu. Broń ta, wykuta od wiek wieków w głębi naszego narodu, a dzisiaj wcielona w Prawo, skutkować zacznie później. Za to bezbłędnie... – głos hetmana nabierał mocy, która wykluczała wątplenie. Ta moc logiki podbiła Epifaniego. – Gdzie na świecie znajdziesz obecnie takie Prawo? Czy w Moskwie, co pobierała nauki od Tatarów i Mongołów? W imperium, gdzie obłąkany samowładca Iwan IV mógł własnoręcznie udusić metropolitę Filipa za to jedynie, że myślał inaczej niż car? Czy w dogorywającej Polsce, gdzie saskiemu władcy wciąż jeszcze marzy się absolutyzm? Ja zasię narodowi naszemu dałem swym ludowładczym prawem możliwość wyprostowania się do samookreślenia i wyzwolenia od lęku poddaństwa. Bo jeno wolni ludzie mogą zbudować państwo wolności.

– Dzisiaj ci wolni ludzie przegrają ze swoim gminowładztwem.

– Dziś tak, ale jutro przegrają despoci. Car Piotr potężny jest dziś wśród karłów, których namnożył w całym kraju czyniąc wielkich ludzi małymi. Co stanie się, gdy wszystek jego lud skarleje? Skąd weźmie asumpt, by kroczyć do przodu w nauce

i w sztuce polityki? Lud skarłały obywa się niewielkim rozumem, a z niewielkim rozumem staje się orda, motłochem, co wedle swoich praw ordy rozsypuje się w koczowiskach po świecie: coraz to więcej zagarniając przestrzeni słabnie na skutek pychy zdobywców i nienawiści pokonanych, spomiędzy których wyrastają bohaterowie, wychowani przez ojców w umiłowaniu wolności. Karły skazują się na wymieranie duchowe, boć cały kunszt gromadnego zniewalania ludzi martwy jest i rodzi najwyżej brutalną przemoc, nie myśl... Dziś rządzi w nas orda karłów, jutro wraz z nowym Prawem pozbędziemy się jej w duszach naszych. A wówczas rycerz swej broni nie odda!

Epifani słuchał coraz to pewniejszej i przenikniętej wiarą mowy hetmana i czuł, że w nim samym wykluwa się kielek nadziei, dla której warto żyć i cierpieć, zasię ta mgła rozpaczy, co oczadziła go pośród przekupniów broni, opadła, i znów zobaczył, jak za trumną Mazepy idzie lud skąpany w ożywczym deszczu i ludu tego przybywa, i już nie widać mu końca, powracają rozproszeni banici na ziemię ojczystą, kołysze się nad rosnącym zgromadzeniem trumna okryta kitajką i budzi się do życia i odkupienia naród oszpecony grzechem nijakości, przybiera na sile i zrodzi kiedyś swego proroka, co nie da umrzeć ludzkiej pamięci i za to go ukrzyżują.

– Jaśnie wielmożny hetmanie – rzekł Epifani, – dopierom co uwierzył waści, ale znów wątpienie jak robak toczy moją nadzieję: poddaliśmy się ordzie, co się rozpleniła w nas samych, zabijając wiarę, cześć i sumienie – Bóg niełaskaw zostawił nas na świecie po to jeno, byśmy dolewali zdrowej krwi w żyły ordyńców, żywych soków do ich mózgu, a swoim gospodarskim trudem uprawiali zboże, by napełnić ich żołądki. Sobieśmy zostawili jeno sprzedajność, zobojętnienie i ciemnotę.

– Jeszcześ nie wyszedł z pęt niedowiarstwa, ojczy – stwierdził hetman. – Wpuściłeś do serca ordę, która złupiła twoje świętości. Musisz wszak iść pomiędzy ludzi, leczyć się ich bólem, ich grzechami. Gdy się wyleczysz – im także zdołasz dopomóc. Weź

z sobą moje Prawo. – Orlik podał Epifanieniu pergamin zapisany drobnym maczkiem – i głos słowa jego prawdy nawet w ogłuchłych pałacach. Może w ten sposób odkupisz swoją winę, żeś się nie oparł pierworzodnemu grzechowi naszego narodu – zatracie świadomości.

Epifani wziął zwitek i miał już wyjść, ale na progu przystanął i spytał o to, o co musiał zapytać hetmana, by się upewnić w prawdziwości jego pouczeń.

– Zamierza pan bić się dalej, mości hetmanie? Zali wierzysz w zwycięstwo?

– Nie – odparł hetman i wzrosło zaufanie mnicha, bo nie dosłuchał się w tym dziarskiej nieszczeroci. – Za życia nie doczekam się wiktorii. Niepomysłnie składają się dziś konstelacje europejskie. Lecz jeśli teraz nie sięgniemy raz jeszcze po należne nam prawa, to za następnym razem nasze prawo do sięgania po nie okrzyczą bezprawiem. Co dnia budzić musimy w ludziach wiarę we własną Świątynię na własnej ziemi. Idź, by ją znaleźć.

## Rozdział szósty

Z tyłu już przebyta wpływ rzeka Boh, obcy kraj zastąpiły kępy wikliny. Straż turecka nie zatrzymywała wędrownego mnicha – a nuż był to derwisz z bractwa bektaszich, idący z wzniesionymi do góry rękoma, zapewne dopraszał się łaski u Allaha – wielu ich tędy chadza, kryjąc się przed bitymi drogami między wysoką ostnicą; może taką sobie zadają pokutę, by omijając bekety pograniczne wielu krajów obejść świat cały, albo też niosą giaurom jedyną prawdziwą naukę proroka Mahometa, pokój niech będzie nad nim... Tak sądzili strażnicy tureccy spoglądając niedbale na obszarpańca w znoszonym habicie, który z południa na północ wędruje bezdrożem, by gdzieś tam w nieznanym ukraińskich rozłogach spotkać się ze swą wyprorokowaną dolą, i nic go nie

zmusi do zboczenia z obranego kierunku, bo nawet samotne topole, siwiejące w południowym wietrze, ustawiają się w rząd i unoszą do przodu w stronę ojczystego kraju jak klucze żurawi.

Epifani ruszył wraz z topolami i unosząc ręce w górę odmawiał modlitwy przypominając je strofa po strofie; z głębin pamięci wydobywały się kantyki i psalmy, tropariony i kontakiony, ektenie i antyfony, przypomniawszy sobie całą Księgę Godzin – serce mnicha ogarnęła radość niebywała i snem koszmarnym zdała mu się teraz przygoda w wiejskiej cerkiewce pod Głuchowem, kiedy to miast zapomnianych modlitw z gardła wydobywały mu się przekleństwa.

„Bóg mi odpuszcza, Bóg mi odpuszczał!” – wołał do nieba samotny na środku stepu Epifani, lecz rychło otrząsnął się z niewczesnej radości, spostrzegł bowiem, że modlitwy powtarza w myślach, usta zaś wypowiadają tekst Orlikowego Prawa, wypisanego na pergaminie, który owinał wokół piersi pod koszulą: wykaligrafowane artykuły Praw spływały w wersach z pergaminu i wchodziły w pamięć, wypierając z niej dopiero co przypomniane słowa Liturgii i psalmy Dawida, i zajmując ich miejsce głosiły nie Bożą, lecz hetmańską prawdę, jak gdyby ostrzegały, że wtedy dopiero przyjdzie dlań odpuszczenie, gdy z ambony cerkiewnej, do której tak pewnie zmierza przez Dziki Step wespół z topolami, doniesie je do ludzi.

Nie przestawał poruszać wargami i słyszał już nie „Wierzę Panie i wyznaję, że Tyś jest Chrystus, Syn Boga Żywego”, ale kute w metalu słowa Prawa:

„Skoro w państwach rządzonych samowładnie panuje chwałebny zwyczaj, który sami samowładcy utrzymują w swoim otoczeniu, kładąc bez sprzeciwu swoje zezwolenia na wspólnych postanowieniach ministrów i doradców, przecz w wolnym narodzie nie miałyby być zachowywany taki dobry porządek, jaki był w Wojsku Zaporoskim przy hetmanach zgodnie z dawnymi prawami i wolnościami? Poprzez samowładztwo, nieprzystojne dla urzędu hetmańskiego, urosły liczne w naszym wojsku niesnaski,

łamania praw i wolności, ucisk ludu pospolitego. Przeto ustanowiliśmy przy elekcji jaśnie wielmożnego hetmana takie prawo, jakie ma być zachowane w Wojsku Zaporoskim, że z wszystkimi generalnymi osobami ma się naradzać jaśnie wielmożny hetman o całości Ojczyzny, o jej dobru powszechnym i nic bez ich pozwolenstwa i rady nie wszczynać swoją władzą prywatną, nie ustanawiać i nie wprowadzać w czyn..”

I dalej rozbrzmiewały słowa najsprawiedliwszego w świecie terażniejszym prawa: Epifani śpieszył, by jak najprędzej przebyć step i trafić na osiedle czy miasto, nad którymi się wznoszą zielone kopuły majestatycznych świątyń ze złotymi krzyżami i on to, wchodząc do świątyni przez zakrystię, stanie na kazalnicy i obwieści zgromadzonemu ludowi słowa prawdy – dla Kozaków i ludu pospolitego, wdów kozackich i osieroconych dzieci – i lud bytujący jako nieme bydłota wyzwoli się naraz ze swojej nicości i przemieni się w naród gotowy do ludzkiego życia na wolności. Wówczas na Epifaniego zstąpi odpuszczenie i z wielogłosowym chórem odśpiewa uroczyście kantyk: „Błogosławiony, który idzie w Imię Pańskie, hosanna na wysokość!”

Tak myślał Epifani brnąc przez step, aż nad urwiskiem zamajaczyła wieś, w której nie było żadnej wieży ani świątyni.

– Gdzież wasza cerkiew? – zapytał miejscowych, którzy nie wiadomo czemu rozmawiali szeptem, oglądając się bojaźliwie na drzwi i okna, jakby się obawiali, że ktoś niespodzianie wtargnie do domu, zabierze miskę sprzed nosa gościowi i jeszcze ofuknie gospodarza, czemu to karmi przybędę z gościńca nie pytając zwierzchności wsiowej, czy mu na to pozwala.

– Cerkiew zgorzała – wyszeptała młódka w czarnej chuście.

Twarz jej, wycieńczoną obawą jakiegoś nieszczęścia, pobrudził smutek, chciała rzec coś jeszcze, ale syknął na nią mąż, któremu wąsy zasłaniały usta niczym jakaś klapka ucinająca słowa, i młódka siedząca na ławie opuściła głowę na piersi z pokornym westchnieniem. Po chwili dodała:

– Nie mieliśmy cerkwi u siebie...



– Jak to nie mieliście? – zdumiał się Epifani. – Aboście to bisurmanie czy odstępcy od wiary?

– Zaliż ci mnichu nie wszystko jedno? – precedził mąż przez gęstwą czarnych wąsów i głos mu zabrzmiał głucho jak brzuchomówcy. – Nie mieliśmy i kwita. Jedz swoje i tyle.

Epifani odłożył łyżkę, strawa uwięzła mu w gardle.

– Bóg zapłać za ugoszczenie – podźwignął się od stołu. – Pójdę poszukać wsi, w której jest świątynia, bo głosić mam słowa prawdy... A gdzie się modlicie, zawieracie śluby, chrzycie swoje dzieci?

– Daj spokój, dobry człowieku – mężczyzna odgarnął wąsy i głos jego stał się wyraźniejszy. – Boga nie ma, to się i nie modlimy... Nie ma Boga – aż krzyknął gospodarz, jak gdyby utwierdzając siebie samego w bezboźnictwie.

– Gdzie nie ma Boga, tam diabeł rządzi! – przeraził się Epifani uląkłszy się słów gospodarza, które ugodziły go w serce wyrzutem, że sam nie raz myślał podobnie w przystępie rozpacz. Odstał w stronę progu, by opuścić dom, w którym mieszkają przynależni do Antychrysta, by nie mieć nic z nimi wspólnego, ale wstał gospodarz, ujął Epifaniego dłonią za ramię, potrząsnął nim i powiedział:

– A ty z jakiego kraju przychodzisz, że znasz Boga? Jeśli On gdzieś nawet jest, to nie u nas, i nie mać nam spokoju. Bez Boga jest lepiej: skaranie to mamy od ludzi, to czyż jeszcze potrzeba nam Boga? Pełno mamy we wsi załogi z pistoletami, szablami i nahajkami – zachęty do pracy nie brakuje, trudzimy się od świtu do nocy, karmimy ich jak przewaliste konie, ale i nam samym zostaje na żąb co nie co. Ale żeby już cerkiew budować, popa utrzymywać i jeszcze dać Bogu ofiarę – nie mamy skąd. To nam i lżej bez Boga.

– I żyjecie jak zwierzęta?

– Bośmy i zwierzęta... Wół albo krowa, pies i robak w ziemi – zaliż one modlą się do Boga? A jednak żyją... Ty nie szukaj w naszych stronach świątyni, w żadnej ze wsi jej nie znajdziesz. Ówdzie orda spaliła – tatarska, szwedzka, moskiewska, a gdzie indziej ludzie wedle rozkazu porozbierali cerkwie na opał.

– Wedle czyjego rozkazu?

Kobieta unosząc głowę jęła mówić półgłosem:

– Pędził ksiązę Mienszykow do Perewołocznej za Mazepą... bodaj jego kości porozciągały wilki po świecie, anathema, anathema przekłętemu Mazepie! – zabułgotały przekleństwa w gardle kobiety, jak gdyby z dawien dawna się nauczyła, że imienia zmarłego hetmana bez przekleństwa wymawiać nie uchodzi, i wypowiedziawszy je jak wierny modlitwę przed jedzeniem ciągnęła spokojnie: – Pędził Mienszykow za Mazepą, żeby ukarać go śmiercią srogą, po czym prawym brzegiem na Polskę wyruszył – i pozostawiał za sobą po wsiach konsystentów – takich małych jak dzieci ludzików uzbrojonych w szable i strzelby dziecinne, szable te nie tną, strzelby nie strzelają, ale mają też ze sobą nahajki – prawdziwe, druciane, stąd ludziska boją się ich bardziej niż dragonów. Pozajmowali domostwa, ludziskom w twarz pluja, siadają chłopom na ramiona i popędzają, zabawę sobie czyniąc, a ludzie słuchają ich jak te buhaje, co je chłopięta prowadzą za kółka wprawione do nosa. A kto się od nich opędza, tego ciżbą okrążają jak te osy, wdrapią się na ramiona, wyszarpują czuby... Wszystkiego już się nasz lud naoglądał, a tego jeszcze nie, to się i upokorzył: i podatki płacimy, i kłaniamy się nisko, aż do ziemi, byśmy mogli kartu zajrzeć w oczy...

– Oni to – przerwał mąż mowę żoniną – ogłosili przed ludem zgromadzonym: „Wolność dla wszystkich, Boga nie ma i kary boskiej nie będzie – porozwalajcie cerkwie”. I ludzie porozwalali. Chudziaki porozbierały trzaski na opał, bo z drwami u nas nietęgo, a kto mocniejszy – uwiózł belki na podwaliny do chaty, przepierzenia zasię na kurniki. A złoty kielich wzięli mali ludzie i piją zeń okowitę, którą dla nich warzymy... Żyjemy tak bez Boga i łatwiej nam, nie obawiamy się kary boskiej i nie czekamy, i też od samego ranka pijemy gorzałkę. I dobrze nam jest...

– W gorzałce znaleźli sobie boga – dopowiedziała żona.

– Kiedy to z wami się stało? – nie mógł dać wiary Epifani, że pod jego nieobecność – boć raptem kilka lat minęło jak opuścił

Ukrainę, – a w kraju nie pozostało cerkwi, ludzie stracili wiarę i zapomnieli o modlitwie...

Wspomniał wszakże, jak to płonął Baturyn, orda burzyła świątynie, na dzwonnicy zaś, z której bicie w dzwony zwoływało kiedyś lud na nabożeństwa, podrygiwały nóżętami zamęczone dzieci i Bóg na to patrzył, pozwalał, znosił takie bezbożne urągowisko – to czyż zaiste jest On na świecie i czy nie z tej racji, że Go nie ma, wywietrzały niegdyś z pamięci Epifaniego modlitwy, a na ich miejsce wdarły się plugawe przekleństwa? Zaliż ci ludzie mniej widzieli nieszczęścia od niego?

A jednak, niezdolen uwierzyć w takie opustoszenie dusz ludzkich bez przebłytku nadziei, w taką czarną otchłań niepamięci, wyszeptał:

– Kiedy się to z wami zdarzyło?

– Że Boga-śmy zapomnieli? Bo Go nie ma, prawdę mówią nam mali ludzie. Jakby był, czyżby mógł patrzeć na te płynące szubienice, co wypływały od Desny i jak zjawy ciągnęły jedna za drugą z prądem Dniepru, wisiały na nich zwłoki i czarne kruczyska obdziobywały je do kości. A Kozacy przybici gwoźdźmi do belek jeszcze dychali...

– I nikt ich nie ratował? – spytał Epifani z nieśmiałą nadzieją, że może znalazł się jeden taki odważny i rzucił się na ratunek jeszcze żywemu ukrzyżowanemu człowiekowi...

– A ty byś uratował? Ty byś uratował?! – rozjątrzył się wieśniak i z miejsca stłumiwszy głos za gęstymi wąsami wyszeptał: – Samem widział szkielety obgryzione przez ryby i udawałem, że nie widzę. Wszędzie włóczyli się dragoni, a i swoi by donieśli, jakby kto się ośmielił pochować szczątki po chrześcijańsku. Nie, nie ratowałem i nie grzebałem, bom się bał... Bo jakby był Bóg na świecie, to przynajmniej lęk by nam odebrał... No powiedz, czyżbyś ratował? – z taką samą nadzieją jak dopiero co Epifani, dopytywał się teraz wieśniak.

– Wszyscy muszą pokutować – rzekł mnich.

– Wszyscy nie będą – machnął ręką wieśniak. – Kto zechce

kłaść zdrową głowę pod Ewangelię? Chyba że ktoś taki się zjawi – jeden za wszystkich... Ale co tam, minęły czasy wybawicieli. Nie ma Boga!

...Epifani dotarł do innej wsi – i tam nie było cerkwi, nie znalazł jej ani w trzeciej, ani w dziesiątej. Wszędzie rozmawiano szeptem, nikt nie chciał wiedzieć o Bogu, w niedzielę od świtu do wieczora trąbiono wódkę i leżeli pijani po ogrodach, w rowach przydrożnych, a czasem wprost na drodze i nikt nie miał najmniejszej ochoty buntować się przeciw takiemu życiu. Karłów Epifani nie widział nigdzie, nikt nie umiał, albo też bał się go powiadomić, gdzie mieszkają, jednakże wszyscy wykonywali ich wolę, przekazywaną przez wiejskich drabów – hajduków, słuchano ich bezmyślnie i pokornie, przez cały tydzień trudzono się mozolnie, w niedzielę zaś dziękowano małym ludziom za szczęśliwe i radosne życie, za możliwość obywatelstwa bez rozterek i utrudzania mózgu.

W którejś jednak osadzie Epifani ujrzał karły. Podobne były do siebie jak dzieci jednej matki i nawet służący u nich hajdacy nabierali tępego wyrazu twarzy upodabniając się do nich; mali ludzie mieli pewny sobie wygląd, nadykali się, wyprężali nadrabiając przez to niedostatek wzrostu, patrzyli na ludzi zimnymi, jakby przysłoniętymi miką oczyma, w których nie prześwitywał ani gniew, ani litość...

Zbiegły się karły niczym stadko mysie do zagrody hreczkosieja, który nie uścił pogłównego; kryjąc się za płotem obstały zagrodę, a w zagrodzie ich hajdacy – spasiono dryblaszy w szarawarach omiatających ziemię i z kozackimi osełedcami – zabierali wszystko co wpadnie w oko: inwentarz, sprzęty, zboże. Później spędzili chłopów ze wsi i kazali im wieść i znosić to wszystko na podwórze setnika; chłopci starali się sprawnie wykonywać polecenia hajduków, nadto dowcipkowali i pokpiwali z kiepskiego gospodarza, który zamienił korzyści wynikające z posłuszeństwa na karygodny bunt.

Ten zasię wyprowadził z chaty sześcioro dzieci i żonę, znalazł

w komórcie zardzewiała szablę i poucinawszy im głowy zawołał:

– Dajcie mi kwit, hamany, równo siedem dusz wypadło z waszego rachunku!

Nie pamięta Epifani, ile wsi ominął po tym wypadku, bojąc się pokazać na oczy ludziom, którym tak lubo już było żyć w niewoli, że i wydrwili buntownika, a później zgodnie huczeli z aprobatą, gdy pacholkiwie z kozackimi czubami zakuli niepokornego w kajdany i oddali karłom, aby dłużej nie mącił im spokoju, nie odbierał im tych pijackich niedziel, kiedy można z szumem w głowie wypoczywać przez cały dzień miast wystawiania na modlitwie w świątyni.

Którejś niedzieli osłabły z głodu trafił Epifani do zapuszczonej osady, w której na spróchniałych podwalinach dawnej cerkwi, co pozostawiały na ziemi ślad krzyża, siedzieli sobie błogo mieszkańcy i przechwalali między sobą, który z nich lepiej umie pędzić gorzałkę.

– Takiej miętówki jak ja uwarzyć nikt nie potrafi – dowodził chłopina unosząc przed sąsiadami graniastą butlę z zielonawym płynem; z ociąganiem puścił w koło naczynie i patrzył melancholijnie, jak się opróżnia przechodząc z ręki do ręki. Wieśniacy cedzili zielonawą lurę i soplwali, mimo to butlę osuszyli do cna, wszakże miast podziękować szydzili z łaskawcy, że im taką śmierdziuchę przyniósł w poczęstunku przy świętej niedzieli.

– Najlepsza jest na kurzym zielu! – wyjął z szarawarów oplataną flaszkę kolejny i przytknąwszy do ust wysysał trunek jednym ciągiem, wiedział bowiem, że jak puści flaszkę w koło, to już ani kropli na dnie nie uświadczy.

– Pusta – skrzywił się trzeci, któremu udało się przejąć flaszkę z rąk właściciela; wysuszył ją skrupulatnie i cisnął na sam środek odbitego na ziemi krzyża.

Upadła wprost na miejsce, w którym stał kiedyś ołtarz cerkiewny, stanęła na sztorc i zachnęli się podpici chłopci, bo nagle zajaśniało naczynie niczym głownia wyjęta z żaru i w oczach

zmieniło się w złoty kielich, a kiedy urósł na pół sążnia, ujrzeni biesiadnicy, jak napełnia się od dołu po same wręby krwistoczerwonym winem wychlustującym ponad krawędzie.

Struchleli chłopci, pootwierali usta, boć przypomnieli sobie, na jakim to miejscu piją w świętą niedzielę i kary Bożej, na którą dawno już byli niepomini, ulękli się czyniąc pośpiesznie znak krzyża.

A wówczas wystąpił na środek i stanął obok kielicha nie wiada skąd przybyły mnich w zrudziałym habicie i wypowiedział:

– Pijcie ode mnie wszyscy, to jest krew moja Nowego Przymierza!

Poderwali się z miejsca, by uciec przed cudem i karą Bożą, ale nie mieli dokąd: dokoła wyrosły ściany, a nad głowami zawisło niebo cerkiewnej kopuły z ośmiopromiennymi gwiazdami. Kielich z winem stał na ołtarzu i odprawiał przed nim nabożeństwo ojciec Epifani.

Poklękali, jak to zwykli czynić nabożnie jeszcze przed przyjściem karłów i znaczyli się krzyżem, a gdy duchowny wstąpił na kazalnicę, powstawali i słuchali nauki.

Ojciec Epifani wyjął z zanadru zwój pergaminu, rozwinął go i jął czytać niczym Dobrą Nowinę.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Boga w Trójcy uwielbionego. Niechaj stanie się na wiekopomną pamięć i sławę Wojska Zaporoskiego i całego narodu ukraińskiego. Przedziwny i nieodgadniony w dziełach swoich Bóg miłosierny i cierpliwy, sprawiedliwy w karceniu, unosi na wadze sprawiedliwości jedne państwa, insze zaś za grzechy i nieprawości upokarza, jedne ujarzma, insze wyzwala, jedne wywyższa, insze w dół strąca...

– Panie zmiłuj się nad nami! – ryknęli pijani chłopci.

– Tak i lud starodawny kozacki był pierwiej wywyższony w nieśmiertelnej sławie, obszernym władaniu i rycerskiej odwadze, jaką budził respekt u sąsiednich nacji... Po czym wielbiony na wysokościach sprawiedliwy sędzia Bóg z racji rozlicznych niesprawiedliwości i nieprawości, pokarawszy licznymi plagami ów naród poniżył, uśmierzył i omal jako wieczną ruinę w dół strącił...

– Święty, Święty Pan Zastępów, pełne są niebo i ziemia... nie, już nie tak pewnie wymamrotali chłopci – gdzież taką przypowieść w Ewangelii wynalazł ojciec dobrodziej – i ukradkiem wymienili między sobą spojrzenia.

– Państwo moskiewskie – czytał dalej w pergaminie ojciec Epifani – licznymi sposobami do ostatka zniweczyło nasze prawa i swobody, i na lud wolny kozacki nałożyło jarzmo podległości...

Zaszemrali wieśniacy, któryś mruknął z cicha:

– Omam... Patrzaj no, kumie, kielich znów się we flaszkę obrócił.

– Wciurności!... A kazanie głosi jakiś oberwaniec.

– I mówi, prawdę ci powiem, nie to... nie z Ewangelii.

– Cicho, cicho, wszak ci to kielich cerkiewny...

– Ty niedojdo zaćpana, jaki tam kielich?

Epifani zaś nie zważając na szemrania czytał dalej Orlikowe Prawa, chcąc za wszelką cenę dokończyć, bo pewien był, że jak dojdzie do imienia Mazepy, tutejsi go zrozumieją.

– Wówczas chwalebnej pamięci jaśnie wielmożny Joann Mazepa, przejęty troską o sprawiedliwość i całość Ojczyzny...

– Anathema, anathema! – chórem zakrzyczeli chłopci, ale Epifani nie przerywał czytania.

– Nie mniejsze miastom ukraińskim czyni się uciski obecnie. Przeto po ustaniu zawieruchy wojennej i po wyzwoleniu Ojczyzny z moskiewskiego poddaństwa ustanowiona ma być przez wybranych k'temu komisarzy i poddana pod rozagę Rady Generalnej przy hetmanie...

– Coś ty za jeden? – ocknął się z odurzenia tęgi chłop w barankowej czapie kozackiej z długim wypustem. – Widzicie go! Samodzielnej Ukrainy mu się zachciało. A niech cię drzwi ścisną!

– Separatysta! – zawołali wszyscy jednogłośnie, wymawiając słowo, którego nauczyli się od karłów, choć nie bardzo rozumieli jego znaczenie.

– Od Mazepy któryś! – rozległo się alarmująco na placu, a wówczas chłopci łokciami roztrącili ściany cerkwi, na żerdzi

podźwignęli błękitną banię usianą złotymi gwiazdami i rozbujawszy, cisnęli ją, patrząc jak zlatuje brudną płachtą na zarosłe głógiem cmentarzysko.

– Skądęś się wziął? – szarpnął Epifaniego za sutannę ten w kozackiej czapie, kopnąwszy wprzód flaszkę, co na moment wydawała się kielichem.

– Ja... przyniosłem wam wolność... – wyjąkał przestraszony mnich.

– Phi, a na cóż nam ona? Zgoła nie potrzeba nam twojej wolności. Przyniosłbyś lepiej kiełbasy, byśmy mieli czym zakąsić przy niedzieli. Wolność to my już mamy i wiemy, co to takiego. To wtedy, jak nie ma porządku!

– Wysłuchajcie mnie – bronił się Epifani. – Przyniosłem wam prawo o wolności, dość jużście gnili jako niewolnicy.

– Nam dobrze jest jak jest, a ty idź skąd cię przyniosło. Nam trza spokoju i słoniny na trzy palce.

– Kiedy żeście zdążyli przemienić się w inwentarz?

– No, miły bracie, jużęś przebrał miarę. Bijcież braciszkwie przybłędę, mazepińca, ojczyźniaka, wszak on na samego naszego cara dobrodzieja miłościwego rękę podnosi!

Kupą rzucili się hreczkosieje na Epifaniego, bili go, tłukli i miesili nogami. Znosił cierpliwie ciosy i myślał pomiędzy nimi:

„Pięści wam potrzeba, a nie praw ludowładczych, nahajką ciała przeorać do kości, byście opamiętali się z bólu i pojęli, ktoście tacy! Lejc, wędzideł, by rozdzierały pyski, a nie wolności, posłuszeństwo wam potrzebne, a nie Orlikowe Prawo!”

I zalany krwią, obolały, w pół żywy posłyszał poprzez majaczenia głos Łabędzicy-Motri:

„Ty też im pięść obiecujesz? Małoż im karłów? Chcesz ich budzić krzykiem, obelgami i w taki sposób zdobyć ich serca? Zaspanego budź ostrożnie, by się nie przeraził, bielma z oczu nie zdzieraj, lecz zmywaj, by nie bolało, światłem duchowym nie oślepiaj, lecz oświecaj, nauczycielem bądź, nie poganiaczem...”



Uszedł z placu Epifani słysząc za sobą rechot pijanych wieśniaków, zadowolonych ze szmerku w głowie:

– Na plewy nas nie nabierzesz, bośmy stare wróble! Wiemy, co w trawie piszczy... Wolność przynosi! A bo nam jej potrzeba? No powiedzcie kumie, jesteście wśród nas najmądrzejsi, po co chochłowi, pączkowi w maśle, ta niby wolność? Co my z nią robić będziemy? Ino ludzi śmieszyć...

– Tak to ono i jest – odparł mądry kum drapiąc się w ciemię. – Jak nie ma, to i nie potrzebna, a jakby była, to niech by była... Ale co tu gadać, bracia – czego nie ma, tego nie ma... Pijmy lepiej, raz na tydzień niedziela!

Epifani snuł się bezdrożem. Wieś, w której na ziemi pozostał splugawiony znak krzyża, już dawno schowała się za przyłaskiem, ale bluźnierczy śmiech ludzi, którym już miękko i wygodnie było nosić juchtową uprząż, biegł za nim, odzierając go z resztek ochoty. Pojmował, że – by nie wiedzieć jak ciężka była jego pokuta – siebie jeno zdoła uwolnić od grzechu, ci zaś ludzie, co zbezczęścili Świątynię na ziemi i w swoich duszach, potrzebują jej i to niesłuchanie – sami dla siebie, i że jego skrucha i wędrówki przez mękę ich nie uratują. Wszystek lud przyzywać trzeba na drogę krzyżową. Trzeba go wyprowadzić z małości jak wyprowadzał Mojżesz z Egiptu lud Izraela nasycony chlebem niewoli, przez czterdzieści lat błakając się po pustyniach Arabii w cierpliwym oczekiwaniu śmierci ostatniego sytego niewolnika.

Musi się zjawić Mesjasz w Trzecim Rzymie – inaczej dzuma duchowa wytrawi obraz Boży z ludzkich twarzy i naród pozostanie bezeń na wieki, przestanie być narodem.

Orda karłów najeżdża Ukrainę, bierze ją w jasyr i jak polipy przysysają się do ludzi normalnego wzrostu pozostawiając w ich duszach na zawsze ślad małości. Gdzie Mesjasz, który swoją śmiercią w obliczności ludu nauczy go, że można się ostać nie upodabiając się do karłów, nie dać się naznaczyć ich cieniem albo nawet oderwać ów cień od żywego ciała, choćby nie wiedzieć jaki ból miało to sprawić?

A może sądzono mi zostać Mesjaszem, może trzeba dać się ukrzyżować w imię ocalenia ludu? Ale czy nadszedł już czas na ofiarę Męczennika, czy wyrosła u nas Golgota, coby była widoczna w całym kraju wraz z męką Mesjasza na niej? Czy jestem gotów na te męki i czy dojrzał naród, by się uświęcić przez nie i ozdrowieć? I czyż ja sam, nie odbywszy swego oczyszczenia, przemierzyć mogę szlak na Golgotę?

Zmiłuj się nade mną Boże w wielkiej łaskowości Twojej...

Gdzież jest ta okolica, w której zagnieździły się karły, z jakiegoż to gniazda rozpełzają się, namaszczone przez Antychrysta, po ziemi? Jak zdołam walczyć z nimi i życzyć sobie śmierci z ich rąk na krzyżu, skoro nie znam tej wrażej mocy, trucizny zawartej w ich filozofii, źródeł doraźnej przewagi? Jak mogę uczynić tarczą moje wartości etyczne, nie wypróbowawszy ich mocy na sobie?

Skoro wyznaję jakieś wartości, muszę wpierw zahartować je pomiędzy nimi. Kto wskaże mi drogę do karłów? Wilkołak? Nikt inny nie wskaże i muszę znów z nim paktować...

Resztki sił tracąc przypomniał sobie Epifani wilcze hasło i zawył. Potoczyło się echo po stepie, uderzyło o ścianę zarosli nadrzecznych i odebrzmiało radosnym ujadaniem.

Ujrzał, jak z odległej gęstwiny wytacza się karoca zaprzężona w cztery czarne mierzyny – były to konie Apokalipsy: Wojna, Głód, Śmierć i Zaraza.

Zaprzęg trzymał w garści dwumetrowy osiłek z karaluszyni wąsami i gołą głową; stał rozkraczony w karocy naciągając rzemienne lejce, darł uździenicami końskie pyski, bił konie szpicrutą, konie chrypiały i dyszały ogniem, tratowały ziemię kopytami, aż przystały przy wędrowcu leżącym twarzą do spękanej ziemi.

– Pułkownik Nos? – uniósł głowę Epifani.

– Mierz wyżej! – rozległ się władczy głos.

– Wasza wys... – zdębiał mnich, poderwał się i strzepując kurz z habitu czekał niechybnej kary za głuchowskie oszustwo.

Wówczas dopiero rozchylił powieki i zdziwił się niepomier-

nie: na koźle karocy siedział karzeł powożący końmi, obok zaś magnat w ufryzowanej peruce, okrywającej go całego niczym wywrócony kozuch.

– Przywidziało ci się, wielobny, mierz niżej – stwierdził magnat. – Jestem Mienszykow, zali mnie nie poznajesz?

– Skądże droga i dokąd?

– Z Małorosji do stolicy Trzeciego Rzymu. Siądź ze mną!

I ruszyły konie Apokalipsy skręcając ze ścieżki polnej na bity trakt. Długo albo i krótko leciały konie, dudniły o ziemię czy też śmigały w powietrzu jak ogniste smoki pozostawiając za sobą czarną smugę pogorzelsk...

Opamiętał się Epifani jeno wtedy, gdy na północnym skraju bagnistej równiny zajaśniała w słońcu złota iglica Admiralicji nad czarnymi bastionami carskiego Garnizonu.

Rumaki Apokalipsy przeobraziły się w pospolity zaprzęg, niemrawie pokrzykiwał na nie karzeł-woźnica, Mienszykow zwrócił głowę w stronę Epifaniego, który leżał skulony w pudle karocy, i rzekł doń:

– Dzielniesz sprawował się w Baturynie, jako wierny poddany ogłosiłeś klątwę na Mazepę, mianuję cię przeto mym spowiednikiem. Posługiwałeś Mazepie, to i mnie teraz posłużysz. Będziesz, gdy ci rozkażę, przychodzić do soboru Piotra i Pawła i w konfesjonale wysłuchiwać będziesz mych grzechów. A mieszkać będziesz wśród karłów na Wyspie Wasilewskiej.

Pomyślał więc Epifani, że los zsyła nań najtrudniejszą próbę.

# POŚRÓD KARŁÓW

## Rozdział siódmy

Poza posepnym i nie różniącym się z wierzchu od koszar pałacem Mienszykowa, co zasłaniał głąb Wyspy Wasilewskiej przed wielookim Peterburgiem, który z obu stron Wielkiej Perspektywy obrastał kamienicami i lepiankami, kryło się Przedmieście Karłów założone przez Piotra I i jego faworyta Mienszykowa w onczas jeszcze, gdy obaj byli młodzi i spragnieni dystrakcji niebywałych i niesłychanych w jednostajnym świetle Moskiewskiego Imperium.

W końcu XVII wieku młody car wracając z Holandii, gdzie uczył się budować statki i przyglądał się europejskim obyczajom, przywiózł sobie do zabawy parę małych ludzi, Toma i Mimi, którymi bawił się w wolnych chwilach niczym łątkami: stawiał ich na swoich rozłożystych dłoniach, podrzucał ich, delektował się ich maleńkością, bezradnością i przestachem, a co było chyba najważniejsze – czuł podczas tych zabaw swoją niezmierną nad nimi przewagę.

Gdy już uprzykrzyły się carowi chłopięce igraszki z karzełkami, w jego pełnej inwencji głowie zrodził się pomysł pożenienia swoich faworytów, by nie byli samotni wśród ludzi normalnego wzrostu, zamyślił sprowadzanie z całego świata podobnych do nich i w nowej stolicy, którą już zaczął budować nad Newą, założenie kolonii karłów, co by na zawsze, niczym pole bitwy na stole, na którym feldmarszałek uprzytamnia sobie ordre de bataille, stanowiła makietę wielkiego imperium, w którym ludzie powinni zostawać igraszką w ręku wszechmocnego władcy.

Car zalecił Mienszykowowi podpisywanie z potencjami europejskimi kontraktów na kupno istot wzrostu mniejszego niżli normalny – ludzi, ptaków, czworonogów. Z wszystkich zasię krańców Imperium Moskiewskiego sprowadzał swoich niewyrośniętych współziomków za bezcen, przy czym za tych najmniejszych i najbardziej pokracznych płacił podwójnie – aż niebawem w młodym Peterburgu w sali pałacu Mienszykowa, pośród miniaturowych mebelków, przy niziutkich stołach, nakrytych miniaturową zastawą, z prezentacją posagu, złożonego z karłowatych kuców, kotków, kurek i piesków, w przytomności dwumetrowego monarchy, nieco tylko niższego Mienszykowa, dostojnych ministrów, strojnych wykwintniś i dam dworu wyprawiono wesele przyjętych do stanu szlacheckiego dwojga nieszczęsnych, okaleczonych psychicznie istot, co dotąd gubiły się w morzu ludzkim, albo też nad miarę darzone były sympatią. Onoć wesele pary holenderskich liliputów ustaliło pierwszą datę w dziejach kolonii karłów: po śmierci jej założyciela, wielkiego mistrza Toma, rocznicę jej obchodzono uroczystie, z czasem zaś obrosła w legendy stanowiące dla małych ludzików najwyższą świętość.

Świat karłów zdawał się być pozaziemski i na pozór niezależny od faktycznych twórców kolonii – z odrębnymi instytucjami, własnymi i nieznanymi dotąd ludzkości prawami, a także religią, nie mającą nic wspólnego z nauką Chrystusa.

Mali ludzie, utworzywszy społeczność, poczuli raptem swoją moc i znaczenie, przejąwszy zaś od nosicieli władzy z carem włącznie bezwzględność, wiedzy wszakże nie przejęli – lękał się bowiem jego wysokość powierzać ją małym ludziom bez duszy – wykoncypowali swoją własną doktrynę, z której urosła, podobnie jak u ludzi normalnego wzrostu, praktyka polityczna, a że była ona niezgodna z odwiecznym ludzkim obyczajem i niebezpieczna dla otaczającego ich świata – zarządził Mienszykow ogrodzenie ich kolonii wysokim parkanem, by pozostała dla ludzi tajemnicą, nadto lękając się z ich strony jakowejś groźby dla państwa – postawienie na straży gwardzistów.

W myśl zawartych umów międzynarodowych werbownicy karłów nadal dostarczali zamówiony towar do Peterburga, przeto kolonia się rozrastała, ogrodzenie wraz z posterunkiem gwardzistów przenosiło się coraz bliżej w stronę pałacu Mienszykowa, jaśnie oświecony książę zasię ekspediował ich partiami, by kolonia nie objęła całego Peterburga, dawał im władzę karania nieposłusznych i posyłał ich tam, gdzie było niezbyt spokojnie, a zwłaszcza do niesfornej Małorosji; mianował ich też stangretami karet książęcych i czarnych kibitek\*, które zabierały ludzi podejrzanych o spiskowanie przeciw carowi; służyli oni także jako „językowie”, którzy hasłem „słowo i czyn”\*\* wskazywali na ulicach imiona i osoby nieprawomyślne.

Karły w swojej kolonii wyznawały zasadę równości, wyższych od siebie nienawidziły, te zasię, które nazbyt wywyższały się nad mistrza i komturów, skracano o głowę na rusztowaniu. Miały swój uniwersytet: nie znając pisma, podobnie jak ich protektor, książę Mienszykow, na wieczornych szkoleniach politycznych uczyły się na pamięć dziejów kolonii, a zwłaszcza życiorysu Toma, pierwszego ich wielkiego mistrza.

...Karzeł Jermołaj\*\*\* pełniący obowiązki stangreta zatrzymał konie przed misternie kutą z żelaza niebotyczną bramą: otwarła się raptownie i czterej dworacy w kolorowych liberiach stojący parami przy taburetach równocześnie złamali się w pasie.

Mienszykow dał krok z karocy. Zmierzywszy wzrokiem Epifaniego, który stanął przed nim zgarbiony niczym skazaniec przed egzekucją, prychnął wzgardliwie i dał znak palcem karłu. Ten gniewnie zasapał, niemrawie zsunął się z kozła na ziemię, przez co zrobił się jeszcze mniejszy niż dotychczas. Mocno był niekon-

---

\*Aluzja do instytucji feldjegrów, zob. objaśnienie Adama Mickiewicza w III części „Dziadów” (tłum.)

\*\*Trudnili się tym już oprycznicy Iwana Groźnego, później diacy i pomniejsi funkcjonariusze specjalnych służb i kancelarii (prikazów) (tłum.)

\*\*\*Greckie imię Hermolaos „podpora ludu” w tej postaci nasuwa etymologię ludową „naganiający w jarzmo” (tłum.)

tent z tej racji, Mienszykowowi bowiem sięgał do kolan, Epifaniemu zasię do pachy; jał się nadymać, prężyć i choć mimo to nie przybyło mu wzrostu, zdołał jednak wzbudzić pewien respekt w rozkazodawcy, w Epifaniam zaś stłumione uczucie lęku: oczy karła nabiegały mrozącą krew w żyłach czerwienią, podobne mieli zaiste rozwścieczeni ordyńcy sprawiający rzeź w Baturynie.

Może z tej racji Epifani nie odczuwał już maleńkości karła: przypomniał sobie tych przygnębionych wieśniaków, co rozmawiali szeptem, i poczuł podobny jak oni lęk pozbawiający głosu i panowania nad własnym ciałem; serce mu się ścisnęło w przeczuciu nie zaznanego jeszcze nieszczęścia.

Mienszykow uśmiechnął się do karła wyrozumiale, jednakże i ów uśmiech zmienił się w uprzedzający grymas; palcem ukazał Epifaniego i dysponował, odwodząc spojrzenie od czerwonych oczu karła:

– Nie zrównywać, wydać stosowny uniform, zaszeregować jako mnicha monasteru Piotra i Pawła, zakwaterować w dozorcówce przy składzie piasku. ɾ

Książę odwrócił się i udał z orszakiem sług do pałacu; z oficyn wybiegli stajenni i wyprowadzili konie za uzdy, a gdy za karocą zamknęła się ciężka brama, karzeł zdążył wydrapać się jak po drzewie na ramiona Epifaniewi, zwiesił mu nogi na piersi, wygodnie rozsiadając się na karku, i głośno cmoknął.

Epifani w mig poczuł dziwną przemianę w sobie: niechybnie życie prostych ludzi stawało się łatwiejsze, gdy dawali się osiedlać karłom i z osób żyjących dotąd myślą o Bogu i, rzecz jasna, chlebie powszednim – stawali się sytą i bezmyślną siłą pociągową. Pojął niebezpieczeństwo tkwiące w tym ułatwieniu, skurczył ramiona, by strząsnąć z siebie karła, lecz było już za późno: Jermołaj ściśle oplątał mu szyję krzywymi nogami i uchwyciwszy go za wiotki kosmyk, piętami ścisnął mu żebra niczym ostrogą.

Mnich pobiegł jak źrebiec podcięty biczem do wyminki w parkanie, przy której stali gwardziści Mienszykowa, poprosił ich o pomoc, ale wystraszeni stróże porządku odskoczyli w obie

strony, bo takiego widowiska, by karzeł jechał wierzchem na rostry człowieka – nie widzieli dotąd.

Czegoś podobnego nie widziały też chyba same karły: wybiegły ze swoich koszar na spotkanie stangreta, co niespodzianie z najmniejszego stał się największy, jednakże karłem pozostał, padały przed nim twarzą do ziemi i rozkrzyczały się jak najgłośniej:

– Niech żyje nam wielki Jermołaj, wierny uczeń zmarłego, ale wiecznie żywego, żywszego od wszystkich żywych na świecie mistrza Toma! Pod twym mądrym przywództwem sami urosniemy i udowodnimy im wyższość naszego porządku! – Tu karły wskazywały w stronę pałacu Mienszykowa. – Naucz nas, jak stać się wielkimi!

Jermołaj wyprężył się i zawołał, dłoń wyciągając do przodu:

– Ten będzie wielki, który osiodła Małorosję!

– Hurraa! Gotowiśmy do tego wielkiego czynu!

– Słuszną drogą idziecie, karły! – powtórzył Jermołaj ulubione hasło nieboszczyka, wielkiego mistrza Toma. – Obiecuję wam w ciągu pięciu lat dostarczyć po jednym Małorusie na każdego mieszkańca, wszyscy wówczas wzniesiemy się na niebywały poziom. Taka jest odtąd nasza dewiza: każdemu karłowi jeden chochoł! Ilu jest nas dzisiaj?

– Nie więcej niż dwustu pięćdziesięciu i nie mniej niż dwustu doborowych – zgodnie z regulaminem.

– My regulamin unowocześnimy i podwoimy się przez pięciolecie!.. Z księciem protektorem objeździliśmy Małorosję od krańca do krańca: nie ma tam już żadnych separatystów, wszyscy pragną z nami zjednoczenia, chętnie podstawią karki. A kto nie zechce, tego my zrównamy, ojczaszku! – Jermołaj bez żenady imitował mistrza Toma i dziarsko ciął powietrze grzbietem łapki. – A oto jest osiodłany Małorus, od którego rozpocznie swoją egzystencję nowa wspólnota historyczna! Umundurujcie go i nakarmcie solidnie, wieczorem zaś przyprowadźcie na szkolenie polityczne, by zaczął zgłębiać naszą doktrynę, która jest zwycięska,



jako że słuszna! – Jermołaj i tym razem nie powstrzymał się od zrywania lekcji.

– Niechaj żyje Jermołaj, wielki mistrz karlej społeczności! – chórem zapiszczały ludziki.

Jermołaj zeskoczył z szyi mnicha, karły pociągnęły go za poły wyszarzanego habitu w stronę cerkiewki bez krzyża, naładowanej workami piasku. Mieściła się przy niej stróżówka, w której zakwaterowano Epifaniego.

Epifani, nie tyle przestraszony tym, co z nim wyprawiają, co raczej oszołomiony, rozglądał się niepewnie po stróżówce jakby obawiał się umrzeć od kolejnego zaskoczenia. Usiadł na pryczy, obrysowany bladym kwadratem światła, co nań padało z okiennego otworu: w stróżówce było ciemnawo, na deskach ścian niewyraźnie mżył nalot soli, były wszak nagie – przez co mnichowi ulżyło w sercu, spodziewał się bowiem na nich o ile nie narzędzi tortur, to bodaj zawieszonej na kołku szpicruty – nic bowiem dobrego nie obiecywał sobie po czerwonoookich karłach, co z takim zapalem poprzysięgły sobie osiodłać całą Małorosję; i może z racji tej ulgi zaświtało w mózgu pytanie: dlaczego właśnie w cerkiewce nagromadzono taką ilość piasku?

Wspiął się na pryczę i wyjrzał przez okienko: cerkiewka z cebulastą kopułą wyłaniała się spomiędzy pękatych worków piachu, od niej zaś aż do brzegu Newy stał długi szereg karłów podających sobie z garści do garści mokry piasek z dna rzeki.

Nie wytrzymał Epifani i pokonując obawę wyszedł ze stróżówki, zbliżył się do małych pracowników i zapytał nieśmiało, przerywając im dziarską piosenkę:

– Do czegoż wam ten... piasek?

– A to ci chochoł! – ozwały się chórem karły i na Epifaniego posypały się zjadliwe słowa, pełne nienawiści i wzdardy: – Niezguła chachłacka, liczykrupa, autonomista, chytrusek! A jak to tam u was gwarzą: „Ty se poczekaj, a ja posram”, „Pan za pana kryj się”. Czy to prawda, że w chatach macie pułap tak nisko, że w piecach da się upiec ino podpłomyki, a kole chat stawiacie

wychodki i gówno w nich trzymacie. U-u-uch, ty bladzi nieruska, on pyta, po co nam piasek!

Rozeźlone karły obskoczyły Epifaniego, gotowe go gryźć i szarpać, lecz oto jeden spokojny i dostojny, z licem wymiętym i pobrużdżonym, wystąpił naprzód i rzekł pouczająco:

– Posłuchaj, ty łbie chochłacki: chcemy mieć dużo piasku – i to cała filozofia.

– Rozumiem – przytaknął Epifani, – że piasek może się przydać, ale po co napychacie nim worki?

– Powiedziano, że Małorus nie dorósł! A jak mielibyśmy liczyć ten piasek? Ziarnko do ziarnka?

– A po cóż go liczyć? – Epifaniemu wciąż nie mieściło się w głowie.

– Chcemy prześcignąć świat cały w wydobyciu piasku.

– Na cóż się to przyda?

– Udowodni wszem wobec przewagę naszego karlego porządku: żaden kraj na świecie nie będzie mieć tyle piasku na głowę jednego mieszkańca, co nasza kolonia! Wiesz już?

– Jak tu nie wiedzieć... – całkiem stropił się Epifani. – Ależ piasku nikt od was nie kupi, za cóż wy jeść będziecie?

– To całkiem co innego! – Dostojny Karzeł strzepnął ręką z irytacją. – Mienszykow zapewnił nam wikt ekstraordinaryjny. Takiej strawy jeszcze nie zakosztował: biały chleb, szynka, kury, gęsi, indyki, ryba wędzona, kawior czarny i czerwony, wiśniówka, malinówka, wina zamorskie!

– Za cóż tak hojnie was wynagradza?

– Za to, że drżą przed nami jego poddani.

– To czemuż tak ciężko pracujecie na darmo, skoro płaci wam za to, że budzicie grozę?

– Hartujemy ducha ofiarnym wysiłkiem! – wyprężył się Dostojny Karzeł.

Karły, które przez cały czas okazywały niezadowolenie – na cóż się z chochłem tak cackać! – nagle umilkły. Od bud nagromadzonych w środku ogrodzonego pola niczym wzgórk

kretońska szedł ku zebranych stangret Jermołaj, świeżo obrany mistrzem kolonii.

– Kończyć robotę i marsz na szkolenie! – zawołał.

Podbiegł do Epifaniego, wdrapał mu się na kark, rozsiadł się wygodnie – i spał mu boki piętami niczym ostrogą.

– En avant, Hochlandia! – zapiszczał.

Epifani znów poczuł stan błogiego okiełznania – dziwna w nim zachodziła przemiana, gdy osiodływał go karzeł. Dopiero co całą swoją istotą buntował się przeciw brutalności karłów, dziwił go ich trud bezużyteczny i w chwilach zastanowienia podobny tryb życia wydawał mu się dziecinną zabawą; był moment gdy zawziętość wzbierała w nim na tyle, że mógłby sobie dać radę z tą krótkonogą zbieraniną, rozegnać ją na wsze strony, łapiąc w garść po dwa, trzy karły na raz. Jednakże poczuwszy na sobie poganiacza, w mig uciszył w sobie protest, zawziętość i obrzydzenie, a na ich miejsce zwołna wślizgiwało się lepkie poczucie spokoju i braku odpowiedzialności za wszystko, co działo się dokoła; wypadało mu teraz wykonywać cudzą wolę, czyją zaś, było już obojętne, bo nie widział nad sobą lichoty tego, co go dosiadł. Taki stan miał swoje powaby: obiecywał zaciszne schronienie, ponad to głodnemu i znękanemu Epifanemu mimo woli roily się szynki, ryby wędzone, kawior, zresztą jakiegokolwiek jedzenie, którego on, nie osiodłany, nie znajdzie, albo też trudno będzie je zdobyć, tu zaś, w zamian za posłuch dadzą mu je bezpłatnie.

Epifani biegł truchcikiem niosąc na sobie mistrza karłów i odganiał od siebie na wszelki sposób natrętne myśli o chlebie darowanym za poniżenie, jednakże uparcie wpijały się one w mózg i mnich usiłował sobie przypomnieć, kiedy to już panowała nad nim cudza wszechmoc, z którą nie mógł się uporać i której ulegał w udreće sumienia. Przypomnił sobie: był to lęk z Baturyna. Ale cóż może być wspólnego między obłądnym paroksyzmem grozy, od którego drętwieje wola, i pokusą spokojnej nieodpowiedzialności? Wszakże jest taki związek – w podporządkowaniu własnej woli cudzej, w karłej małości własnej duszy.

Znów, jak za pierwszym razem, skurczył ramiona Epifani, by strząsnąć z siebie natrętnego jeźdźca, i znów się nie udało, nadto zadrasnęła jego świadomość trzeźwa refleksja, że nic tym sobie nie dopomoże, karły go dogonią, a na wartowni przy furtce kolonii stoją uzbrojeni gwardziści: za parkanem wznosi się przypominający koszary pałac Mienszykowa, za pałacem – Peterburg, za Peterburgiem – niezmierzone imperium, i beznadziejność dławiąca bardziej niż lęk w Baturynie przytłumiła bunt w sercu. Uległ i pobiegł dalej, a gdy karły idące za nimi jęły prosić Jermołaja, by pozwolił im po kolei przejechać się na Małorusie, to Epifani bez sprzeciwu podstawił grzbiet ludzikom i opisywał przy śmiechu karłów koła po placu, nauczając ich sposobów przyszłego panowania nad Małorosją.

Wreszcie ochłonął Epifani, dano mu jeść, po czym posadzono na skraju wydzielonego placu, gdzie już siedziały na woreczkach z piaskiem ludziki podobne do siebie niczym bliscy krewniacy, przygotowując się do szkolenia politycznego. Epifani policzył je rzutem oka – było ich ponad dwieście. Były to wybrane, skupiające się przy Jermołaju, a dalej siedziało mnóstwo niezliczone popolitych karzełków.

Przyjrzał się im: byli tu przedstawiciele płci obojej, ubrani rozmaicie, boć przecie nagromadzono ich z różnych stron ziemi. Jeden z pludrach holenderskich, inny w pierogu francuskim, kobietka w wianuszku z pereł pokrytym chustą z cienkiego woalu, zapewne z Kaukazu; tam Mordwinka w koszuli haftowanej czerwoną wełną, z rządkiem srebrnych monet na piersi; ta to pewnie Sybiraczka w czepcu rozłożystym niczym łopata; tam zasię cała gromadka małych kobietek w czerwonych gorscejkach i trzewiczkach z safianu – te to z Ukrainy, ani chybi małżonki pułkowników kozackich, które powypisywały do swoich mężów w Turcji listy z prośbami, by przeszli na stronę cara i wyrazili skruchę, przez co zmałyły – jak to wspomniała Łabędzica; karły płci męskiej wystrojone były najczęściej w rubaszki moskiewskie i znać było, że one tutaj rej wodzą...

Statecznie wyszedł przed zgromadzonych Dostojny Karzeł, usiadł na worku z piaskiem, skłonił się przed Jermołajem siedzącym na najwyższym worku i rozpoczął wykład.

Rychło doszło do wiadomości Epifaniego, że wielonarodowa społeczność karłów zebranych w zwartej i zjednoczonej przyjaźnią kolonii porozumiewa się ze sobą w języku moskiewskim stanowiącym skarbnicę środków komunikowania się między narodami i chcąc być zrozumianym przez wszystkich mówca do wyjaśnienia mniej zrozumiałych pojęć używa wciąż tych samych wyrażen i-zwrotów, wśród których najczęściej słychać było takie jak „wykonamy i przekroczymy”, „pokażemy światu przewagę naszego porządku”, „kroczymy w jasną przyszłość”, „nasza wiedza o świecie jest najdoskonalsza, uzbrojona jest bowiem w przodującą doktrynę”, a gdy i tych słów brakło, Dostojny Karzeł czerpał z zasobu soczystych przekleństw, co wywoływało ożywienie wśród słuchaczy.

Szkolenia zaczęto od wykładu historii karlej kolonii. Karły znały ją najwidoczniej na pamięć, bo od razu podniósł się las rączek; wszyscy na wypródki wstawali i recytowali legendę o Tomie, budowniczym Kolonii Karłów, zaczynając się od opisu wesela Mimi i Toma w pałacu Mienszykowa. Jeżeli ktoś do jej kanonu wstawił coś od siebie, wówczas Dostojny Karzeł udzielał mu nagany, a publiczność domagała się ukarania. Karły zrywały się z miejsc, wykrzykiwały: „Śmierć wściekłemu psu!”, „Wszystkich wrogów do jednego dołu!”, Dostojny Karzeł wszakże przypominał obecnym o karlim porządku, najbardziej humanitarnym na świecie, bezczelnego zaś, który się ważył przeinaczać najsprawiedliwszą doktrynę Toma, skazywano na pobyt w kopalniach piasku, gdzie miał odbyć reedukację i winowajca z miejsca wędrował pod konwojem na brzeg Newy.

Prawowierność legendy polegała również na tym, że w jej wykładzie nikt nie śmiał zmienić ani jednego słowa. Na przykład „Jaśnie oświecony książę Mienszykow rozkazał ustawić na stole przed państwem młodymi ogromny tort i sam go pokroił, a z jego

wnętrza wyskoczyły dwie strojne karliczki i odtańczyły na stole menueta”. Karły pochodzące ze wsi nie rozumiały znaczenia powyższego słowa i plątały patriotyczny termin „menuet” z innym, również niezrozumiałym, za to zapożyczonym z wrogiego słownika – „piruet”. Rzecz w tym, że karlice, jak później wyszło na jaw, bynajmniej nie tańczyły menueta, wykonały jeno piruet, za co skrócono je o głowę, sam zaś fatalny wyraz zausznicy Toma uznali za nieprawomyślny.

Zaden z karłów nie miał prawa rozmawiać w swojej mowie ojczystej. Sprawcę takiego wykroczenia podprowadzano do worka, na którym siedział Jermołaj, i zmuszano do wyrażenia skruchy, że do tej pory nie uświadomił sobie swej przynależności do nowej wspólnoty historycznej, którą tworzy szczerze internacjonalistyczny lud karłów.

Najtwardszy orzech do zgryzienia, jak to pojmował Epifani, stanowiły dla karłów kwestie ekonomiczne: nudziło je to i morzyła je senna. Najprościej rozstrzygano problem piasku: trzeba było go wydobywać bez ustanku, zadziwić świat wydobyciem na głowę ludności – i kwita. Jest to realne przedsięwzięcie.

Za to kwestia świetlanej przyszłości... Wiadomo, że w państwie karłów opracowywana jest metoda szczepienia gruszek na wierzbie. Dysertację o wynikach badań w tym przedmiocie wygłosił Pierwszy Uczony Karzeł: udowodnił w sposób naukowy, że w niedalekiej przyszłości, w kolejną obchodzoną u karłów rocznicę Zaślubin Mimi z Tomem karły zakosztują pierwszych nie znanych dotąd światu, balsamicznie pachnących wierzbogruszek. Jednakże ani jeden karzeł nie reagował na tę kuszącą perspektywę, słyszały o tym nie po raz pierwszy, stąd też nagminnie zasypiano. Głos zabrał wówczas Drugi Uczony Karzeł, od wielu już lat trudzący się nad wyhodowaniem żyta, co mieć nie będzie źdźbła, jedynie sam kłos. Dostojny Karzeł zarządził głosowanie, kto jest za tym, by na rok przyszły upiec chleb z takiego żyta?

Karły, które czuwały nad ożywieniem słuchaczy, zaklaskały, oklaskami pobudziły śpiących, wszystkie zgodnie przegłosowały

„za”. Dostojny Karzeł zapytał, kto przeciw: liliput, który miał najmocniejszy sen, obudził się poniewczasie i podniósł rękę myśląc, że głosują „za”. Nieszczęśnika w mig wyprowadzono poza placyk i obcięto mu rękę, Odtąd nikt już nie drzemał, czujność karłów potęgowała się z każdą chwilą.

Epifani spostrzegł, że wszystkie te sprawy wałkowane były na zebraniach karłów już niejednokrotnie – zachowanie ich zdradzało rutynę. Jednakże dzień dzisiejszy przyniósł coś nowego: w najbliższej przyszłości karły miały osiodłać całą Małorosję, hasło zaś Jermołaja „po jednym Małorusie na głowę ludności” ograniczało wspaniałe zamierzenia karłów, bowiem nie było ich znów tak wiele...

Długo głowił się Jermołaj, jak przystosować stare hasło rewolucyjne do nowych warunków politycznych... Car Piotr zastępujący karłom Pana Boga starzeje się w sposób widoczny, cały czas spędza na wojaczce, nie ma już głowy do zabaw. Na Wyspę Wasilewską przybywa ich coraz mniej, wszystko to stare i mało sprawne, wskutek czego zastęp wybranych karłów nie rośnie. Długo myślał Jermołaj, wreszcie wstał i powiada:

– Wnoszę poprawkę do uchwały o Małorosji: na każdego karła jeden powiat małorosyjski, albo jak to się u nich nazywa – secina!

– A jeśli secinami nie zechcą? – posiał któryś zwątpienie.  
– Chochły przecie są uparte, jak się zbiorą do kupy...

– Urządzimy głosowanie w secinach kozackich. Na kresach wschodnich Małorosji znajdzie się sporo ochotników. Objeździłem Hochlandię z krańca do krańca – coraz mniej się tam krzewi separatystów!

– Niech żyje Jermołaj, który pokazał swą wielkość! – zawołały karły. Wielki staje się ten, który dosiędzie Małorusa!

Był to koniec szkolenia. Karły powstawały i jeły się mierzyć, stając do siebie tyłem. Odbywał się rytuał równania do najniższego.

Do Epifaniego podszedł Dostojny Karzeł i rzecze:

– Parazmawiajem!

Wziął go za mały palec, odciągnął na bok, długo i przenikliwie wpatrywał się weń, mierząc od stóp do głów jego za wysoką postać; w czerwonych ślepkach liliputa mglił się żal oprawcy, któremu nie dano poigrać z ofiarą, należąca obecnie do kogoś odeń potężniejszego, samego księcia Mienszykowa.

Dostojny Karzeł rozkazał Epifaniemu usiąść na ziemi, sam obchodził go dookoła, dotykając gładkimi koniuszkami palców jego uszu, ciemienia, celował rozcapierzoną dłonią w oczy i Epifani jął zgadywać ze zgrozą, że tamten w myśli obcina mu uszy, nos, wykluwa oczy, wali obuchem w ciemię.

Wiedział, że karzeł nie wyrządzi mu krzywdy, bo w jego obronie stanie sam Mienszykow, do którego karły żywiły niechęć – jednakże odbije to sobie z nawiązką, gdy Mienszykow utraci łaskę cara albo sam Epifani nie spodoba się księciu przy pierwszej spowiedzi.

– Czy wiesz, dokąd trafiłeś? – zapytał wreszcie Dostojny Karzeł.

– Wiem: do Kolonii Karłów: – odparł Epifani bojaźliwie, unikając nabiegłego krwią spojrzenia liliputa.

– Nie – odparł karzeł z dumą. – Trafiłeś do Raju Przyszłości.

– Jak to można trafić w przyszłość?.. A czym teraz jest wasza kolonia?

– Toć powiedziałem: Rajem Przyszłości. Nie mamy innej nazwy i nie radziłbym ci nazywać nas kolonią. Tamto sobie wymyślił Mienszykow, który dziś jest potężny, ale nie obejdzie się bez nas... Za młodu służyłem jako „język” przy dworze carskim. Czy sądzisz, że zawsze mi podpowiadano, w czyją stronę zawołać „słowo i czyn” i wskazać palcem? Czasami decyduje o tym sam car, gdy szykuje listę spiskowców. Poza tym mamy pełną swobodę! Nie spodobał mi się żebrak, bo zbyt zawuszony, roznosi zarazę – „słowo i czyn!” Nadyma się jakiś tam szlachetka – „słowo i czyn!” Zamiata prospekt spódnicą dorodna Cyganka, nie znoszę ślicznotek – „słowo i czyn!” Usłyszę mowę chochłacką albo



zobaczę zaporoskiego wążacza z osełdцем – „słowo i czyn!”  
A czarne kibitki, którymi karły powożą, jadą za mną łapiąc kogo  
pokażę i już go nikt nie zobaczy. A nuż może zająć coś takiego, że  
nasz „język” wskaże jego jaśnie oświeconą wysokość? – Dostojny  
Karzeł zniżył głos. – Car jeden nam nie podlega. On jeden. Ale i...  
– Karzeł urwał raptownie.

– Nie pojmuję – ośmielił się wtrącić słowo Epifani – na co zda  
się gubić ludzi niewinnych?

– Musi rządzić lęk. Lęk powszechny! Bez lęku raju się nie  
zbuduje. Jesteś przecie mnichem i wiesz, że jest bojaźń Boża,  
wierzysz, że do Ogrójca Niebieskiego nie wejdzie nikt bez bojaźni  
Bożej... A ja ci powiadam, że raj w niebie i bojaźń Boża to bajeczki  
dla dziatwy. Zasię raj na ziemi stworzyć da się jeno przez bojaźń  
ziemską... O tak! Stary już jestem i ręce mi drżą, ale z jaką rozkoszą  
wykłuwałem niegdyś ludziom oczy! Ucinałem uszy i nosy! Przy  
świadcach, na placach... Wyrywałem jądra z pachwin! A lud ryczał  
z zadowolenia i – lęku. Wszyscy na wypródki oświadczały, że  
wierzą w raj. Bo jak tū nie uwierzyć? A gdy się zdarzało, że ofiar  
brakło, ogłaszałyśmy wrogiem nawet swojego, karła, i oddawały-  
śmy go na rozszarpanie...

– I tak bez końca?

– Aż do końca. Lęk to trwały stan człowieka w Raju  
Przyszłości. Gdy tylko bojaźń ustanie – Raj zniknie z naszego  
horyzontu... Przecie nie wiesz o tym, że sam car nas zachęca do  
okrutnych uciech. Idzie sobie przez Wyspę Wasilewską przebrany  
za wieśniaka, wali pięściami w bęben, częstuje karły wódką  
i spogląda na nas z zachętą: gdzież są te wasze widowiska? A mróz  
jest siarczysty, na Newie kra... Łapiemy sobie z carskiej świty  
takiego przedostatniego – był to szlachetnie urodzony Matwiej  
Gołowin, rozbieramy go, smarujemy sadzami, wsadzamy nagiego  
na krę i ogłaszamy demonem, który przyszedł Raj zburzyć...  
Zdjęto go z kry dopiero przy odwilży wiosennej.

– A czy car wierzy w wasz raj?

– To nie nasza sprawa. On i Mienszykow wiedzą, żeśmy im

potrzebne, bo respekt dla nich także z lęku się rodzi... Słuchałeś teraz naszych nauk politycznych i dziwiłeś się, a jam to widział,.. Bo ty jeszcze nic z tego nie rozumiesz. Widzisz – wzrostu jesteśmy niewielkiego, rozumu mamy nie wiele, musimy więc osiodływać wielkich i mądrych. Ciebie już osiodłałyśmy, osiodłamy też wszystką Małorosję. Bez cara tego nie osiągniemy, siodłamy więc i jego. Ale nie tak jak ciebie – umiętniej. Ogłaszamy, że jest wśród nas najpiękniejszy, że jego bezprawne prawa to sama sprawiedliwość, że jego tabela rang zrównuje wszystkich w małości (prócz niego samego), że jest najmędrszy, a zatem poddani nie muszą myśleć – bo za nich myśli car; że działa w imieniu ludu, a czasem tak się składa, że i lud ogłaszamy wrogami ludu. Wtedy to nasze „języki” rozbiegają się po całej stolicy i wyłapują malkontentów. Car widzi to wszystko i wie, że bez nas nie da sobie rady. W ten sposób jesteśmy górą również nad carem.

– A czemuście sprofanowały cerkiew? Przecie car jest pobożny...

– Po pierwsze, w świątyni Bożej widać jeno, żeśmy małe. A po drugie, gdzie tam nasz car jest pobożny? Popisuje się w cerkwi przed publicznością. Gdybyśmy raptem spobożniały, musiałyby nas rozpedzić na cztery wiatry. Kościół wszak miłość głosi. A gdzie ona jest, tam nie ma lęku. Jakżeby car mógł rządzić bez lęku? Dla siebie mamy własnego bożka, któremu cześć oddajemy – wielkiego mistrza Toma, budowniczego Raju Przyszłości!.. Jego wizerunki w kamieniu znajdziesz na całej wyspie, tak rozstawione, by jaki bądź karzeł, któremu zagrozi niedowiarstwo, w każdej chwili mógł się natknąć na wielkiego budowniczego z ręką groźnie wyciągniętą do przodu – i opamiętać się zawczasu.

– A jaki jest wasz cel ostateczny? – zapytał Epifani z nadzieją, że na to pytanie Dostojny Karzeł nie znajdzie odpowiedzi.  
– W imię czego tyle krwi przelewacie?

– W imię równości i braterstwa! – wyprężył się Dostojny Karzeł. – Chcemy zrównać świat cały wedle miary naszego wzrostu!

– Ależ jesteście nazbyt ubogie, żywicie się z książęcego stołu i nie macie nic oprócz piasku. Jakaż równość być może pomiędzy wami i bogatym światem, który was otacza?

– Zrównamy wszystkich w ubóstwie. Dlatego właśnie utrzymujemy karły w żebraczej kondycji, by zaszcześcić w nich pragnienie podporządkowania sobie ludzi mądrzejszych i większych, do przewyższenia ich wzrostem, żywienia się owocami ich pracy i ducha, burzenia tego co zastały na podbitej ziemi i stawiania na cudzych kościach własnych wizerunków...

– A jak się was pozbędą?

– Pozbyć się nas niesposób. Dokąd weszliśmy, stamtąd już nie wyjdziemy. W waszej Małorosji ostoimy się nawet gdy ogłosi ona proklamację niepodległości. Najedziemy ordą dusze Małorusów, że pokochają niewolę, zrzekną się swego języka, drwić będą z własnych dzieci, gdy te przejrzą, i największym szczęściem będzie dla nich złopanie wódki i wożenie nas na swoich grzbietach. Jesteśmy jak te wszy na kozuchu: chcąc się nas pozbyć musisz spalić kozuch... Na jakiś czas można się od nas wykupić – przyjmujemy łapówki. To nasz kapitał, bo nic nie umiemy wytwarzać prócz piasku. Wiemy więc o tym, że w Raju Przyszłości same żyć nie zdołamy. Carów też osiodłamy, za to zawsze wiernie będziemy służyć imperium. Ono nas wyżywi.

– A macie swoje wojsko?

– Po co? Wystarczą donosiciele. To jądro naszej strategii.

– I nauki nie macie? Boć te kłosa bez ździebeł i gruszki na wierzbie to, z przeproszeniem, androny.

– To nie nauka, to marzenie o świetlanej przyszłości. Nauki nam nie trzeba, mamy za to umiejętność, jakiej nie posiada żaden naród. Umiemy chwalić same siebie – i to jest największa przewaga naszego porządku. Umiemy gardzić wszystkimi i pysznić się swoją nicością, ubóstwem duchowym i okrucieństwem. A nauki nie mamy, po co nam ta łamigłówka?

– A czy karły wierzą w wasz Raj Przyszłości?

– W Raj Przyszłości wierzą wszyscy, przynajmniej muszą tak

twierdzić. Wasz Jezus też obiecał żdźbła pszenicy z pięcioma kłosami i krze winne z dziesięcioma tysiącami latorośli. Tomasz niewierny spytał Jezusa: „Kiedy to się stanie?” – „To ujrzą ci, którzy dożyją owego czasu”<sup>\*</sup> – odrzekł wasz Jezus. Podobnie i my odpowiadamy niedowiarkom.

– Jednakże każdy prosi: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”?

– To i damy: nasza ostoja, nasze oparcie i twierdza to Małorosja płynąca mlekiem i miodem.

Epifani uniósł się z ziemi.

– Wysłuchałem cię Dostojny Karle i sporo już zrozumiałem, nie do końca wszak. Zali wolno mi rozmawiać z waszymi małymi ludźmi?

– Nikt ci nic nie zabroni, póki władzę ma Mienszykow. Jesteś jego spowiednikiem. Ale jak mu się coś przydarzy...

Dostojny Karzeł nie skończył zdania, zmierzył Epifaniego zimnym spojrzeniem, zatupał nóżkami, obszedł go kilkakrotnie dokoła, zaklął soczyście, żwawo pobiegł w stronę obozowiska i znikł.

## Rozdział ósmy

„Trafiłem do zgoła osobliwego świata, możliwe, że i wymiary czasu są tu inne; który rok mija tam, za parkanem, za furtą przy której stoją gwardziści – nie wiem; nie wydostanę się stąd nigdy, nikt mnie nie wypuści; za moją chętkę, by poznać bezduszną i zbrodniczą treść imperium, ujrzeć naocznie zło w jego pierwotnej postaci – zapłaciłem na zawsze wolnością; obecnie już je ujrzałem i nastęrcza się okazja poznać je do ostatka, lecz doświadczenie moje nie zda się na nic nikomu; podobnie jak dusza samobójcy, który się odważył poznać śmierć, nie zdołam powrócić do stanu poprzed-

---

<sup>\*</sup>Nie znalazłem źródła stwierdzeń podobnych w tekście Ewangelii (tłum.)

niego; z nikim nie podzielę się tym co poznałem, nikogo nie ostrzegę przed niebezpieczeństwem, jakie ukryło się w zbiegowisku mizernego na pozór, za to wszechmocnego z racji nadanego mu przywileju bezduszności i bezprawia motłochu, sam zaś przepadnę, godząc się ostatecznie z przemocą zła... Zmiłuj się nade mną Boże w wielkiej łaskawości Twojej...”

Tak rozmyślał Epifani błakając się co dzień po wypełnieniu swojej służby pociągowego zwierzęcia po przestronnej i piaszczystej jak pustynia Wyspie Wasilewskiej – po szkoleniu politycznym karłom i jemu również dawano wolną chwilę.

To tu, to tam trafiał na budowle karłów ulepione z mokrego piasku, obecnie porozsypywanego – nikogo już nie obchodziły – plemię karłów umiało samo siebie zwodzić złudną gospodarnością. Dostojny Karzeł opowiedział mu kiedyś, że zimą wyciosują one nad Newą z brył lodu cegielki i budują lodowe pałace, w których nikt nie mieszka i które bez śladu topnieją na wiosnę; to nic, że topnieją i rozsypują się, bowiem w pamięci historycznej karłów trwają na zawsze i nikt nigdy nie zdoła przekonać karła, że nie istnieją; z dumą przeliczają ilość założeń urbanistycznych i pałaców pobudowanych z piasku i lodu. O tym, że ich nie ma, milczą, bo zarażonego trądem niewiary czeka najwyżej śmierć, a skoro dobrze wiedzą, że lepiej żyć w kłamstwie niż nie żyć całkiem, przeto na szkoleniach politycznych na wyścigi wyliczają nie istniejące miejscowości, fabryki, akademie, koszary, domy handlowe, muzea i niepomiernie chełpią się nimi przed światem zaparkanowym i same przed sobą.

Jedyne co mają prawdziwe to kamienne pomniki wielkiego mistrza Toma. Stoją one na całej wyspie – solidne i monumentalne, wyglądają majestatycznie i groźnie; żaden z karłów już nie pamięta rzeczywistego jego oblicza, znają jedynie postać stworzoną przez zaproszonych spoza parkanu kamieniarzy: wizerunek budowniczego przypominał nieco standartowe oblicze karła, jednakże w spojrzeniu i geście rąk – jedna wyciągnięta naprzód, druga założona za skraj kaftana – dawało się wyczuć stanowczość

i groźbę; był to pomnik już nie Toma, lecz władzy, której był symbolem, stąd też karły przystawały w pełnym respekcie i nabożnym milczeniu przed pomnikami i niczym chrześcijanie w świątyni przemyślały swoje postępowanie, z obawą doszukując się grzechu niewiary, i wysłuchiwały hasel wygłaszanych recitativem przez wartowników honorowych dniem i nocą czuwających przy postumentach bez zmrużenia oka.

Hasła te sprowadzały się do krótkich i treściwych sentencji: „Chwała grupie wybranych karłów!”, „Nasza nauka jest zwycięska, jako że prawdziwa!”, „Nasze karły są najwyższe na świecie!”; pod niektórymi pomnikami wartownicy honorowi celowali palcem wskazującym w twarze karłom i zapytywali: „Iloma workami piasku udokumentowałaś wyższość naszego porządku?”, od niedawna weszło w obieg nowe hasło: „Małorosja może być szczęśliwa jedynie w sojuszu z Rajem Przyszłości, bez takiej spółki o szczęściu Małorosji nie może być nawet mowy!”

Co dzień pod wieczór Epifani wychodził ze stróżówki i obchodził wyspę od krańca do krańca. Za dnia była bezлюдna, bo pospolite karły pracowały w kopalniach piasku, wybrane zaś nadzorowały pracę. Później wybrane zasiadały przy długich stołach i ostentacyjnie spożywały przydział od Mienszykowa: mlaskały umyślnie głośno, by drażnić albo i kusić zwykłe karły, które tuż pod bokiem obydwały się chlebem i wodą. Zdarzało się, że zwykły karzeł nie wytrzymawał, ulegał pokusie, podchodził do stołów zastawionych smakowitym jadem, kłaniał się w pas i pokazywał palcem współbrata: wówczas dawano mu indyckie udko lub garść czerwonego kawioru, oskarżonego zaś owym donosicielskim gestem wywlekano na śledztwo. Bywało, że któryś z pospolitych karłów wstawał i wołał w stronę wybranych: „Ten oto przed chwilą uśmiechał się zagadkowo, nie wiem co miał na myśli, ale uśmiechał się nie bez kozery, wydaje mi się, że to ukryty wróg karlego porządku”. Wybrane znów rzucały donosicielowi suty kąsek ze stołu, ofiarę zaś wyprowadzano.

“Po obiedzie odbywał się obrzęd skruchy: zwykłe karły

oskarżały się same, wyznawały, że miały kiedyś niedobre zamiary wobec mistrza i komturów; Jermołaj i Dostojny Karzeł wysłuchiwały ich, uśmiechały się wielkodusznie i przebaczały, akcentując, że każde przewinienie da się odkupić ofiarnym trudem na rzecz Raju Przyszłości. Obrzęd obywateli się bez kar, w przeświadczeniu, iż całkiem niewinnych w Karłej Kolonii nie ma, przeto łagodna władza umie przebaczać winnym.

Gdy się skończyło szkolenie polityczne, karły rozprasały się po wyspie gromadkami ziomeków i każda gromadka intonowała swoją pieśń narodową: śpiewanie w mowie ojczystej było w kolonii karłów dozwolone.

Za to gdy pieśń gdzieś ucichła i zaczynały się rozmowy, wówczas do gromadki zbliżał się podsłuchiwacz i pieśń znów unosiła się nad wyspą – tu jednostajnie zawodząca turecka, tam uroczysta wołoska, sybiracy ucinali przyśpiewki, Ukrainki zaś – było ich ponad dziesięć – zaciągały tęskne pieśni stepowe, w których oplakiwano niegdysiejszą swobodę.

Epifani wreszcie odważył się podejść do nich. Usiadł obok i zapytał:

– Jest wśród was jakaś z Baturyna?

Małe kobietki rozejrzały się w popłochu, a jedna wyśpiewała:

– Jestem baturynka, żona Hamaliji, esauła generalnego...

– Pisałaś listy do męża, do Turcji?

– Pisałam...

– Czemuż to?

– Bom się bała...

– A teraz?

– Teraz to nam wszystko jedno. Mali żeśmy ludzie, czegóż od nas chcieć?

– Łatwiej tak żyć?

– Ani łatwiej, ani trudniej. Aby z dnia na dzień...

– Znałaś Motrię Koczubejówną?

– Byłam z nią nad Kanałem Ładoskim.

– Co się z nią stało?

– Posłuchaj, to ci wyśpiewam pieśń o Motri.

...Pokonał Piotr Karola i Mazepę, w Hamburgu pojmał Wojnarowskiego Mienszykow – przyszła kolej na Pawła Połubotka pułkownika czernihowskiego, co podczas krwawej głuchowskiej rozprawy cara uraził hardą postawą i godnością własną, dumą rozjątrzył srogość samodzierzcy, który do próśb wiernopoddańczych przywykł, żebrania bodaj o ulgę mizerną, padania na kolana razem z donosami. Czekał car ze strony starszyny kozackiej, co z buławą hetmańską zjedzie do Głuchowa, płaszczenia się, nicości, pokory bez granic – i doczekał się tego: pierwsi zaświadczyli wiernopoddaństwo swoje pułkownicy – Nos, Hałahan, Skoropadski, jeno Pawło Połubotok stał jak ten sǒbiepan. Potężnej postury, a i szczęki krzepkie, z węzłami mięśni na policzkach, nos jastrzębi i czarne głębokie źrenice, w których car nie dopatrył się dlań nienawiści, czuł wszak, że o kozackiej świadczą niepokorze, a pewnie i o pysze z bogactw zgromadzonych: dwa tysiące zagród miał czernihowski pułkownik, w skarbcu dziesiątki beczek rublami po wręby nabitych, talarami z Holandii, z Austrii dukatami – i nie Piotra to szczere złoto było, nie Piotrowe!

Czas mijał, lecz ni trochę nie ubyło do Połubotka carskiej antypatii, wszak trudno gołą ręką pułkownika pochwycić. Sprawnie płaci Połubotok czynsz do państwowej komory i kozaków śle ochoczo na wyprawy: z derbenckiej potrzeby jeno dwie powróciły seciny – krwią chytry lis płaci za piernacz pułkownikowski, znosi ponadto przy sobie bez szemrania Bogdanowa, komendanta moskiewskiego, co go car przyrzekł odwołać z Czernihowa, jeno wojna z szwedzkim królem się zakończy. Szwedzi uszli, lecz komendant twardo w kancelarii siedzi, niczym ta wesz na kołtunie, nie zamierza zgoła powracać do Moskowii. Ugaszcza też u siebie pułkownik jaśnie oświeconego księcia Mienszykowa, co miasta Poczep, Jampol zgarnął po Mazepie, hetmana Skoropadskiego przymusił, żeby z rejestru poskreślał Kozaków i przeniósł ich do służby u książęcia, sam na siebie przepisał sto zagród kozackich



i pół tysiąca włościańskich gospodarstw, jeszcze od cara Baturyna żąda, żeby hetmanem być na Ukrainie.

Wszystko to znosi Połubotok, budząc nieufność Piotra – car pamięta zgodliwe zachowanie hetmana Mazepy! Coś zapewne knuje ulubieniec Kozaków; skarg na Mienszykowa nie pisze, do Peterburga nie śle deputacji – czyż nie wchodzi pułkownik kozacki w potajemne konszachty z Pyłypem Orlikiem, który uwija się po Europie i podbechtuje Turków i Francuzów z Angielczykami do wojny z Moskwą – z Orlikiem, którego majątność w siole Czernihowskiego pułku Domaszynie zagarnął uspić chcąc czujność monarchy, pasieki i gorzelnie dzierży Orlikowe i koszary dla bydła, jego zaś domostwo z dwudziestu komnat perskim kobiercem obitych, i obwieszonych świeczniki kutymi na Kaukazie, letnią swą rezydencją czyni.

Kręcą się na tureckim pograniczu szperacze Mienszykowa, żeby list przechwycić Połubotkowy jakiś do Orlika, chwytają podejrzanych, wsadzają do lochu, torturują badanych, żeby chociaż słowo przeciw Połubotkowi wydusić – i na nic. Jak lis przebiegły jest, jak kuna zwinny – połapał się Mienszykow i do cara suplikę pisze, by Pułk Czernihowski wysłano kanał kopać nad Ładogą dowódcą wyznaczając Połubotka.

Wieść usłyszawszy o onej wyprawie obieśmy – Motria i ja – pobieżały do kancelarii, na kolana padły przed pułkownikiem, by wziął nas ze sobą, boć tam mężowie nasi są... Czujkiewicz na stronę cara przeszedł z dobrowoli jeszcze przed bitwą połtawską, mój prosto ubieżał z rąk siepaczy Mienszykowa po drodze do Głuchowa z Baturyna, Mazepie służby ofiarował, i od Połtawy uciekał z nim razem, aż go pod Perewołoczną do swego saka Mienszykow zagarnął. Jednaką od cara zapłatę Czujkiewicz z Hamaliją dostali: obadwa długo siedzieli w lochach Łebedyna, po czym ich obydwu z partią, co wiódł ją chorąży generalny – Iwan Sulima – posłano do Ładoskiego Kanału. Kozacy, którzy przeżyli prace przy kanale, po roku przywędrowali do domu z nowiną, że Czujkiewicz z Hamaliją obadwa łopatami obracają a za nogami ich brzęczą kajdany...

Na twarżeśmy padły przed pułkownikiem: zabierz nas z sobą, chcemy być z mężami, umierać z nimi – lecz on słuchać nie chciał, boć nie dla kobiet te ziemne roboty, myśmy się wszak w taborze zaplatały sześciotysięcznej kozackiej gromady i pracowałyśmy tam jako kucharki.

Takeśmy pośród śniegów i zamieci szły bezdrożami przez lasy i bory, brakło żywności, u moskiewskich chłopów Kozacy broń za strawę wymieniali, posprzedawali woły i odzienie, wielu pozamarzało w zaspach, my jednakże trzymałyśmy się jak mogły, bo nie ma w świecie zawziętszych ludzi niżli żony, co idą mężów swych sponiewieranych cieszyć, wspomagać na duchu i ciele...

Wreszcieśmy do tej Ładogi dotarły i tam znalazły naszych nieboraków znękanych, wymarżniętych, wygłodniałych, z poranionymi nogami – do kości wyjedzonymi obręczkami kajdan. Chwilęśmy mogły się nimi nacieszyć, jak doskoczyli do nas oprycznicy: nałożnicami chcemy – powiadają – tu przy kanałach zostać, boć wiadomo, że małżonkowie w Turcji przebywają, jak zapisane stało w protokole. Przeprowadzono nas znad tej Ładogi na wyspę karłów, gdzieżeśmy zastały zebrane tu kobiety-zakładniczki. Wszystkim nam list pisać rozkazano do mężów w Turcji, by wyznali skruchę i głowy od topora uchronili.

Chcesz może spytać, czemu list pisałam, chociaż wiedziałam, gdzie mój Hamalija? Nie pytaj, bo nie każdy wzrost zachowa w tym świecie karłów. Nie sądz, aż sam nie wycierpisz... Jest lęk przed śmiercią – na wojnie, w zamieci, w katowni. Wszakże nie ma strasniejszego, niż gdy człek znajdzie się wśród małych ludzi, którzy nie mają serca. Ani duszy. Ani litości. Gdy na mgnienie bodaj nie dojrzyysz w ludzkim oku życzliwości. Gdy jednakowi są w swym okrucieństwie niczym bliźnięta, sami podlegając jakiejś niezrozumiałej obawie. Gdy od nikogo najmniejszej nie doprosisz się pomocy, bowiem ci ludzie nie mogą, nie umieją i nie chcą bodaj o włos zachować się inaczej niż zachowują. Pośród małych ludzi przepada wola i pragnienie walki. Sens jej zatracą się – nikt cię nie poprze, a zresztą wiedzieć nawet nikt nie będzie o tym, że zginął

ktoś pośród męczarni za wiarę czy za prawdę wyznawaną. Straszna niewiara człowieka ogarnia otoczonego karłą społecznością. Głucho wśród nich jest i przerażająco. Tu rządzi jeno ślepe posłuszeństwo z obojętnością i upadkiem ducha. Nie wiesz, jak strasznie żyć pomiędzy nimi!

I napisałam list. I dziś napiszę, nagadam na mnie, co tylko rozkażą. Wszystko zabiorą karły człowiekowi: myśl, wolę, sprzeciw, godność i rozsądek, a pozostawią mu jeno żołądek. Z samym żołądkiem wielkim być nie zdoła nikt – skoro mają go szczury i tchórze...

Ale nie Motria... Nie wszyscy być mogą tacy jak Motria. Ja modłę się skrycie do swego Boga, bo tu nawet Boga wspomnieć nie dadzą, bym zegnała życie w pamięci mając to jedyne światło, jakie świeciło mi w owej ciemności, to była dusza córy Koczubeja, Motri, co długo płonęła, aż zgasła, aż wypaliła się jak świeca z wosku.

Żona esauła Hamaliji umilkła. Urwał się motyw przypominający pieśń dziada na odpuście, na zmianę mu przyszła żałobna nuta trenu o Motri.

„Stała Motria śród placu z rozpuszczonymi włosami, co aż do kolan białą ulewą opadały i z obu stron jej blade osłaniały policzki, karły widziały jej oczy barwy błędnego ostu, co się mieni modrością i zielenią głęboką: oczy zamglone były tęsknotą i nienawiścią, pogardą i niezłomnym słuszości swej poczuciem; dzień w dzień wybranych karłów krąg ciasny ją otaczał, zwykłe zaś – wśród nich żony starszyny pokarłałe z pokurczonymi kiśćmi rąk, którymi zdradzieckie swoje listy napisały, i wszystkie chórem krzyczą: „Napisz list do męża, inaczej kłątwa na ciebie spadnie!”

Wybrane karły już były gotowe szarpać Motrię, gryźć i rozdzierać, jednak nie miały do niej dostępu, powstrzymywane spojrzeniem, w którym nie mignął cień strachu: jedynie nad przestraszonym człowiekiem mogły mieć władzę.

Dostojny Karzeł się zdumiał niezłomnym uporem Motri,

myślał usilnie jak wzbudzić u niepokornej branki ów lęk przemożny, który niepostrzeżenie się wkrada, zato zewsząd się mnoży jak mszyce na kalinie, od czego jej bujne kwiecie niknie, usycha i gnije. Wreszcie pomyślał, rozkazał podać jej dań wyszukanych i kryształowej wody z najgłębszej studni, jaka była u Mien-szykowa: boć Motria stała na placu zgłodniała i spragniona już piąty dzień.

Pożądanie zabłysło w oczach Motri i szept nadziei przeleciał wśród wybranych karłów, gdy odsunęła tacę pełną nęcących frykaśów, lecz dzbanek z wodą rzeźwiący i wilgotny, przez Dostojnego Karła podany, w dłoniach jej został i po raz pierwszy dostrzegła lilipuci grymas, co niemal uśmiech wdzięczności przypominał: żądza skruszenia jej woli przemogła w nim na tyle, że zgoła po ludzku jął błagać Motrię, by upiła z dzbanka łyk jeden uzdrawiającej wody; Ujrzała Motria przepaść, do której się zbliżyła, i małość swoją własną na dnie przepaści; z wysiłkiem, jakby to była ciężka bryła kamienia, dłonie z dzbankiem do przodu wyciągnęła i ciśnie wprost w głowę Dostojnego Karła.

Dookoła pisk rozległ się złowieszczy, karły podeszły bliżej ku Motri i <sup>„..”</sup>pluć jęły. Kurczyły się z wściekłości zajadłej, czarna piana występowała na usta, bluzgały nią jak tchórze śmierdzącą wydzieliną, cofały się jednakże przed pogardliwym spojrzeniem Motri, w którym nie mogły dopatrzeć się cienia strachu.

Jeden wszak karzeł, którego Kałmukiem przezywano, bo aż z Kałmucji w darze dla Piotra był przywieziony, odważył się wyjść naprzód. Miał rzadkie rudawe włosy opadające na ciemną brudnymi kosmykami i wklęsłą twarz, jak gdyby ktoś w nią uderzył dłońmi z dwóch stron – i białka oczu mętną nalane posoką. Jak wściekły szczur zasyczał zwracając się do skarłałych kobietek z Ukrainy.

– Czemuście się poddały tak szybko? Wychodźcie głodować! Patrzcie – ta się nie boi. Ech, chachły, bojaźliwy widać z was naród – jednego na stos ofiarny posłecie, a sami się kryjecie, drżycie o swoją skórę, by się po cichu, w duchu, chełpić męczennikami!

Wychodźcie i głodujcie, to znów wielcy będziecie! No co, nie ma odważnych? Ech, wy patrioci z zapiecka!

Lecz żadna z nas, niestety, nie ruszyła się z miejsca. Przemogła nas obawa, a Kałmuk nadal urągał:

– Stańcie wszystkie koło niej, nie jedzcie i nie pijcie: ile trupów na placu za tydzień leżeć będzie!\*

Zagrzmiał rechot – wśród karłów wesołość zapanowała. Łapały się za brzuchy i tarzały po ziemi, z mozołem powstawały na nogi, zachłystując się, bełcząc poprzez śmiech raz za razem:

– Ile trupów! Co trupów!

Jeden zasię, którego przezwano Upiornakiem, jako że wargi miał obwisłe jako wielbłąd i w rozdziawionej gębie roiły mu się muchy, nadto był owłosiony i najeżone włosy z zawziętości jak żądła przebijały koszulę – śmiał się tak, że mu serce nie wytrzymało i pękło. Za nogi go wyciągnęły i rzuciły na śmietnik, bowiem dla zmarłych karły nie żywiły szacunku, nie miały nawet cmentarzy – jedynie owe posągi.

Motria stała na placu jeszcze dzień i następny z rękoma wyciągniętymi i suchymi wargami szeptała wciąż te same słowa: „Jam go natchnęła do wielkiej sprawy...”

Ja wprawdzie tych słów nie rozumiałam, za to słyszałam je zawsze, kiedy nas po szkoleniu prowadzono gęsiego i zmuszano do plucia w jej kierunku i szyderstw, słyszałam „Jam go natchnęła do wielkiej sprawy!” i czułam owo natchnienie, z którego skorzystać już nie mogłam.

Razu jednego nocą wymknęłam się z baraku. Karły spały, a Motria stała na placu, skąpana cała w miesięcznej poświacie: krągły księżyc zwisał nad nią, wyciągała doń ręce, jak gdyby chciała ulecieć. Podeszłam do niej z pytaniem:

– Nieszczęsna, czemu tak czynisz? Zaginiesz i nikomu swą śmiercią nie dopomożesz.

– Żal mi cię żono mężnego Hamaliji – odparła. – Zwałtłaaś,

---

\*Wypowiedź z czasu głódówki studentów przed parlamentem w Kijowie (tłum.)

nie ty jedna – wątłeje lud dookoła. Ojciec mój poprzez chciwość dokonał wielkiej zdrady: zyskał na Ukrainie sławę donosiciela, którego śladem iść będą Nosy i Hałahany. Matka ma, której zaćmiło rozum i rozeznanie, błogosławieństwo mu dała na ten postępek haniebny. Domostwo nasze, co jedno zostało się w Baturynie jako zapłata za zdradę, zarazem jest jej pomnikiem. W moich rękach jest honor gniazda i całej ojczyzny. Ktoś jeden musi dać przykład wobec niej uczciwości. Ano, spróbuję, boć chyba nie jedna taka jestem... Domostwo nasze ostoi się nawet wtedy gdy sprawa podjęta przez Mazepę tryumfu się doczeka. Chcę by jutrzejsi wolni ludzie nie obracali go w gruzy z nienawiści do zdrajcy Koczubeja, lecz zgromadzeni wespół z ojcami świętobliwymi przy jedynej pamiątce sławnej hetmańskiej stolicy, w miejscu gdzie myśl po raz pierwszy nawiedziła hetmana o wyzwoleniu kraju spod jarzma moskiewskiego, miast wyklinania go – modły po nim żałobne sprawili. Może ta moja wiara w niepodległość ojczyzny potomków do zwycięstwa natchnie i doprowadzi. A nuż dowiedzą się oni, że wierna sprawie Mazepy umarłam na pustkowiu pośród skarłałych ludzi.

Nazajutrz Motri na placu nie było ani śladu. Karły szukały jej pilnie, lecz nigdzie nie znalazły. Ani gwardziści ze straży przy furcie jej nie dostrzegli.

Wieść się rozeszła, że z wielkiej za wolnością tęsknoty Motri u ramion urosły białe skrzydła łabędzie.

Zwiedzawszy się o tym karły bractwo myśliwskie założyły, co poprzysięgło wystrzelać wszystkie łabędzie na świecie. Jasne, że nie stać ich było na dotrzymanie przysięgi, jednak do dnia dzisiejszego każdy wybrany karzeł przemyśliwa, jak zabić bodaj jednego łabędzia...

Ja zasię, gdy je zobaczę nad Newą, rzucam okruchy chleba – tyle mojej pokuty za tchórzostwo. Może się troszcę o Motrie? Nie wiem jednakże – czy stała się łabędzicą?

– Stała się – rzekł Epifani. – Wiem o tym. To czysta dusza, która uciekła ode mnie.

– Chwała Bogu! Dusza, która uciekła – powróci, zabita – nie wraca nigdy.

## Rozdział dziewiąty

Po raz pierwszy w ciągu niezliczonych dni pobytu w kolonii w oczach Karła dostrzegł Epifani cień żalu. Zdziwiło to mnicha, bo takie uczucia jak żal obce były mieszkańcom Raju Przyszłości, jednakże stary liliput wytarł kaprawe oczy i rzekł z gorzkim westchnieniem:

– Twoją wielebność wzywa dziś do siebie jaśnie oświecony książę. A ja dziś miałem taką ochotę na szkoleniu politycznym zrównać cię z nami. Miałem nadzieję, że Mienszykow dawno zapomniał o tobie... Okazuje się, że nie!

Pomeł bezzębnymi usty, powiódł grzbietem łapki po gardle i splunął zamasyście. Po czym skinął głową i poszedł przodem ku furcie, przy której stali na warcie gwardziści, szepnął coś do nich i rozstąpili się prezentując muszkiety.

Epifani przekroczył z Karłem mostek, pod którym łzawił się strumyk czystej wody, co wpływając pod ogrodzenie z miejsca gubił się w piaszczystym gruncie; dalej idąc wybrukowanym chodnikiem dotarli do wysokiej wzorzystej bramy z kutego żelaza, otworzyła się, słudzy w kolorowych liberiach gięli się w pokłonach, z lokajską uniżonością zapraszając gości na dziedziniec pałacu Mienszykowa.

– Ech, ech – znów westchnął Dostojny Karzeł – nie rychło zostaniesz zrównany: – jego ekscelencja jest ci nader przychylny. Ech, ech!

Poprzez dziedziniec – od bramy aż do przysadzistej arki, co jak nora wgryzała się w podbrzusze szarego koszarowego gmaszyska, szpalerem stali lokaje w krzykliwe kolorowych kaftanach, pasiastych pończochach jedwabnych, w trzewikach ze srebrnymi sprzączkami i wyraźnie byli zdziwieni, że muszą oddawać honory

prostemu mnichowi i szpetnemu karłu. Epifani zapytał Dostojnego Karła, za co ich spotyka takie wyróżnienie.

– To nie ze względu na nas, lecz na jego ekscelencję. Każda ceremonia, która go dotyczy, musi być z należytą pompą. Pewien jestem, że nawet na Syberię wieść go będą kiedyś z muzyką i chorągwiami...

Brama otworzyła się raptownie i na dziedziniec wybiegła para błaznów w czapkach z dzwoneczkami: udając koguty pieli, naskakiwali na siebie i bili się aż do krwi, a gdy się już zmęczyli, stanęli wyciągając szyje i zapieli przeciągle, witając gości jego ekscelencji.

– Ten na lewo – wytłumaczył Epifaniemu Dostojny Karzeł – to były księżę Golicyn. Podczas swego pobytu we Włoszech z misją dyplomatyczną potajemnie ożenił się z Włoszką i przyjął katolicyzm. Agent cara i Mienszykowa, kapitan Rumiancew – wiele jeszcze o nim usłyszysz – dorwał się do tej tajemnicy, stąd po powrocie Golicyna do Peterburga Mienszykow nadał mu rangę błazna. Ten po prawej – to były hrabia Wołkonski. Również był w misji Golicyna i na audiencji w Watykanie dopuścił się ucałowania papieskiego pantofla.

– Czyżby świat karłów nie kończył się za ogrodzeniem?  
– Epifani zgoła upadł na duchu.

– Wszędzie, w całym imperium jest nasz świat – z dumą zaakcentował Dostojny Karzeł. – Tyle jedynie, że za ogrodzeniem ludzie maleją, by różnić się od pospólstwa, tu zaś nie muszą zmieniać wzrostu.

W długim sklepionym korytarzu stali bezmowni kretyni z ogromnymi głowami i krótkimi nogami, spojrzenia mieli dobroduszne, jak gdyby uspokajali przybywających z wizytą do księcia; krótkimi rączkami kierowali ich w głąb korytarza, gdzie w brokatowej kierzji stał sam marszałek dworu. Skinął głową i Dostojny Karzeł wycofał się drobnymi kroczkami, po czym znikł błyskawicznie; marszałek dworu majestatycznym gestem otworzył drzwi i Epifani znalazł się w przestronnej sali z marmurowymi



kolumnami owiniętymi liśćmi winorośli rzeźbionymi z alabastru, z plafonem wymalowanym w sceny z mitologii, z którego zwisały kryształowe kandelabry z setkami zapalonych świec.

W fotelu na środku sali siedział książę Mienszykow w kaftanie lila i w długiej białej peruce. Bacznie wpatrywał się w Epifaniego, na ostatek uśmiechnął się i powiada:

– Bardzoś mi wtedy przypadł do gustu w Baturynie: w życiu swoim nie widziałem człowieka, przejętego aż taką wiernopoddaną bojaźnią. Ufam też, że rozumiesz i bojaźń Bożą, jaka czasem ogarnia mnie, śmiertelnika. Czas, żebym się wypowiedział. A ty słuchaj i postaraj się odróżnić moje czyny sprawiedliwe od niesprawiedliwych, bo czyniłem je i na swoją korzyść, i na korzyść państwa, i przygotuj się odpuścić mi grzechy, skoro je mam... Weź ten taboret, usiądź i słuchaj... Czyś sądził może, że zaprowadzę cię do świątyni i uklęknę przed konfesjonalem?

W oczach księcia zabłysnął niedobry ogień i przyczał się w głębi źrenic: tak przytają się ryś gdy widzi, że ofiara już nie może uciec.

Epifani zaś nie myślał nawet o ratunku: był całkowicie na łasce Mienszykowa podobnie jak niegdyś w Baturynie, pokonany okrutnym spokojem księcia i udzieloną mu przez samego diabła władzą karania śmiercią narodu... Ale skoro jest ludziom dana taka władza, to znaczy, że istnieje ona na świecie: skądś ten świat ją przyjął, uprawomocnił i ją nią rozporządzać; tę straszną władzę toleruje nawet Bóg, widać jest Mu potrzebna... Zali jest sprawą Epifaniego sprzeciw wobec niej, czy ma on siły do takiego sprzeciwu?

Pokora, jaka ogarnęła Epifaniego w Baturynie i doprowadziła go do niewybaczalnego występku, osaczała go w dalszym ciągu usiłując o władzę nim i rzucić go znów w piekło grzechu. Co zamierza uczynić z nim Mienszykow, Epifani nie wiedział, zrozumiał jednak, że jego poniewierki za grzech z Baturyna się nie skończyły, że może książę jeno podchwycił przeblysk nieposłuszeństwa mnicha w Głuchowie i chce teraz zetrzeć go do cna by nie zostało w imperium nieposłusznych nawet na nasienie.

– Nie wiesz chyba o tym – rzucił Mienszykow od niechcienia, towarzysząc myślom Epifaniego, – żem pojmał Wojnarowskiego.

Mnich słyszał już o tym, teraz wszakże w mózg wpiła mu się myśl przerażająca, prześladowająca go równocześnie: żył w Baturynie Mesjasz ukraiński – może wśród młodzików, a może tych dzieci, co zakrzyły na karuzeli dzwonnicy – Mienszykow zapewne wiedział o tym, stąd niczym Herod wyniszczał wszystkich żyjących, zbiegów zaś wyłapał: pozostał jeden Epifani.

Wiedział, że nie jest on tym Mesjaszem, przecie jako jedyny z mieszkańców Baturyna pozostał przy życiu, to czyż nie ma wziąć na siebie krzyża zabitego Mesjasza, czy nie sam Bóg tak zarządził? Wątpa i lękliwa myśl o zadaniu większym niż pokutnicze zakradła się do duszy Epifaniego i dodała mu woli sprzeciwu.

– Wiem, że zabijesz mnie, księżę, lub oddasz karłom na rozszarpanie – przeto powiem ci z góry, jeszcze przed twoją spowiedzią: za Baturyn nie ma dla ciebie wybaczenia.

– Nie zabiję, nie rób sobie nadziei – machnął ręką Mienszykow z lekceważeniem. – Jeszcze w Głuchowie mogłem cię na pal posadzić, bom słyszał, żeś nie ogłosił klątwy na Mazepę, jeno wieściłeś nam Har-Magedon. Zrobię z ciebie galaretę i powiozę na pokaz do Małorosji, by ziomkowie twoi pojęli, że ostatni protestujący przeobraził się w płaza. Zamyśliłem zniszczyć tę waszą kozacką zbieraninę, byście swym wolnomyślicielstwem nie zarażali wiernych poddanych Moskwy. A że nie mam możliwości zabić was wszystkich cieleśnie, poddam was zwyrodnieniu. Grzech to czy nie grzech – uratować poddanych całego imperium zagładą waszego gniazda buntowników? Mów!

Opuścił głowę Epifani, nie miał co odpowiedzieć jego ekscelencji. Mienszykow cynicznie obnażał reguły swego postępowania, nie krył okrucieństwa i moralnej beztroski. Co więcej, w tym wykładzie przebijała żelazna logika tyrana, działającego tak jeno, jak mu każe machina państwa, której podlega, innym zaś być nie żdoła. Kogoś innego pokroju wypluły i zniszczył sam system

i wszechpotężny dziś ksiązę zostałby znów tym samym, kim był poprzednio – zdunem, piekarzem, cieślą – tym samym, który tak zręcznie operował siekierą w holenderskiej stoczni oczarowując tym Piotra, co się zorientował, że taka biegłość o wiele bardziej się przyda na terenie polityki i nie zawiódł się później, patrząc jak lekko i sprawnie ciosa ta sama ciesielska siekiera głowy zbuntowanych strzelców.

Nie, przecież on jest niewinny: niczym ta siekiera stanowi jedno z narzędzi w machinie państwa i nawet gdyby się od niej uwolnił z własnej chęci lub z musu, to jeszcze nie wiadomo, czy by miał prawo i możliwość zajmować się dalej swoim rzemiosłem.

– To nie grzech – odparł krótko.

– Podobasz mi się – rozjaśniła się twarz Mienszykowa. – No to słuchaj dalej. Poza tym, że jestem powołany jako mąż stanu do niszczenia nieposłusznych i czyniących wstręty Moskwii Małorusów, jestem człowiekiem jak inni: lubię bogactwo, zbytek, sławę, rozgłos, pijatyki i uczyty... Nie śpiesz się z oceną tych cech mojej natury, bośmy prawie wszyscy, my, dostojnicy carscy, wyszli z najgłębszych nizin, z dna człowieczeństwa – jego majestat nie lubi równych sobie, to czemuż my, znalazłszy się raptem na wysokich stołkach, mielibyśmy stać się inni. A bo to ja jeden? Syn organisty z kościoła w Kurlandii Paweł Jagużyński – spójrz, dzisiaj prokurator naczelny. Żyd – wychrzta Piotr Szafirow piastuje pieczęć wicekanclerza. Plebejusz francuski Antoine Devier jest oberpolicmajstrem. No a ja – Mienszykow uniósł się nieco i wzniosł ręce do góry – mam wszystkie możliwe tytuły od cara. Chcę jeszcze zostać generalissimusem – i zostanę! – Ksiązę wskoczył na fotel i stanął niczym na piedestale; później, jak gdyby zawstydzony własnym popisem, usiadł, odchylił się na oparciu fotela, poklepał się po brzuchu i ciągnął: – Strojeśmy nałożyli inne, natura ta sama i bierze swoje... Za to Fiodor Romodanowski, rzezimieszek z Preobrażenskiego, gdzie mieści się letnia rezydencja monarchy, mniej miał szczęścia... Car nasz jest nader spostrzegawczy: mnie dostrzegł przy ciesiołce i przenikając swoim bystrym

rozumieniem przyszłość, odgadł, że zdołam zbudować dlań stolicę, Fiodor zaś lubił dręczyć zwierzęta domowe – wieszał koty i psom ucinał ogony, to zamianował go car naczelnym oprawcą, co z pomocą cęgów, koła i palów przymusza wszystkich lud i nas również myśleć tak jak jego carski majestat. Z dużą wprawą pełni on wolę Piotrową – od strzyżenia bród bojarom do stracenia carskiego syna Aleksego i jest potężniejszy ode mnie, jeno nie nosi szamerowanego złotem kaftana, czerwony kaptur przywdziewa i tyle złota co ja zagarnąć nie może. Wedle stawu grobla... Czy chcesz coś powiedzieć?

– Zmiłuj się nade mną Boże w wielkiej łaskawości Twojej... wyszeptał Epifani początek psalmu pięćdziesiątego pierwszego. – I wyzwól nas od sidła diabelskich...

– Przestań drzeć – skinał niedbale Mienszykow – ja cię do Romodanowskiego nie posyłam... Dobrze więc, przyznaję ci się do swoich weselszych grzechów... Ale czyż to grzech, gdy się zbieramy niekiedy z carem w moim pałacu na „najpijańsze sobory” i upijamy się tak, że słudzy nas nawpółżywych rozwożą później do domów? Albo że ja i wszyscy inni wielmoże podpisujemy kontrakty na dostawę wiwendy po wyższych cenach od podstawionych osób? Z początkuśmy brali oglądając się na boki, do pięciu tysięcy rubli, później za jednym zamachem pięćdziesiąt, a teraz po sto tysięcy przy jednej partii – i nie mniej. Zali to grzech, skoro można? Ktoś doniósł na mnie do cara, a ten przywołał oberprokuratora Jagużyńskiego i powiedział doń z intencją, bym dowiedział się o tych jego słowach: „Kto ukradnie tyle, że za te pieniądze da się kupić sznur, zostanie powieszony”. Jagużyński skłonił się do pasa przed carem i odparł: „Czyż wasz carski majestat zostać chce bez poddanych?” Piotr Aleksiejewicz roześmiał się z całego serca i przekazał naszej kompanii tysiąc czątych na posiedzenie kolejnego „najpijańskiego soboru”. Mów, zali ja przez to grzech popełniam?

Znów zamyślił się Epifani, wspomniawszy na prawo rzymskie, którego nauczano go kiedyś w Akademii, długo się głowił, ale cech przestępstwa w tych złodziejskich sztuczkiach Mienszykova się nie

dopatrzył. Bo czyż jest winien, że państwo nie tylko pozwala, ale i zachęca do kradzieży. Był Aleksaszka złodziejem domowym u rodzzonego ojca – za każdym razem urywał po kopiejce z zarobku za sprzedane pierożki i uciulał złotego rubla. Takie „przestępstwa” nie wchodzi do żadnego kodeksu karnego i ojciec też nie wysłałby pozwu do sądu na swego zapobiegliwego synalka. To czemuż dzisiaj, gdy sam car jest dlań ojcem, nie chciałby mieć miliona podobnym sposobem uzbieranych dukatów? Czyż przez jakieś trzydzieści lat człowiek mógłby się aż na tyle zmienić? Rzekł:

– Nie, nie wyrządzasz przez to grzechu.

– No i widzisz – z satysfakcją zatarł dłonie Mienszykow.  
– Komuś tam wyrrywają nozdrza, wkładają palce między drzwi, by zrozumiał, jak trzeba się zachowywać w imperium, a ty całkiem bez trudu stajesz się galaretą... Pomóż mi zatem zostać hetmanem na Ukrainie: służyłeś zdrajcy Mazepie, to służ teraz Mienszykowowi. Żaden władca, choć ani jeden nie kocha nadmiernie roztropnych doradców – bez mężów uczonych, a tym bardziej bez pokornego i oświeconego sługi kościoła nie stanie się ani potężnym carem, ani hetmanem. Niby dlaczego Piotr brał sobie za doradcę przemądrego chochła Teofana Prokopowicza?

– Ja... nie rozumiem, wasza ekscelencjo, jak to – hetmanem? Pragnie waść zostać hetmanem Ukrainy? Zalim się nie przesłyszał?..

– Popatrzcie nań jeno! – parsknął śmiechem Mienszykow.  
– On się dziwi! Tak, ja chcę zostać hetmanem Małorosji.. W tym się mieści ocalenie dla imperium. Może nie tyle ocalenie, co jego ostateczne umocnienie. Zajrzyj głębiej do historii i przekonaj się sam: wszyscy wasi hetmani byli zdrajcami. Czy szedł na Moskwę Sahajdaczny? Szedł. Chmielnicki przed śmiercią popijał ze Szwedami? Jak jeszcze! A Wyhowski, a Doroszeńko? Nie mówię już o Mazepie i Orliku... Wam nie można ufać. Nieposłuszny Małorus, zostawszy hetmanem, z miejsca knuje zdradę. Myślą o swoim hetmaństwie na Ukrainie podzieliłem się z carem zaraz po połtańskiej batalii. To car na początek dał mi miasto Poczep na

Czernihowszczyźnie. Krnąbrne ci było przez ten swój handel z zagranicą, prawo magdeburskie, rady kozackie, po zęby uzbrojoną załogę i co drugi Kozak tam taki wyga, jakich ze świecą szukać wśród Moskwy. Zali można patrzeć spokojnie na taką krzyczącą nierówność?

– Tak, tak – mruknął pod nosem Epifani – wiem już, że karły mają taki sposób na zrównanie wszystkich w nędzy, w maleńkości...

– Ano tak – przywodził Mienszykow. – Nie zapominaj ojcze, że najgorszym wrogiem Kozaka nie jest Moskal, który nic nie ma i chętnie wzięłby, lecz bogaty Kozak, co ma, ale dać nieskory. Takich to – na Syberię, nad Ładogę! I to nie naszymi, jeno waszymi rękoma. Musicie zmiarkować, gdzie wróg wasz i pozbyć się go, a gdy do tego dojdzie, wreszcie się usatkujecie w zacisznej niewoli. Nie masz bo dla ludu jakiegokolwiek lepszej doli niż spokój niewolnika. Myśleć nie musisz, ktoś robi to za ciebie, a ty dostajesz rozkazy i wykonujesz... Z miejsca żem odjął Poczepowi prawo magdeburskie, a ratusz zburzyć kazałem. Po czym obłożyłem zakazem wywóz juchtu, słoniny, wosku, oleju, dziegciu, zboża, srebra, a nawet jeśliś zezwalał, to przez porty moskiewskie, Na komorach celnych karłów umocowałem – nie tylko Poczep, ale i cała Ukraina po dziś dzień cło Moskwie opłaca. My też jakoś żyć musimy... Z czasem poprzenosiłem Kozaków do kawaleryjskich pułków dragonii. Pościągałem do swoich magazynów harmaty kozackie, szable, namioty, gorzałkę, nawet ikonę Przenajświętszej Bogurodzicy Peczerskiej – palladium swobód kozackich – w sekwestr zabrałem... Poskarżył się na mnie carowi hetman Skoropadski, jego cesarska mość pokazał mi to pisanie, pokiwał na mnie palcem. To ja, nie wiele myśląc, zjeżdżam do Głuchowa, każe wkopać na dziedzińcu hetmańskim pal z nasadzonym szpikulcem i do hetmana powiadam: „To będzie twój tron, jak mi bruździć zapragniesz... Słyszałem, że w Małorosji z Bożą pomocą obrodziło zboże. A u nas nie rośnie. Każ zawieźć trzydzieści tysięcy korców mąki do Smoleńska”. I powiózł hetman nieborak. Ale mało mi

Poczepu, chcę mieć całą Małorosję, słyszałeś? Do nóg padnę carowi o Baturyn, wedle swego gustu pobuduję stolicę i będzie ze mnie ostatni hetman Ukrainy. Zali to grzech?

Epifani ścisnął głowę dłońmi i zaszlochał, z ust mu wydarł się skowyt: ujrzał w okamgnieniu, jak płonie nie jeden Baturyn, lecz cała Ukraina od krańca do krańca. Toczy się płomień po stepie. pożera domy, ogrody, wsie, miasta, lasy i tłumami ciągną czarni pogorzelnicy, gnani przez lnianowłosych ordynców na północ, do zacisznej niewoli. Nie ma już żadnej nadziei na wolność, byle uchronić życie bodajby jednej pary wygnańców, którzy by mogli wrócić kiedyś na Ukrainę i wywieść nowe pokolenie. Któż ma się uchować – ja niby? I to za jaką cenę?

I tutaj ryknął Epifaniemu w uszy grzmiący głos, który dawał mu promyk nadziei, ale i przeraził:

„To mógł Teofan, a ty nie?”

Mnich wyrzucił z siebie te słowa, aż Mienszykow się roześmiał:

– Cięży więc grzech na mnie, czy nie?

– Nie, nie, nie! – wyjęczał Epifani bijąc głową o posadzkę.  
– Waszmość nie ma grzechu, jest na tyle straszny, że nawet nie wie, co to grzech!

Później podniósł się i wyszeptał spieczonymi ustami:

– W Baturynie żył Mesjasz. Zali nie Wojnarowski? Co się z nim stało?

Skrzywił się Mienszykow i spojrzał nań z pogardą:

– Mesjasz z chochłów? Majaczysz, człowiecze, widno się utrudził... Jeno Moskowia – Trzeci Rzym – głosi światu mesjanizm. Cała Moskowia, nie ktoś tam jeden! Ona niesie światu zbawienie i wyzwolenie.

– Od czego?

– Od wymagowanych przez was wolności... Wszakżeś człek oświecony – zali nie rozumiesz, że jeno w niewoli może być jaki taki porządek?

– Ale i pierwszy, i drugi Rzym, upadając przez swoje

niewolnicze porządki, rodził swojego Pomazańca – Jezusa, Mahometa. Trzeci też musi zrodzić zbawiciela – inaczej ludzki duch zatraci się w niewoli!

– A czegoż może dokonać Mesjasz?

– Przywołać lud do pokuty.

– Władców też?

– W pierwszym rządzie.

– To odpuść mi mój grzech z Baturyna: skorom zabił tam ukraińskiego Mesjasza, mogę spokojnie dożywać lat swoich. Imperium, w którym nosiciele władzy odprawiają pokutę, przestaje być sobą... Chwała Ci Panie: wybawcy Ukrainy są w ciemnicy.

– Jak waści udało się pojmać Wojnarowskiego?

– Cherchez la femme – Mienszykow rozłożył ręce w wachlarzyk. – Wprawdziem niepiśmienny, wszakże francuski znam i przyznano mi doktorat uczelni w Cambridge, o czym mi sam Isaac Newton pismem odręcznym obwieścił! Europa bez nas obejść się nie może, toć jest nasze posłannictwo. Musimy iść wciąż naprzód, do ostatniego morza. Czyngis ani Batuchan nie doszli, nam przekazano pałeczkę... Co tam Wojnarowski? Muszka. W Hamburgu-śmy go złapali w łożu u pięknej pani...

– Ze skarbem Mazepy? – spłoszył się Epifani.

– Widać, żeś wtajemniczony, i to niezłe... Nie wpadło nam w ręce złoto hetmańskie. Stąd już od siedmiu lat trzymamy Wojnarowskiego pod kluczem w twierdzy Piotra i Pawła, może ktoś zgłosi się ze skarbem, to zrobimy zamianę. Pewnieś ciekaw, jakeśmy go złapali?, O, ja polowałem nań od czasów, gdy mnie tak srodze zwiódł w Grodnie...

Słuchał go Epifani i nie bez uznania przypatrywał się urodziwemu wielmoży, który z zapalem snuł opowieść o polowaniu na Wojnarowskiego. Ani rusz nie mógł go sobie zestawić z tym mordującym na zimno, co stał na środku placu w Baturynie i wydawał coraz to okrutniejsze rozkazy, a żaden muskuł na jego twarzy nie drgnął na widok krwawych jatek. A nuż i tam nie grzeszył, bez reszty podporządkowany machinie państwowej, która każe postępować tak,



a nie inaczej? Skoro zaś on nie popełnia grzechu, to czymże jest mój grzech, boć i ja byłem wówczas podporządkowany komuś innemu. To czemuż mnie kara dosięga, nie jego? Zaliż nie mam się pogodzić z losem raz na zawsze i ochłonąć od mąk duchowych w miękkim bagienku zacisznej niewoli?

Mienszykow w toku opowiadania dawał upust nagromadzonej wściekłości: pułkownik Wojnarowski, głądysz i światowiec, nie spodobał mu się od pierwszego wejrzenia. A nuż swoim europejskim polorem przejawiał wyższość nad księciem-plebejuszem, a nuż zapragnął z nim się zrównać w urodzie męskiej i swobodnym zachowaniu? Swatał przecie Mazepa za Wojnarowskiego siostrę Mienszykowa...

Jako adiutant Mazepy Wojnarowski w głównej kwaterze cara w Grodnie bawił księcia kurtuazyjną rozmową, tymczasem siły szwedzkie przepawiły się przez Berezynę i rozbiły Moskali pod Hołowczynem w pobliżu Mohylowa... „A gdzież jest Mazepa ze swoimi pułkami” – przerywał Mienszykow arcyciekawe gawędy pułkownika o wędrownkach Herodota wśród Scytów. (– Zrozumiałem poniewczasie – mówił książę do Epifaniego. – że odwodzi mnie od wymarszu na Ukrainę dopóty, aż wymkną się Szwedzi) – „Cóżżeś waść powiedział? Mazepa w Borznie zachorzał i już zdążył wypowiedać się przed śmiercią?”

– Pchnąłem umyślnych do hetmana w Borznie, żeby przywieźli go do Grodna żywego lub umarłego, a tu w ciągu nocy ni śladu po Wojnarowskim. Wiesz, jak to było: co koń wyskoczy popędził do Borzny, a stamtąd z Mazepą umknęli do Baturyna, dali dyspozycje Czeczelowi i nocką wpław przez Desnę... Uciekł, uciekł niecnota!

Książę załamywał dłonie, jak gdyby stało się to przed godziną i do tej pory nie mógł przejść do porządku nad tym, że nie zobaczył pułkownika na palu w Głuchowie. Snadź to najbardziej bolało Mienszykowa, bo dalej opowiadał bez zapału, piąte przez dziesiąte.

W roku 1716 Andrij Wojnarowski trafił do Hamburga wprost w objęcia Aurory Koenigsmarck, osoby mającej wpływy

na politykę w Europie, przez którą Pylyp Orlik snuł swoją nić angielską w rozgrywce z Moskwą. Przyjechał ze skarbem Mazepy. Zwleczono go z łóżka hrabiny.

– Skarb hetmana, w części bodaj, powróci do mnie – pomrukiwał Mienszykow. – Wojnarowskiego ześlemy do Jakucka, Hanna, jego żona, co teraz kręci się przy dworze królewskim u Szwedów, okupi nam zwrot męża pieniędzmi, które wywiózł do Europy... Co innego mnie trapi – któremu z europejskich bankierów oddał swoje złoto Połubotok?

– Czemuż to Połubotok? – poderwał się Epifani.

– A temu – odparł zimno Mienszykow, – że pan hetman nakażny siedzi w łańcuskach w lochu, który sąsiaduje z Wojnarowskim. Szukaliśmy tuż po jego uwięzieniu tu i ówdzie, aleśmy jeno koprowinę znaleźli...

Mienszykow przerwał raptownie i nachylił się nad Epifanem.

– Ty wiesz... Musisz wiedzieć, komu z bankierów złoto swe oddał Połubotok! Wiesz!! – ryknął i w mig zaroilo się od lokajów. – Precz! – wrzasnął na nich Mienszykow, a gdy znikli, pochwycił Epifaniego za wyłogi i jął błagać: – Wiesz przecie... No powiedz! Rozdrapią to Niemcy czy Anglicy, Połubotok nigdy nie ujrzy wolności, nie upomni się... Skarb jest cara, bo carska jest cała Małorosja. Mówże, u kogo złożył Połubotok swoje złoto?

– Toć z Ukrainy jest, a nie z Moskwy. – Zwróć ją narodowi, gdy wolność odzyska.

– Wolność? – zdumiał się książę. – Kto się raz nam nadarzył, ten niech porzuci te mrzonki... Ojczy, ja widzę, że ty coś wiesz, byłeś powiernikiem Mazepy i jego pułkowników. Musisz wyznać, rozwiążę ci język! Stawię was oko w oko, pokażę ci, co z nim wyprawiają, i ty powiesz, ulitujesz się nad nim... Powiesz! A jak nie, to zamęcę i ciebie...

– Nie dbam o to, książę. Skoro na Ukrainie już nawet Połubotka nie stało, to czegoż mamy się spodziewać? Możesz mnie zabić bodaj w tej chwili.

– Chciałbyś kochasiu, zabić cię dla mnie to jak świeczkę

zdmuchnąć. To jednak marny interes – rodacy później nazywają was męczennikami, malują ikony, lampki przed nimi palą i modlą się do nich... A ja chcę ugiąć was wszystkich. Rozumiesz– ugiąć: Wojnarowskiego, Połubotka, ciebie. Bo jeśli tego nie uczynię, zostanie po was jasne wspomnienie między chochłami. I z racji takich wspomnień znów się będą zrywać do nieposłuchu, do niepodległości. Musicie pozostawić pod siebie hańbę. Z hańbą zmartwychwstać się nie da... Tak, jesteś taki płaz, co wciąż usiłuje pofrunąć, i gdybym ci pozwolił to zrobić, ktoś następny spróbowałby powstać za twoim przykładem z kolan na nogi. Marzysz o pokucie, o tym, by się oczyścić. Pozbawimy cię tej możliwości! Skrucha przywraca wzrok upokorzonym, którzy już przywykli do zacisznej niewoli. Najniebezpieczniejsi są dla imperium – niewolnik, który przejrzał, wskrzeszony Łazarz i nawrócony syn marnotrawny. Oni mogliby zapoczątkować rozpad niewolnictwa, tej budowli, którą tak długo i mozolnie piętrzymy na ziemi... – Twarz Mienszykowa w okamgnieniu nabiegła, krwią, zakrzyczał, chcąc przerazić swoją ofiarę – Gdzież jest ten skarb Połubotka? Bo zaraz dam cię na męki Romodanowskiemu!

Epifani poczuł, że lęk go odstąpił.

– Niech mnie zabije – rzekł ze spokojem.

Mienszykow pojął, że nic nie poradzi, i zmienił ton.

– Kochasiu, on cię nie zabije, on cię poniży... Imperium potrzebuje ludzkiego poniżenia... A mnie to niby nie? – książkę uderzył się w piersi. – Cały czas mnie poniżają. Jego majestat, jak sobie coś uroi, może mnie walnąć w papę. No i cóż, ja to znoszę, to i tobie wypadnie... Kiedyś na uroczystym przyjęciu w Luwrze – ciągnął Mienszykow już zgoła spokojnie i poufale jak gdyby szukał u Epifaniego współczucia. – Piotr wobec znakomitości europejskich cisnął mi w twarz udko indyka i nazwał Azjata, bom mlaskał z apetytem. Ale czegoż człowiek nie ścierpi dla imperium, co takie dla nas hojne. Pieniądze mam. I ty je mieć będziesz, jeno się staniesz galaretą... Coście wy za naród, chochły! Już się zdawało,

żeśmy skręcili w barani róg ostatniego, aż macie ich – są jeszcze. I jeszcze... I jeszcze! Naśle na was bezduszne i straszne karły – na ich widok i mnie krew w żyłach zastyga... Osaczają was niczym komary renifera. Z ich pomocą utworzę w Małorosji tajną kancelarię w każdziutkiej chacie i rozpręgą się nawet więzi rodzinne, i brat bratu nie będzie ufał ani ojciec synowi!

– Straszna rzecz opowiedziałeś mi, książę – wykrztusił zgnębiony Epifani. – Straciłem wiarę dopiero tu, na tej sali, bo skoro i Wojnarowski, i Połubotok w kajdanach, to cóż bez nich ja znacze! I Orlik zatraci się w Europie pośród drapieźnych magnatów, co dzielą świat między sobą nożem i widelcem. Nie ma już między nami zwiastunów... Na cóż się przyda teraz pokuta? Możesz się cieszyć, żeś mnie złamał. Sam jednak jesteś podobnym mi niewolnikiem... Ale nie, nie takim. Jak zginę, to za Ukrainę, ty jednak nie za Moskwę, lecz za złoto. Spokojnie czekam na swój koniec. Ty zaś nie możesz usiedzieć w swoim miękkim fotelu i oglądasz się chyłkiem, czy ktoś nie dybie za twoimi plecami. Bo śmierć moja jest na mojej ziemi, gdziekolwiek się znajdę, twoja zaś na krześle faworyta. Nie macie nic ponad sobą... I każdy z nas ma to, na co zasłużył. My na niewolę przez nasz lęk i bezradność, wy zaś na nienawiść wszech ludzi przez zachłanność waszą.

– Zgoda, zgoda! – roześmiał się Mienszykow. – Kołaczysz do sumień ludzi, którzy ich nie mają. Dość mi tego, żeś uznał się niewolnikiem. Owszem, ja też nim jestem. Ale ty jesteś w więzieniu, ja zaś przy rogu obfitości i na tym polega różnica między nami... Możesz teraz chodzić sobie swobodnie po Peterburgu, ale sam wrócisz do Kolonii Karłów. Nigdzie indziej nie pójdziesz, bo tam niewolnikowi dają jeść. Idź, a ja cię wezwę, gdy zajdzie potrzeba.

Epifani wyszedł posłusznie. Minał uzbrojonych gwardzystów, nieprzytomnie jak we śnie ruszył w stronę swojej stróżówki, nie zwracając uwagi na karły, co stały długim szeregiem, podając sobie garstki piasku.

Legł na wznak na posłanie i zobaczył...

## Rozdział dziesiąty

Ujrzał przed sobą wysoką górę, podobną do przeogromnego kurhanu, której wierzchołek gubił się w mgłę podobłocznej, on zaś idzie znajomą ścieżką, która biegnie nie wiada skąd, z przepastnych głębin lasów nadrzecznych i wychodzi na groblę rzeczuczki, co uderzając o górę jak gdyby chciała przewiercić ją na wylot, utworzyła jezioro; Epifani rozpoznał Czuhajkę, Jezioro Łabędzie i serce zamarło mu na chwilę w cichej radości: powrócił wreszcie z przerażających zaświatów w swoje okolice. Zaświtała jak ongi w sercu nadzieja, że przylecą nad Jezioro Łabędzie i pośród nich znowu znajdzie swoją nieskalaną duszę – Białą Łabędzicę: może przyjdzie doń, by ocenić wartość jego pokuty.

Znajoma ścieżka pnie się w górę do eremu ciemniejącego tam niczym jamka ptasim dziobem wykuta, poznał swoją górę, tyle że wyrosła niezmiernie i uwieńczyła swój wierzchołek koliskiem blankowanego muru, ponad który wystrzeliła i bije w niebo ostra iglica... Przystanął zaskoczony i zamyślił się nie tyle, kto tu przez czas jego nieobecności wypiętrzył górę iglicą, lecz co ona oznacza: nowe mozoły pięcia się i zdobywania własnej wyżyny, czy też ostateczne przekonanie o swej niedoskonałości i bezsile?

Zielonooką topiel, gładką niczym wypolerowana tarcza, przecinało w poprzek wąskie pasemko, które już zlewało się i lada chwila miało zniknąć z powierzchni jeziora: któż je zostawił uciekając w chaszczę przybrzeżne – dobra czy zła siła; kto tu czatował na Epifaniego i z jakim zamiarem, kto się przemienił, zasłyszawszy jego kroki, w smuzkę na wodzie?

Przypomniał sobie wilkołaka, co niegdyś nawiedzał te zakamarki przybrzeżne i umiał się wcielać w jakie chcieć stworzenie – zali nie skapiał dotąd, zali Epifani wciąż jeszcze nie odrzekł się piętna zdrajcy? A może ocalenie go czeka na szczycie tej opromienionej słońcem góry, do której zło nie doczołga się już w żadnej postaci?.. Kogóż to spłoszył mnich swoimi krokami i dlaczego myśli jedynie o złu?

Rozejrzał się i wydał cichy okrzyk, wypatrzywszy na brzegu jeziora biały kożuszek. Podbiegł, chwycił go, przytulił do piersi, śpiesznie poszedł ścieżką pod górę, wpadł do celi i ukrył kożuszek w tej samej wnęce, którą wyłobił ongiś w ścianie.

Dopiero teraz się zdziwił: w celi wszystko pozostawało na swoim miejscu, jak gdyby nigdy z niej nie wychodził. Posłanie, przykryte starą płachtą, dwa pniaki dębowe i na tym wyższym – papier ofiarowany kiedyś przez archimandrytę monasteru w Namat – Nicolae, obok pióro i kałamarz pełen inkaustu, a także kawałek chleba, przyniesiony przez braciszka z monasteru.

Nic się nie zmieniło – a może Epifani w ogóle nie opuszczał eremu? ...Usiadł na niższym pniaku, przyjrzał się kartom, papier nie był zapisany. Czyżby wciąż jeszcze nie rozpoczął swojej kroniki? Wszak to już w Akademii Kijowsko-Mohylańskiej Epifani i jego współbrat Samoił Wełyczko poprzysięgli napisać dzieje swoich czasów: Samoił, sekretarzując u Koczubeja, trudził się nad kroniką, jednakże po straceniu sędzi generalnego został uwięziony. Zali on żyje? Rozpoczynał też pisanie swoje Epifani, schroniwszy się do eremu – gdzie się podziały zapisane stroniczki?

Pewnie, że niełatwo okiełznać słowem papier, może kronikarz wprawdzie powinien rozejrzeć się po współczesnych i pogrążając się we własnej pamięci, zważyć ciężar słów mających utrwalić się na papierze, zakreślić nie tylko pojemność zamierzonego utworu, ale i cel przyświecający wyrażonym w słowach myślom.

Głowił się nad tym Epifani do chwili, aż z zadumy wytrąciło go skrzypnięcie drzwi. Nie zerwał się, nie podbiegł, nie była to Łabędzica. Jeszcze nie czas, by go miała odwiedzić. Nie przyszło rozjaśnienie, nie zmorzyło go do cna cierpienie: Łabędzica przybędzie z pomocą, alibo też w święto.

We drzwiach stał braciszek z monasteru w Namat. W rękę trzymał mosiężną miseczkę pełną gotowanej soczewicy i wpatrywał się badawczo w Epifaniego.

– Co powiesz synu? – zapytał mnich.

– Dziwię się... Ilekroć przyjdę, zawsze siedzisz bez zajęcia. Inni ludzie coś robią, a ty – nic.

– Czemuż sądzisz, że myślenie to nie praca?

– A o czym myślisz w tej chwili?

– Usiłuję ogarnąć myślą swój czas. Kiedy się zaczął dla mnie, kiedy po raz pierwszy odczułem w nim potrzebę, kto pierwszy sprawił, że w czasie zjawiała się moja pamięć i zajęła w nim jakieś mieszkanie? Bo to, w czym teraz się poruszamy, to jeszcze nie czas, co najwyżej chronologia. Chcę wymierzyć przestrzeń, w której się rozwijałem. Dlaczego stałem się taki, a nie inny, dlaczego cieszy mnie to, a nie tamto? Dlaczego to, a nie tamto mnie boli. To nieprawda, że ludzie umierają: poczęci w określonym czasie przechodzą z jednego kształtu w drugi, rozwijając się i doskonaląc, przy czym zostają jednak na zawsze więźniami swojego mieszkania w czasie.

– Mądrze mówisz ojczy – stwierdził braciszek. Przekroczył próg i postawił przed Epifanem miseczkę z soczewicą. – Słowa twoje są gęste jak miód... Ale ty sam nie masz nic ze swojej pracy.

– Mam za to swój czas, zdołałem go odnaleźć.

– Mógłbyś go zużyć na pracę, z której byś miał pożytek.

– Pożytek to też próba określenia czasu: ludzie pragną przetworzyć wszystko w zysk, by móc się nim cieszyć na chwilę. Czyż nie postępuje tak również zwierzę? Ktoś jednak musi namacać konieczność i celowość ludzkiej egzystencji. Dopiero po osiągnięciu tego co wielkie można poznać to co małe – wartość doraźnej korzyści: czy umożliwia ona wzlot ducha, nie tego który należy do jednego człowieka, lecz tego co jest ogniwem w łańcuchu istnień ludzkich na przestrzeni stuleci.

– Gdzież się zaczyna i kończy ten twój czas, może mi to wyjaśnisz? – niecierpliwiał się mniszek.

– Mój czas się zaczął od przybycia Jezusa Chrystusa do Pocznajny, kiedy to Włodzimierz ochrzcił Ruś-Ukrainę. A zakończył się diabelskim sabatem w Baturynie.

– Takeś długo przeżył? Czyżbyś był wieczny? – mniszka ogarnęło nabożne zdumienie.

– Człowiek żyje wielokrotnie, mój synu. Narodziny nie zaczynają, a śmierć nie kończy wątku naszego życia. Gdyby tak było, to czemużbym nie miał – bez najmniejszego wyrzutu sumienia – zamienić swego kraju na inny, spokojniejszy i szczęśliwszy? Nie mogę zaś, bo właśnie tutaj, na tej nieszczęsnej Ukrainie, powtarzałem się w nieskończoność, karbując w pamięci swoje powroty. Tylko zaprzaićcom dana jest wolność wyboru ojczyzny, bo odebrano im pamięć. Ja zaś żyłem na swojej ziemi u księcia i wieśniaka, u Kozaka i banity, wcielałem się w ziele, które tylko tu się pleni, ptaka, który z dalekich światów wraca co wiosny nad Dniepr, we fresk katedry świętej Zofii, w lemiesz pługa włościanina z Fastów, w mądrą księgę mnicha z Peczery. I skorom żył we wszystkich tych postaciach, pamiętam radość bohaterstwa i gorycz klęski – i wszystko to jest moje, rodzime. Jedynie odstępcą, któremu za pamięć starcza własna pospolitość, uważa, że żyje po raz pierwszy, i obojętny dla doświadczeń swojego rodu, nie żywi miłości ani dla tego co było przed nim, ani dla tego co jest, co będzie – oddany wyłącznie chwilowej korzyści.

– Mówisz stale o tym, co minęło, terażniejszość wspominasz z goryczą, o przyszłości zaś milczysz – dlaczego?

– Przystosowujemy się do okoliczności dnia dzisiejszego, by go przeżyć i przekazać swe doświadczenie dniom jutrzejszym. Nie zawsze uda się to nam bez błędu, w natłoku terażniejszości trudno odróżnić sprawy najważniejsze od tych mniej ważnych, przeto nie wiele ma dla nas powabu. Przyszłość kryje przed nami wiara i nasze marzenia – przeto zarysy bywają mgliste. A przeszłość jest przebadana, dobro odsiane od zła. Dlatego więcej jest w nas przeszłości niż jutra i dnia dzisiejszego. A tak między nami...

Spojrzał na mniszka: cień jego majaczył we wnęce drzwi, twarzy chłopca nie widział i mówił raczej do samego siebie.

– Słuchaj, skoroś ciekaw – rzekł, – bo ja głośno tłumaczę samemu sobie to, com dostrzegł przez niezliczony ciąg dni w celi mojej znękanej duszy... Rzekłeś, że siedzę samotnie w tej jamie i wciąż zastajesz mnie tutaj. Być może. Ty i ja – żyjemy razem



w swoim czasie – i jeśli przemieszczamy się, to też pospółu. Jeżeli panujesz nad czasem, czyli nad swoją w nim pamięcią, to w jego niepowstrzymanym locie łączysz się z nim. Nazywamy to byciem w swoim czasie. Jeżeli nad swoim byciem w czasie nie panujesz – staniesz się kimś w rodzaju jakały, który z wysiłkiem dochodzi do sformułowania swojej myśli, gdy już rozmówca mówi o czymś zgoła innym... Gdy zaś lecisz na równi z czasem, wówczas prawda, którą posiadasz, pozostanie współczesna nawet gdy ty fizycznie nie zdołasz dotrzeć, stanie się nabytkiem dla idącego po tobie. Sam też przejmujeś prawdę, ale już z nowym, własnym doświadczeniem. I tak bez kresu. Ty nigdy nie umierasz, pozostajesz wieczny, jeśli się nie dasz zatracić w niepamięci pośród liliputów. Spytałem któregoś Dostojnego Karła: cóż było przed wami? Nic – odpowiedział, – to my jesteśmy pierwsze... Bo one nie wiedzą, że czas nie ma początku ani końca. On „jest”. Historia jeno umownie dzieli się na „było”, „jest” i „będzie”. Wszystkie te kategorie współistnieją w jednej płaszczyźnie ciągłości życia narodu, gdzie każdy moment z „było” i „jest” staje się matrycą dla odbicia w kategorii „będzie”. Stąd też z przeszłością związani jesteśmy równie mocno jak z terażniejszością, która w naszych oczach przedzierzga się w przeszłość. Każde mgnienie naszego życia to już historia i gdy tracimy ją z pamięci – stajemy się liliputami pozbawionymi świątyni. Tylko pamiętając to co minęło można przewidzieć to co nadejdzie. Myśliciel zaś, który przewidział to co nadejdzie, tylokrotnie powtarza swoją obecność w życiu, ilekroć jego myśli przysłużą się sprawie współczesnej. Umiera zaś, gdy już przestaną być ludziom przydatne.

Epifani spojrział na drzwi, później na posłanie – mniszka w celi nie było. Miał jednak niezbitą pewność, że chłopiec doń przyszedł: wziął soczewicę z mosiężnej miseczki i nabrał do ust. Rozpływała się na języku jak manna, była smaczna i pożywna. Niewyszukana strawa dodała mu sił i otuchy, Spostrzegł, zapominając równocześnie smak wyszukanych kąsków u Mien-szykowa, że ta właśnie strawa jest dlań niezbędna – dar ziemi

ojców, podany nie z pańskiego stołu, ale równemu przez równych.

Smak soczewicy zwrócił mu ową godzinę, gdy obok niego siedziała w celi Łabędzica i obiecała wrócić doń jako czysta dusza, gdy odbędzie swoją pokutę.

– Kiedyż nastanie koniec mojej poniewierce? – wyszeptał patrząc na zapisany drobnym pismem papier: widać – nie tylko myślał, lecz i pisał uprzytomniając sobie swój czas od chrztu Rusyczów w Poczajnie do diabelskiego sabatu w Baturynie.

– Czemu tak śpieszysz? – posłyszał głos Łabędzicy. – A nuż cała historia twojego narodu to czas odkupienia, w którym żyje uświadamiając sobie ustawicznie swoje grzechy? A nuż bez niego stanie się obojętny, przestanie się doskonalić i zyskiwać świadomość samego siebie? Doskonalić swój umysł, lotność ducha, tęsknotę za harmonią? Wszak życie ludzkie to spleta długu za cudowną radość poczęcia... Chcesz się odkupić pisząc. Jakiż jest cel twego pisania?

– Chcę zwrócić przeszłość narodowi.

– Zmarłych kochamy bardziej od żyjących. Pocieszamy się dziejami przodków, ich przeważnymi czynami i nadrabiamy tym własną niemoc, drętwotę i lęk przed dniem dzisiejszym. Ty tak gorliwie spisujesz przeszłość po to, by dumą z dawniejszej swobody, na jaką dziś nie zasłużyłeś, ozłocić swą wegetację w niewoli.

– Zali przez płacz nad Świątynią, którą zburzył najeźdźca, nie zdołam wstrząsnąć moim narodem, co dla kiełbasy i okowity dał skarlec swojej duszy?

– A gdy nim wstrząśniesz i naród odbuduje Świątynię, to o czym pisać będziesz?

– O własnej mozolnej drodze do Świątyni. Świątynia, której dziś szukam – to zadanie mojego czasu. Trudzi się nad nią mój naród już od stuleci. Chciałbym dożyć chwili, gdy moje przestrogi staną się przebrzmiałe, gdy na naszej ziemi stanie Świątynia. Wówczas ja też odejdę w przeszłość. Ale czyż moje myśli nie

zastanowią badaczy owego zakrętu dziejów, gdy kraj mój był w niewoli u karłów bez dusz i pamięci?

– A któż to wie, czy twój płacz odbierze im spokój? Zali dosłyszają go inne narody? Nazbyt jest nasz. Badacze zapytają: jakież to wieczne wartości posiali kronikarze skarłalej epoki na użytek jutra? Jakież wkład wnieśli do przyszłej harmonii świata, zakłóconej dziś przez liliputy? Płakali jeno? Płacz nie ocali harmonii.

– Nie wiem, co odpowiedzieć. Mów sama.

– Zapomniałeś, że prócz poezji użytkowej istnieje też czysta. Samoistna tkanka Piękna, która nic nie buduje, nie odbudowuje ani nie odmienia, mimo to wznosi, kształtuje w człowieku to co ludzkie, nie daje wygasnąć wzniosłej tęsknocie. Co by się stało, gdyby na świecie zamilkły słowiki? Jaka szarość, jaka głusza zapanowałaby w świątyni Natury! Nie dość pobudować katedrę, musi w niej nadto zabrzmieć pieśń uroczysta ku chwale Stwórcy. Znajdź w sobie takie słowo nie poprzez zapis przeszłości, lecz jako hymn wolnego człowieka!

– Poeta, który by zdołał je stworzyć, musiałby narodzić się w Świątyni.

– To byłoby za późno. On zrodzi się w szopie.

Z zamkniętymi oczyma podszedł do drzwi Epifani: wiedział, że Łabędzica stoi na progu i rozmawia z nim. Wyobrażał sobie jej wygląd: biała jak piana nad wodospadem, piersi, jak gdyby podtrzymywane dłońmi, wyzierają w górę różowymi sutkami, i oczy ma modre, takie jak Motria. Epifani wziął Łabędzicę na rękę, złożył ją na posłaniu, przylgnął do niej i ugasiwszy palące pragnienie wyszeptał:

– Bóg mi wybaczył, skoro powróciłaś?

– Przyszłam, by ci przypomnieć, że jeszcze jestem w tobie. I po to przybliżam się do ciebie, byś mnie poczuł i lękał się utracić... Przyszłam dziś na święto wzroku, który ci został przywrócony.

– W postaci Motri?

– Wymyśliłeś mnie sobie w postaci Motri i taka też jestem. To co wymyślone – staje się rzeczywiste, nigdzie już się nie skryje, żyje

więc wśród żywych w ludzkiej myśli. Kto dzisiaj mógłby twierdzić, że nie ma na świecie Żyda Wiecznego Tułacza albo Jerzego Zwycięzcy smoka?.. W swojej niepamięci w Baturynie, pośród gwałtu i urągowiska, pośród najczarniejszego zła, na jakie niekiedy zdobywa się mieszkająca w ludziach zwierzęcość, ujrzałeś w postaci Motri Koczubejówny przebłysk człowieczeństwa i niezniszczalności ducha. Grzęznąć w bagnie zubożenia, strachu i zdrady uniosłeś ponad sobą dawniejszą czystość twojej duszy i spowiłeś w nią postać Świętej Dziewicy z Baturyna, by później cały czas iść do niej i chwytać się jak tonący słomki nieskalanego wzoru czystości. Gdyby się to nie stało, pograżyłybyś się w topieli zła podobnie jak pułkownik Nos: obraz Łabędzicy Motri przydaje ci sił w pokucie. A to jest najtrudniejsza próba: zwycięstwo w bitwie, poświęcenie z miłości, bohaterstwo z nienawiści – to jeno chwilowe porywy, w których daje o sobie znać natura ludzka. Wedle nich jeszcze nie można sądzić ani o męstwie, ani o sile, ani o ofiarności człowieka. Sprawiedliwe jestestwo człowieka kształtuje się i nabiera wiarygodności jedynie w akcie pokuty. Przeto ci mówię: nie śpiesz się z okupowaniem swej winy. Grzech dopełnia się w mgnieniu oka, świadomość grzechu trwa wiecznie. Pod strachem, pod biczem uświadomionego grzechu wychowasz uczciwe dzieci, z grzechem tym będziesz porównywać każdy swój postępek, grzech stać będzie jak pies na straży twojej duszy, będzie cię strzec przed zawiścią, zachłannością, opieszałością; będziesz odprawiać nabożeństwo przed Bogiem, pisać księgę albo ikonę Bogurodzicy na murze świątyni z myślą, by nie zakradł się do twojej modlitwy, słowa lub pociągnięcia pędzla kłam niegdyś popełnionego grzechu.

– Zali to ja jeden zgrzeszyłem: wszystek lud spoglądał w milczeniu jak go depczą. Zali ja jeden mam pokutować?

– Jesteś częstką narodu. Nie usiłuj ulepszać innych, zacznij od siebie. Nie szukaj wzoru – sam bądź przykładem. A kiedy naród przyjmie od ciebie przykład oczyszczenia, wówczas dopiero stanie się gotów do wolności.

Łabędzica-Motria głaskała jego twarz, ręce, całe ciało i szep-  
tała:

– Mój biedaku, jakeś ty się zmęczył... Inni pogodzili się z grzechem i upodobnili do zwierząt, nie myślą, nie męczą się, niczego nie szukają i nie oczekują. Dobrze im w tej zacisznej niewoli. A ty się dręczysz i nęka cię uporczywy głos Świętego Jana, słyszysz?

„A oto koń blady, a który siedział na nim, imię jemu Śmierć, a piekło szło za nim, i dana mu jest moc zabijać mieczem, głodem i śmiercią. A podobieństwa szarańczy podobne koniom gotowym na wojnę, a twarzy ich jako twarzy człowiecze... I ukazał się znak wielki na niebie: Niewiasta obleczona w słońce, a księżyc pod jej nogami, a na głowie jej korona z gwiazd dwunaści... I rzekła niewiasta: musisz zasię prorokować narodom i królom, godzienes wziąć księgi i otworzyć pieczęci ich. I zrozumiesz: kto w poimanie wiedzie, na poimanie pójdzie. Kto mieczem zabije, ma być mieczem zabity. I upadnie Babilonia, miasto wielkie, bo z wina gniewu porubstwa jej piły wszystkie narody\*”.

Epifani stał na środku celi, unosząc ręce do góry i powtarzając za Apostołem Janem słowa Apokalipsy, i były to jego słowa, których treść pojął – w czasie, miejscu i potrzebie po drodze do celu.

– Jesteś gotów? – spytała Łabędzica-Motria.

– Tak.

– Chodźmy więc. Pokażę ci to, co musisz zobaczyć.

Sama wyjęła ze schowka kozuszek i stała się ptakiem, Epifani objął za białą szyję Łabędzicę i razem pofrunęli w bezmiar wysokości. Drzewa w dole mały i zarośla stawały się podobne do gęstego zielonego mchu, i Czuhajka stała się krętą żmijką, zasię Jezioro Łabędzie zieloną plamką, oboje znaleźli się na szczycie wysokiej góry, co wyrosła ponad Czuhajką i przeniosła się w samo serce Ukrainy, stali pośród dziedzińca zamku ogrodzonego blankowanym murem, skąd wystrzelała w niebo ostra iglica.

---

\*Kontaminacja różnych fragmentów Apokalipsy w przekładzie ks. Jakuba Wujka (tłum.)

– To warownia naszego ducha, której nikt nie zmoże – rzekła Łabędzica. – Iglica zaś to wyżyna, na której Duch przebywa. Kto ją osiągnie, stanie się wolny. A teraz rozejrzyj się dokoła: oto wszystka twoja przestrzeń w czasie – z zachodu na wschód, z południa na północ – i dokąd wzrok twój sięga – wszędzie masz Ukrainę. Czy widzisz jej wielkość i urodę? Kto zmóc ją zdolen? I cośmy za jedni u Boga, żeśmy pozwolili ten rój karłom ujarzmić? Oto modra wstęga Dnieprowa przecina twą ziemię. Oto złote kopuły niezniszczonych Świątyń Peczerskich. Na zachodnim krańcu bieleje pręga Dniestru, za którą stanęły w obronie naszej ziemi Góry Karpackie, zaśię z ich źródlisk pną się krzyże eremu w Maniawie. Na północy jaśniej baniami katedralnymi stary Czernihów, na południu zaś gładzizna Morza Czarnego. W dole pod nami roi się Podół Kijowski, skąd idzie na cały świat nauka. Wszystko to nasze, nasze! A tyś się upokorzył przed nędznymi karłami, wozisz je na grzbiecie i jęczysz: wszystko przepadło! Jakże to wszystko mogłoby przepaść, gdzie się podzieje, jakież trzęsienia ziemi zniwczą ten przestwór i to piękno? Małowierny, twój czas nie zakończył się w Baturynie, on dopiero tam się zaczął. Czy jesteś gotów iść dalej i obejść swój kraj we wszystkim jego czasie i przestrzeni?

– Gotówem.

– Wracaj tedy, skądś przybył, czyń co ci nakazuje sumienie, a później weź krzyż, wołaj lud i drogą krzyżową idź z nim do warowni jego ducha.

Na dźwięk dzwonów ocknął się Epifani. Rozkołysał się, rozdzwonił szizowy lament nad Peterburgiem.

Mnich wybiegł ze stróżówki: karły z jakiejś przyczyny radowały się, piszczały, skakały, po czym uszykowały się w arcydługą kolumnę czwórkami w kierunku Newy. Do Epifaniego podszedł mistrz Jermołaj, wdrapał się nań, spiął mu boki piętami i popędził wzdłuż kolumny karłów.

– Co się dzieje w stolicy? – zapytał Epifani, gdy kolumna oparła się nad Newą.

- Ogłaszamy naszego cara imperatorem. Skreć na mostek.
- A może pójdziemy wbród?
- Żaden nas ład ni morze nie powstrzyma! – zawołał Jermołaj i wyciągnął dłoń przed się – tak właśnie jak widniało na kamiennych posągach mistrza Toma. – Gdy ruszymy na Hochlandię, będziemy pokonywali wbród i rzeki, i jeziora!

## Rozdział jedenasty

Ze swojego małego i wychuchanego domku na Bulwarze, pochylając w drzwiach głowę, wyszedł do ludu wyniosły i gniewny monarcha. Drgała mu górna warga obnażając rzadkie kły, końce spiczastych wąsików łaskotały wydatne nozdrza, rozdęte jak u wietrzącego łup drapieżcy. Car podniecony był nad miarę, jak gdyby przed chwilą wrócił z pola bitwy po odniesionym zwycięstwie. Odniósł wprawdzie zwycięstwo i to znaczne: przed dwoma laty zakończyła się ciągnąca się od lat dwudziestu Wojna Północna i Piotr podpisał w Nystad korzystny pokój z królową Szwecji Ulryką Eleonorą, siostrą zmarłego Karola XII.

Spokoju jednak nie zaznał. Po ciężkich zmaganiach z wrogiem wojował obecnie z niewdzięcznym ludem, co przez długi czas krwawej wojny nie wyrzucił z pamięci krzywd wyrządzonych przez cara i nazwał go antychrystem za skasowanie patriarchatu po śmierci jego świątobliwości Adriana, za zrównanie w prawach monasterów z osadami pańszczyźnianymi, za przetopienie na armaty dzwonów cerkiewnych, po czym Moskowia na zawsze oniemiała, wreszcie za stracenie carewicza Aleksego.

Nie ojciec, nie dobroczyńca, nie wódz, strateg ani generalissimus – Antychryst!

W straszliwych lochach kancelarii preobrażeńskiejskiej Romodanowski, generalny carski oprawca, trudził się ze swoimi podręcznymi dniami i nocą. Przypiekając ogniem podejrzanych, wykręcając im na dybach przeguby, wywiadywał się, kto wśród ludu

rozpowszechnia pisma ulotne z tekstem siedemnastego rozdziału Apokalipsy, w którym powiedziano, że ósmy władca wielkiego państwa będzie Antychrystem\*. – Piotr w Moskwie był ósmy; a także – kto na srebrnych monetach karbuje podobiznę jego carskiej mości z rogami. Daremnie. Spadały głowy, dopytywani pozbywali się rąk, nóg, nosów i języków, jednakże splendor carski coraz niżej upadał, przeto głowił się Piotr aż dwa lata, jak go podbudować i na ostatek zadecydował, że wyprze hańbiący go przydomek najwyższym tytułem Rzymian!

Rozesłał gońców, by gromadzili lud nad Newą, a skoro zmiarkował, że z ciżbą wielotysięczną – jeżeli komuś tam zechce się wykrzykiwać złowieszcze słowa – nie poradziłyby sobie wszystkie psy policyjne Peterburga, z armat zasię do ludu strzelać nie wypada, ogrodzić przeto kazał domek carski w promieniu jednej wiorsty, niech tam sobie stoją i hałasują, plugastwo stamtąd do carskich uszu nie doleci, dla obwołania zaś cara imperatorem sprowadzić kazał karły z Wyspy Wasilewskiej.

Car sierdził się w duchu, pierwszy raz niekontent z takiej różnicy wzrostu: czy nie ośmiesz zebrała ze śmietników świata zbieranina ludzka najwyższego tytułu? Było wszak za późno: mistrz karłów Jermołaj, nie złącząc z karku Epifaniego, zapiszczał:

– Niech żyje Piotr Pierwszy, wielki imperator Wszech Rusi!

Zajazgotały karły powtarzając okrzyk Jermołaja, ludowi zaś jakby mowę odebrało: martwa cisza zaległa dokoła tej wiorsty.

Kto wie, czy nie doszłoby nawet do użycia armat, wszakże w okrzyku naczelnego karła znalazły się słowa, o których car nawet nie pomyślał dotąd – jednakże lotny jego umysł w mig uchwycił sens: „Wszech Rusi”! Dotąd był panem na Moskwie, Ruś była gdzieś tam na południu, podbita i wciąż nieposłuszna i ten oto niepozorny niedoludzik tak wprost odbierając rdzennym Rusy-  
czom imię rodowe, oddał je Piotrowi: imperator Wszech Rusi!

---

\*U ks. Wujka: Ap XVII,11 „A bestya, która była, a nie jest, tać jest ósma, a jest z siedmi; a idzie na stracenie.” (tłum.)



Car rozpromienił się i wyprostował: nowa nazwa państwa i nowy tytuł monarszy dawały mu władzę nad wszystkimi noszącymi miano Rossów. Grzmiący głos cara dotarł do najdalejszych krańców wiorstowego okola.

– Wierni poddani! Odtąd jestem imperatorem krain, które możecie uważać za swoje i wedle własnego uznania rozporządzać zasobami Wielkiej, Białej, Małej, Halickiej, Karpackiej i Czerwonej Rusi! Wszystko to wasze: idźcie brać te ziemie w jeństwo, od nowych zasię poddanych zboże, żelazo, złoto i język. Język nade wszystko – „iżby nijakich różnic i odrębnych narzeczy nie było!”

I dość było tej obietnicy, by Moskowici w jednej chwili zapomnieli, że mają przed sobą Antychrysta.

– Niech żyje imperator Wszech Rusi! – zakrzyczeli unisono.

„Czemuż są tacy? – zastanawiał się Epifani. – Co przyczyniło się do tego – może zawrotna rozległość kraju, albo i wieloletnie jarzmo mongolskie, że uformowała się w nich osobliwa i niewrodzona słowiańskim ludom koczownicza natura? Żyje Moskowita spokojnie i gnuśnie, ale gdy jeno ujrzy nie zagarniętą przestrzeń, gotów natychmiast wszystko porzucić w bezładzie, schludne domki pozabijać na krzyż deskami i pędzić przed siebie jak inwentarz ludzi z miejsca na miejsce, i ani sobie, ani temu dwunogiemu bydłu nie dawać odpocznienia, przesiedlać narody, wpędzać je w ubóstwo, zabierać co w oko wpadnie, rekwirować, zjadać i dążyć coraz dalej, nie zdobywając przy tym dla siebie ani szczęścia, ani dobra, ani miłości”.

– Niech żyje imperator! – huczał tłum. – Prowadź nas do ostatniego morza!

– Do mórz, dziatki moje, do mórz! – śmiał się car. – Przeciem odwojował dla was od Szwecji Inflanty, Estonię, Ingrię, Karelię!

– Hurraa dla imperatora!

Car skinął dłonią – i służący ponieśli w stronę ogrodzenia kosze, wypełnione butlami z gorzalką i zakąską: wystrzeliły w niebo ognie sztuczne, wszczęła się szturchanina, bitki i pijacka swawola.

Do imperatora Trzeciego Rzymu podszedł najniepozorniejszy z kolonii karłów, którego za wyjątkową krwiożerczość przezwano Oprycznikiem, jako że drażniła go własna niepozorność; podszedł do cara i postukał piąstką o kolano.

– Wasza cesarska mość... Wasza mość... Skoro już i Galicja i Karpaty nasze są, to każ tam posłać dragonów: we Lwowie, jak mi wiadomo niezbicie, gwarzą po swojemu i chorągiew mają nieprawidłową, a w prawosławnym monasterze Maniawskiego Eremu dotąd nie ogłoszono klątwy na Mazepę.

– Tak ma być – odrzekł car.

Imperator udał się do swego domku na spoczynek. Mienszykow wezwał do siebie Epifaniego.

– Pojedziesz ze mną do Kancelarii Preobrażeńskiej: imperator musi mieć złoto.

Książę skinął dłonią i Jermołaj w mig się przedzierzgnął z mistrza kolonii karłów w stangreta Mienszykowa. Zwinnie zeskoczył z grzbietu Epifaniego, podbiegł do czarnych kibitek, co złowieszczym szeregiem czekały na skraju placu gotowe do drogi, wskoczył na kozioł ostatniej z nich, cmoknął dziarsko i zatrzymał konia przy Mienszykowie. Książę rozsiadł się obok Jermołaja, karły zaś, łapiąc Epifaniego za poły sutanny, wepchnęły go do ciemnego, bez okien, pudła kibitki.

Dreszcz i pot zimny przyszły na mnicha: nasłyszal się już sporo o Kancelarii Preobrażeńskiej, gdzie gospodarzył Romodanowski, kat naczelny. Nawet karły, którym serce ani piknie na widok krwi i męczarni, szeptem rozmawiały ze sobą o tej tajnej instytucji, do której mógł trafić każdy mieszkaniec imperium, i z której nikt nie wracał: książę czy hrabia, takiż właśnie karzeł, chłop, carewicz, archimandryta – każdy prócz jego cesarskiej mości, ale nawet Dostojny Karzeł miał wątpliwości co do całkowitego bezpieczeństwa samego cara.

Kancelaria Preobrażeńska stanowiła państwo w państwie, nie podlegając nikomu. Próżno się stawiał Mienszykow utrzymując ze złośliwą satysfakcją, że Romodanowskiemu niezbyt się w życiu

powiodło... Ma się wiedzieć, że kat nie miał dostępu do skarbu państwa, ale na zapewnienie dobrego wikt, gorzałki i czerwonego kaftana dość mu było hojnej pensji od cara; w towarzystwie światowym pokazywać się nie miał zwyczaju, brzydzono się nim i bano się go, jednakże większej władzy nad ludźmi nie miał nawet monarcha. Piotr Aleksiejewicz nie raz z podziwem wysłuchiwał raportów Romodanowskiego o liczbie więźniów zamęczonych na śledztwie, gdy chodziło o spisek przeciw państwu, kradzież mienia rządowego, obrazę majestatu – oraz o nowych metodach wydobywania zeznań.

Obok Epifaniego więc siedział w kibitce Oprycznik, smakując z góry lube uciechy oczekujące go w Kancelarii Preobrażeńskie, popiskiwał z satysfakcją, raz po raz szturchając w bok Epifaniego zwierzał się ufnie i z zapalem, że na badania zatwardziały złoczyńców najczęściej jego biorą, bo Dostojny Karzeł ma już swoje lata i trzęsą mu się ręce i nogi. Oprycznik zaś badać potrafi. Podwieszać ofiary na dybach nie może, bo to robi sam Romodanowski, ale do wrywania nozdrzy i języka sam sobie sporządził obciążki, nadto zaś okazał się nie byle jakim mistrzem w „wędeniu”: tak umiejętnie rozkłada pod stopami podwieszonego ogień, że i nie skwarzy i nie zimno w nogi, i nie trzeba później nieść badanego na kolejne tortury – dojdzie o własnych siłach.

– Ileż razy słyszałem: „Zabij mnie, zabij” A figę z makiem! – wsadzał Oprycznik sójkę w bok Epifaniemu.

Epifani słuchał i dygotał: pewien był, że to jego wiozą na badanie, jako że Mienszykow pokrzykiwał na spowiedzi: „Ty wiesz, wiesz, gdzie jest złoto Połubotka!” Nie wiedział Epifani nic o złocie – co powie na mękach? Będzie łącać? A nuż zdoła milczeć, skoro ani słowa nie pisał na Placu Garncarskim w Baturynie!

Kibitka stanęła, Jermołaj otworzył drzwiczki, zawołał Epifaniego, Mienszykow zwrócił doń głowę, mówiąc:

– Niech się twoja wielebność zachowa roztropnie: Oprycznik zaprowadzi cię do celi i pozostawi z nim... Pytasz, z kim? Zobaczysz sam. Będziesz rozmawiać z nim poufale i bez przesad-

nego respektu wobec monarchy. Umiejętnie i delikatnie pytaj go o skarb. Tak, tak, w celi siedzi Połubotok, którego wczoraj przewieziono z Pietropawłowki na badanie. Nie chce gadać, bestia... W celi jest szarówka, Połubotok kiepsko widzi, nie zauważy Oprycznika, który będzie siedział pod pryczą cicho jak mysz... A ty przyznaj się do hetmana, rozrzewnij go, popłacz nad matką Ukrainą, umęczoną przez Moskali. Nic ci za to nie będzie, jesteś już nasz i potrzebujemy cię, spowiedniku. Ha, ha!.. A jutro na rozmowę z nakaźnym hetmanem przybędzie sam imperator. Złoto jest mu potrzebne, rozumiesz? Imperatora nie obchodzi, komu tam przekazał beczkę czy dwie, albo i z dziesięć beczek sztab, jeno skąd je dobywał. Posmęć się razem z Pawłem Leontijewiczem, uroń łzę, wy chochły potraficie płakać tak serdecznie, że mnie samego nierazeście wzruszali... To jest Kancelaria Preobrażeńska – wskazał Mienszykow niepozorny budynek na osobności. – Prowadź go Opryczniku, z Bogiem!

...Pod samym pułapem celi szkliło się małe okienko, pod murem stoi siwe kudłate widmo z oczyma przysnutymi bielmem.

Podniosło się, szcęknięły łańcuchy.

– Któż to przyszedł do mnie – kat albo swat? – ozwała się mara, wynędziała niczym kościotrup.

– Na swata czas będzie jutro – odparł Epifani. – Dziś zasię przysłał mnie tu Mienszykow pytać o złoto. Nie opowiadaj, czego nie potraza... A możeś ty i nie Połubotok? Nie poznaję cię. Gdzież się podziała twoja potężna postura?

– Wyssały pijawki. Chwalić Boga, dusza się jeszcze kołace. A ty kto?

– Jam spowiednik Mazepy, Epifani, ten co...

– Nie musisz, wiem o tobie wszystko... Cała Ukraina wie o trojgu ocalałych w Baturynie: zdrajcy Nosie, tchórze Epifanim i świętej Motri – różne pieśni lud o was ułożył... Nadtom widział cię w Głuchowie, kiedyś to na swojego opiekuna klątwę wyrzekł pierwszy na Ukrainie...

– Nieprawda to, bom wymówił jeno słowo przekleństwa...

– Wypowiedział je ojciec Danyło i skrupiło się na nim. A ty i ja wykrecaliśmy się, żeby i Bogu świeczkę i diabłu ogarek... Oprawcy nasi piszą w swoich cyrografach, co im się tam uwidzi, i ogarek przyjmą za świeczkę... Sami siebie chcieliśmy przechytryć, pozostać panami godząc się na niewolę, Takich nawet wrogowie za swoich nie przyjmą. Albo starosta, albo kapucyn, nie ma trzeciego wyjścia. Chodziłem po ostrzu noża i ześliznąłem się do lochu. Ulgę poczułem, bo już wiem, co mnie czeka. A ty jeszcze balansujesz i bawisz się z własną duszą jak kot z myszką... Nie, ja cię nie potępiam: jeżeli wszyscy umrą, to któż zostanie na Ukrainie? Ale jakim cudem przeniesiesz swą duszę przez te wszystkie próby i nie zabrudzoną oddasz potomkom? Jak ją oczyścisz? Czy to możliwe? Przeprowadził cię tu pokurcz, dał nura pod pryczę i nasłuchuje. Co on tam chce wysledzić? Czy twoja dusza nie zmniejszyła się jeszcze do jego miary? Boś ty już nie Epifani, jeno zaszczuta dusza naszego ludu. Co z nią się stanie?

– Jakżeś się znalazł w ich rękach, hetmanie? Wszystko mów, żebym się zahartował. Widzę, że umierać mi nie pisano, jeno pasować się z małością. Taki krzyż nałożył mi Pan Bóg i próbuje mnie wszechmocnym palcem swoim.

– Bóg wypróbowuje teraz wszystek naród – westchnął Połubotok. – Chcę wierzyć w Jego sprawiedliwość, ale już sił nie staje. Czemuż to On, stworzywszy człowieka na swoje podobieństwo, wytrawia z nas obraz Boży? Czyśmy niegodni tego obrazu, czy Bóg pragnie, by Jego podobieństwo doń tylko należało? Co się wyprawia z ludem! Nie zdążył jeszcze Piotr wprowadzić swojej „Tablicy Rang”, jak tłumnie zbiegła się nasza starszyzna do prezydenta Kolegium Małorosyjskiego o przywileje – niczym ta orda, i już człowiek nie ujrzy na ich twarzach ani życzliwości, ani poszanowania, jeno głód majątków, pieniędzy i stanowisk – bodaj najmizerniejszych i wszystko to za cenę potwarzy i donosów. Nie ma straszliwszej poczwary niż donosiciel! Język jak u gadziny: warzy się w nim trucizna, którą wyciska na żądanie. Złoto znieprawilo sumienia, przez nie wrogowie stają się zaciekli,

przyjaciele zaś wiarołomni, przez nich zdrada i podłość osacza na każdym kroku... Zbaw Boże lud Twój i błogosław dziedzictwo Twoje – przeżegnał się Połubotok ciągnąc z trudem opowieść: – Ćwicząc się w politycznej materii u Mazepy chodziłem jak on po ostrzu szabli, szukając i wypatrując między ziomkami bohaterów, panów swojej woli, lecz jeno czerń mi się trafiała, spragniona lepszego kęska... Czerń bohaterów nie rodzi. Ci nawet co nie kosztowali trucizny zdrady, przysposobili się do niewoli: jeden kołysze swego ducha lamentem po utraconej wolności, wyplakuje dziadowskie treny pod świątyniami bez krzyży na kobzie czy luteńce, innemu dosyć czarki, kozackiego moderunku i hopaka – i tak jednemu się wydaje, że walczy z niewolą, a drugiemu, że jest na wolności... I nikt nie powie sobie, że jest w niewoli... A przecieżeśmy wiecznie niewolnikami nie byli i nie popadliśmy w jarzmo na wieki: ktoś musi wyjście wypatrzeć!

Połubotok myślał głośno, może i zapomniał o Epifaniam, który chwycił każde jego słowo, siedząc obok, i o karle ukrytym pod pryczą. Wiedział, że umrze jutro, i spowiadał się przed Bogiem.

– Wróciłem po roku katorgi ładoskiej, jakiej znać chyba nie dano brańcom egipskim budującym piramidy. Przez dwadzieścia lat za Piotra przy kanałach i bagnach peterburskich zginęło dwadzieścia tysięcy Kozaków. Kto ten dług krwi zapłaci?

Car nie dał wiary, że powróciłem, sierdził się mocno i starego hetmana Skoropadskiego wezwał ekstrapocztą do Peterburga. Przyjmował go tam łaskawie, fetował i wciąż ostrzegał przed niedobrym Połubotkiem... Skoropadski na łożu śmierci wyznał mi to wszystko. I karmił go car za to jeszcze, że pozostawił mnie jako nakaźnego w Głuchowie... Długo trzymał go Piotr u siebie, aż – na moich oczach – przybyło do Głuchowa kolegium małorosyjskie z carskiej nominacji z prezydentem Weliaminowem na czele. I władza na Ukrainie poszła wprost od cesarza: ściąganie podatków, rozmieszczanie konsystentów po wsiach i miastach, obsadzanie pułków moskiewskimi oficerami... Weliaminow uspokajał

mnie, że to wszystko się czyni z intencją, by ściśle dochowywano umów perejaślawskich i dla obrony Kozaków i ludu pospolitego przed zakusami starszyny. Tak to... Pokrzepiony na duchu faworem i podarunkami carskimi Skoropadski wrócił między swoich i ujrawszy na oczy przewrotność cara zmarł ze zgrzyoty. A jam został jako hetman nakażny nie z wyboru i z głosem doradczym przy kolegium.

A tu na Ukrainę przycwałowało osiem pułków dragońskich: w Niżynie stanął kwaterą pułkownik Tołstoj, w Starodubie – Kokoszkina, w Czernihowie – Bogdanow, w Perejaślawiu – Jakowlew. Jak to w piśmie świętym: rozdzielili suknie i los rzucali...

Wtędym napisał dwa listy. Jeden do cara z petycją o potwierdzenie swobód kozackich i o wybór hetmana, drugi zaś – do Pyłypa Orlika w Salonikach.

„Panie hetmanie – pisałem do Pyłypa – ganił mnie kiedyś asińdziej w swym liście, że Moskałom służę. Bóg jeszcze osądzi, kto więcej przysporzył dobra ojczyźnie – ty czy ja. Jam przecie został na Ukrainie – nie wszyscy mogą uchodzić na obczyznę, ktoś musi w domu spraw dopilnować. Ukraina powstać może jeno na Ukrainie... Ale ujmij nam nie sprawi, gdy obaj jedno dobro czynić będziemy. Wróg nieużyty podzielił nas i w pojedynkę kruszy. Zjednoczmy się, panie bracie, we wspólnym przedsięwzięciu, to da Bóg – zwyciężymy. Waść lepiej znasz konstelacje europejskie; chwila gdy nadejdzie sposobna, ślij do mnie gońca z pismem, a ja z moimi pułkami, jakie tam jeszcze mam, wyjdę ci naprzeciw...”

Długom nie wiedział, czy Orlik pismo otrzymał. Doszło do mej wiadomości, że kapitan Rumiancew, który w pastkę pojmał carewicza Aleksego i Andrija Wojnarowskiego w środku Europy, szasta się ze swoją sforą gończych na południu, kupcom manatki przetrząsa, wyłapuje zbiegów – mógł przecie i mój goniec wpaść mu w łapy... Wszakżem rychło się uspokoił: car napisał do mnie miłościwe posłanie, sam na Ukrainę przybyć obiecał i tak to na

Zwiastowanie, rok temu będzie, przyjechał do Głuchowa z carową i Mienszykowem.

Na sumie w cerkwi Wniebowzięcia car sam czytał Dzieje Apostolskie, na plac zasię schodzili się ludzie z wiosek i miasteczek sąsiednich: kto im przyjść rozkazał, nie wiem, bom ich nie zapraszał... Ale Bóg z nimi, pomyślałem sobie, chcieli się przyjrzeć z bliska pomazańcowi Bożemu, to niech popatrzą. Ludziska to gawrony, dla nich – czy to kometa na niebie, czy car na ziemi – cuda niewidy... Ale jakeśmy wyszli z cerkwi, posłyszałem coś takiego, co dotąd w głowie się nie mieści. Wiedziałem, że Mienszykow porozsyłał po Ukrainie karły: niepozorne toto, ludzie wszak boją się ich śmiertelnie. Mówią, że karły potrafią się skurczyć tak dalece, że niepostrzeżenie wślizgują się do duszy, a wówczas człek nie myśli już własnym rozumem i mówi nie swoimi słowami... Coś takiego chyba się stało z ludem, co przybył na plac przed cerkwią Wniebowzięcia, bo czyżby mógł z własnej chęci zdobyć się aż na takie służalstwo, gdy car ukazał się w kruchcie? „Nie chcemy swobód! – wykrzykiwali jeden przez drugiego. „Dobrze nam w poddaństwie!” „Licho bierz samodzielną Ukrainę!” „Wszyscy hetmani to zdrajcy!” „Połubotka pod klucz!” Mnisi zasię z Ławry Kijowsko-Pieczerskiej, którzy przyszli na powitanie cara, recytowali na głosy swoje wymyślne hasło, bo byli to ludzie uczeni: „Precz z popisywaniem się suwerennością!”

Car uśmiechnął się zadowolony, Mienszykow wodził za nim oczyma, chępiąc się, jak to przygotował chochłów do swego hetmanowania na Ukrainie; twarz mi pałała wstydem i serce mi się ścisnęło boleśnie z powodu takiego kalectwa moich rodaków; spytałem więc szorstko Weliaminowa, prezydenta tego ich kolegium Małorosyjskiego:

– Gdzieście ich tak wymustrowali?

– Panie nakażny – uśmiechnął się rozanielony, – zali nie widzisz waść tych natchnionych twarzy? To głos twego ludu, któremu bardzo odpowiada taki stan rzeczy. A jak nie, to...  
– Weliaminow nachylił się do mnie i wycedził: – A jak nie, to zegnę



was tak, że inni też popekają! Car dawno już kazał odmienić wasze zastarzałe nawyki, byście zaczęli żyć na nowo. To ja teraz dla was prawo stanowię!

Jasne już było, że kończy się ten państwowy mięsopust. Wciąż jednak tliła się nadzieja, gdy car zażyczył sobie zjeść obiad wraz ze swoim orszakiem i członkami kolegium w kancelarii hetmańskiej w Głuchowie.

Podpiswszy sobie tęgo, kazał mi się przy sobie, poklepał mnie po ramieniu, nalał okowity i sam mając już dobrze w czubie powiedział coś takiego, zem poczuł, jak osmała mi plecy: „Nie wierz Pawle tej wróżce, co przepowiedziała ci hetmaństwo, bo nie będziesz hetmanem na Ukrainie. Skoro wiadomo, że od Chmielnickiego do Skoropadskiego wszyscy hetmani byli zdrajcami, przez co nie jeden szwank ponosiło nasze państwo, a Mała Rosja – najdotkliwszy, boć jeszcze świeża jest pamięć o Mazepie – potra nam znaleźć wiernego człowieka, o czym pieczę mamy nieustanną, a nim taki się znajdzie, ustanowiliśmy urząd. Masz tu Weliaminowa”.... Długo jeszcze przeszywał mnie spojrzeniem i tak zakończył: „Jesteś majątny, to połowę swego majątku oddać musisz na skarb cesarski. Za co? Dla pięknych oczu... Za to, że żyjesz na tej ziemi... I nie czekaj na list Orlika, bo go już mamy. Próżne są wasze zabiegi: lud małorosyjski nie poparł Mazepy, nie pójdzie też za wami. Zaliś nie słyszał jego głosu tutaj na placu?”

Chwalić Boga, zem jeszcze zdążył rozporządzić częścią swojego mienia... Rychło car wezwał mnie do Peterburga wraz z sędzią Iwanem Czernyszem i pisarzem Iwanem Sawiczem. Nie wiem, gdzie ich osadzono. A jam tutaj. Za list do Orlika, który jednak przejął Rumiancew i zrobił odpis, skazano mnie na zamknięcie do końca dni moich. Ale to jeszcze nie wszystko – dopytują mnie o złoto. Mieć go nie będą, złoto w mogile...

– Na miłość boską, cicho! – jęknął Epifani.

Spod pryczy wyskoczył Oprycznik, który jął skakać i wrzeszczyć:

– O mogiłach mówcie, o mogiłach, jego ekscelencja rozkazał!

– Przepadnijże i niech cię frybra w błocie roztrzęsie! – po raz pierwszy wyzwolił się Epifani z mocy liliputów, zamachnął się nogą i zapędził karła pod pryczę.

– Zahartuj serce, ojczy – mruknął Połubotok. – Jutro rozegra się batalia nad moim ciałem i twoją duszą.

...Na ten raz Romodanowski obchodził się bez podręcznych. Jedyne Oprycznik siedział mało widoczny w kątku katowni i kozikiem rozszczeptał na trzaski lipowe polano, uśmiechając się przy tym złowieszczo. Pośrodku sklepionej kazamaty podziemnej piętrzyły się dyby – niewymyślna drewniana konstrukcja w kształcie krzyża z uciętym wierzchołkiem, z którego zwisał powróż do podwieszania badanego, niżej zaś czerniało zimne jeszcze palenisko, do którego Oprycznik nakładł białych szczypek.

Połubotok siedział na posadzce, beznamiętnie oczekując swojego losu. Romodanowski w czerwonym kitlu z wycięciami przechadzał się po kazamacie, sprawdzał dłonią poprzeczkę na dybach, pociągał za sznur i wyglądał nie tyle na kata, co na kowala szykującego kuźnię do roboty. Rzucił zaciekawione spojrzenia na twarz mnicha bladą niczym gaszone wapno i może się zastanawiał, czy również z nim będzie mieć do czynienia; zacierał dłonie i raz po raz zerkał na okute drzwi. Wreszcie się otwały i do kazamaty wszedł car Piotr z księciem Mienszykowem. Usiedli na ławie pod ścianą, car podparł się łokciem o kolano i wpatrując się wielkimi wodnistymi oczyma w Połubotka, podkręcał spiczaste koniuszki wąsów. Po chwili rzekł:

– Tu się Piotr z Pawłem spotyka... Czy nie lepiej było, Połubotku, pić razem z nami miód i gorzałkę, i żyć dostatnio póki życia starczy? I cóż ty na to, Pawle Leontiewiczu?

– Zaczynj badanie, carze – odparł Połubotok.

Epifani dopiero teraz był w stanie poznać hetmana – po krzaczastych siwych brwiach, czarnych głębokich oczach i orlim nosie: policzków nie dostrzegł, osunęły się aż do szyi zwiotczalymi fałdami.

– Skoro tak, to tak – rzekł car zgodliwie. – Muszę wiedzieć,

skąd wzięło się u ciebie tyle kruszcu. Długom to rozważał. Byłeś bogaty, to nie da się zaprzeczyć, handlowałeś swobodnie, aż ustanowiliśmy na granicy naszą komorę celną – mogłeś mieć w zapasie dukaty weneckie, dublony hiszpańskie, cesarskie talary i cekiny od Turków... Ale nie mogę dojść w żaden sposób, gdzieś miał swoją skarbnicę, z której niczym polana z drewni wydo-  
stawiała sztaby czerwonego kruszcu, nadto złote bryły podobne do muszli morskich. Znaleźliśmy ich co nie co w twoich sepetach w rezydencji czernihowskiej...

– Nie zebrał się Ostap ze wszystkim – westchnął Połubotok.

– Syn twój? Wiemy, bośmy go szukali... Nie powrócił z zagranic do swego dobrego monarchy. A szkoda, sędzę, że byłby od ciebie wrażliwszy... I tak wszystko już wiemy. Przed rokiem Ostap załadował w Czernihowie na wozy osiem skrzyń złotych sztab i bryłek, i ruszył z tym niewielkim taborem do Archangielska. Tam wynajął szkuner, prześliznął się przez lodowate sztormy do Anglii i złożył skarb w depozycie do tamtejszego banku Kompanii Wschodnioindyjskiej z czteroprocentową dywidendą co roku. Tak czy nie tak?

– Święta prawda, carze, dobrych masz zauszników... Czego chcesz jeszcze ode mnie?

– Chcieliśmy – car rozprostował plecy – jako prawowici gospodarze wszystkich ziem naszych i wszystkich bogactw, jakie się na nich znajdują, rewindykować sobie skarb małosyjski, ale się nam nie udało. Przemysłny testament pozostawiłeś w tym banku, że o zwrot depozytu zabiegać może jeno samodzielna Ukraina. Służba zasię bankowa zastłania się instrukcją królewską, iż takowa nie istnieje. Możebyś mi powiedział, jak sobie wyobrażasz znamiona samodzielności waszego kraju?

– O kilka raptem chodzi, monarcho: własne wojsko, własne granice i myto, bank i mennica własna – i ani jednego dragona moskiewskiego na Ukrainie!

– Nie opłaci się skórka za wyprawkę – Piotr strzepnął ręką.  
– Ale dosyć już o tym. Niechaj tymi ośmioma beczkami twojego

skarbu udławią się Anglicy. Bo jeśli o was chodzi, nierychło ujrzyecie samodzielność. Kim dziś jesteście z waszym przetrzebionym kozactwem, z waszą Siczą na ziemi tureckiej i z przyaresztowanym w Salonikach hetmanem Orlikiem? Mocnośmy was przytłamsili... A jeżeli kiedyś za lat dwieście albo i trzysta się wyprostujecie, to jakież bank, jakaż zamorska kompania spłaci wam te procenty – tyle grosza nie zgarnie się na całym świecie... Wolejbyś przepił ten skarb! O co innego wszak chcę cię zapytać – skąd żeś brał te złote bryły – z jakich ziem, kopalni, czy kurhanów? Przecie już książęta kijowscy wydobywali na waszej dzisiejszej ziemi nie mało kruszcu – skądęś ty zdobył te mapy tajemne. To właśnie mi teraz wyśpiewasz. Bierz go Fiedia!

Romodanowski niezwłocznie, boć świerzbily go ręce do takiego miłego sercu zajęcia, obwiązał pętlą skręcone od tyłu przeguby dłoni Połubotka i jął zwolna nawijać sznur na rękę. Ciało torturowanego wydłużało się, rozciągało, Epifani zauważył w duchu, że wzrostem Połubotok góruje nad carem, może właśnie dlatego Piotr go tak nienawidził; stopy hetmana oderwały się od posadzki i dał się słyszeć głośny chrzęst – to stawy oba na raz wyskoczyły z łożysk; głowa Połubotka opadła na piersi, wówczas kat opuścił ofiarę na posadzkę, powprawiał stawy w łożyska i wychlusnął na skatowanego wiadro wody.

– Powiesz teraz, gdzie są kurhany ze złotem? – zapytał car, gdy Połubotok otworzył oczy.

– Na Bojanowej\* ziemi – wykrztusił hetman.

– Gdzież ta Bojanowa ziemia? – poderwał się Mienszykow.

– Na Ukrainie, wasza ekscelencjo. Szukajcie, rozkopujcie na czworo każdy kurhan, a znajdziecie!

– Kpisz sobie, pohañcze! – zawołał książę. – Hej, karle, bierz się do dzieła!

Oprycznik jął rozdmuchiwać palenisko.

---

\*Bojan — lęgendarny pieśniarz ze „Słowa o pułku Igora” (tłum.)

– Powstrzymajcie się! – krzyknął Epifani. – Powstrzymajcie się, on powie!

– Bacz, ojcze – wytchnął Połubotok – moje ciało wytrzyma, ale twoja dusza nie. Długo jeszcze będziesz musiał odprawiać pokutę...

– Ależ nie warte, złoto całego świata nie warte takich okrutnych mąk!

– Nie byłoby warte, gdyby do mnie należało. Ale to własność ludu, całej wolnej Ukrainy. I wydobędą je nasi potomkowie – przyjdzie czas! Wydobędą, jeśli nie oskorupieje na wieki żużlem złoto dusz naszych...

– Na dyby z nim! – wychrypiął car.

Znów zachrzęściły stawy, a płomyk z ogniska podsycanego przez karła już lizał stopy Połubotka.

– Opuść mnie kacie na ogień – poprosił Połubotok. – Śmierć już mi w oczy zagląda... Pozwól pomęczyć się tak, by mąk moich nigdy nie zapomniano na Ukrainie, by to co dziś znoszę, na wieki wołało o pomstę mojego ludu... Tak to... – rzekł sięgając bosymi stopami żaru. – Nie straszna jest mi teraz ostatnia godzina. Ona to będzie najcenniejszym skarbem dla mojej ojczyzny... A złota nie znajdziecie przekopując kurhany, wymknie się wam z rąk niczym rtęć! I nawet gdy je znajdziecie, korzyści wam nie przyniesie. W kacabajach przyszlście do nas, w fufajkach, i w fufajkach od nas pójdziecie: rabuś nigdy się nie wzbogaci. Carze nienasycony! Pustoszysz moją Ukrainę nie wiedząc o tym, że ją hartujesz, sam zasię w zajadłości swojej spalasz się jak ta mszyca. Śladu nie pozostanie po tobie i będzie się dziwić potomność, w imię czego przelano tyle krwi na ziemi? Powiedzą ludzie późniejsi, żeście za złoto powyzydychali i wyginęli jak Obrowie z oblicza ziemi, ci zasię wykuli złoto dusz swoich... Idź, Epifani, szukać drogi do świątyni. Żyć będziesz dotąd, aż ją znajdziesz na ziemi splądrowanej przez Antychrysta... Z tobą zaś, carze – zabrzmiał donośnie głos Połubotka, obił się o mury lochu i wzdrygnęli się kaci i możni tego świata. – Z tobą, carze, za niewinne cierpienia moje i moich

ziomków sądzić się będziemy u Sędzi nie mającego względu na osobę, Boga naszego: rychło staniemy przed Nim i On rozsądzi Piotra z Pawłem!

## Rozdział dwunasty

Połubotok podał się ciałem do przodu, jak gdyby miał wybiec z żaru i rzucić się na swoich dręczycieli, uczepiony jednakże powrozem do dybów, zawisł pochyło: coś jeszcze szeptał spierzchłymi wargami, chwilę jeszcze patrzył ciemnymi oczyma na cara i przypominał w tym momencie proroka wypowiadającego słowa klątwy. Jednakże wkrótce zbieleły mu oczy, głowa zwisła bezwładnie i hetman z wolna osunął się na posadzkę.

Epifani schylił się nad umarłym, zamknął mu powieki i przypadł do jego piersi.

– Wieczna pamięć – wyszeptał. – Wybacz mu Boże grzechy jego dobrowolne i mimowolne...

Kat Romodanowski stał nieruchomo przy dybach, czekając na nowe polecenie władcy: wiedział, że badania nie zakończono – pozostał mnich, którego nie sprowadzono tutaj do asystencji monarsze. Piotr i Mienszykow jednak milczeli na widok nie spotykanego dotąd męstwa.

Jeno karzeł Oprycznik zapiszczał, wskazując to na mnicha, to na umarłego:

– Epifaniego, Epifaniego na dyby, zabronił mu wspominać o kurhanach. Słyszałem, sam to słyszałem!

Nikt wszakże nie zwracał nań uwagi. Car tępo wpatrywał się spode łba w umęczonego hetmana – zda się – wsłuchiwał się w głos Połubotka mający dobiec już z zaświatów niczym wyrok śmierci: jak gdyby przeczuwał imperator niechybność odplaty za śmierć niewinnego.

Mienszykow, ocierając dłonią spotniałe czoło, cofał się przed karłem, który tupał przed nim nóżkami domagając się ukarania – nie

wiedział już książę, kogo mianowicie, wydało mu się, że jego samego, i dawno tłumiony lęk przed karłami zmienił się w niepomierną trwogę: przygarbiony już imperator nie wiele ma życia przed sobą – i pozostawi go kiedyś na pastwę swoich wychowanków...

Epifani wstał, spojrział na oniemiałych mocarzy i mijając kata, który stał w niepewności, bezszelestnie wyszedł z kazamaty.

Słońce olśniło oczy mnicha, spojrział mrużąc powieki na rozpalone światło niebieskie i po dłuższym czasie, którego nie mógł określić, zdał sobie sprawę, że jest ono na świecie. Rozejrzał się dokoła: za pustkowiem, na którym samotnie małał budynek Kancelarii Preobrażeńskej, widniały ludzkie siedziby i Epifani przypomniał sobie, że prócz karłów na świecie żyją również ludzie; raptem równocześnie zapragnął ujrzeć twarze ludzkie: wesole i zasmucone, urodziwe i szpetne, zaaferowane i obojętne – a każda inna, w szczęśliwej czy nieszczęśliwej chwili stworzona przez Pana i posłana na ten świat na szczęście czy też na udrękę ze znamieniem niepowtarzalności, by w krzątaniu codziennej człowiek nie zagubił swojego ja, by w największym zamieszaniu i najgęstszym ścisku mógł rozróżnić podobnych sobie.

Któż stworzył karły – jednakowe i wyrównane niczym bliźnięta, któż odebrał im różnaitość postaci, kto je zmusił do myślenia „pod sznurek”, wygłaszania jednych i tych samych haseł, uczynił z nich ślepe narzędzia, we wnętrzu ich umieszczając miast dusz szablonowe okrucieństwo, kto wymyślił dla nich ideę anonimowej równości?

Czyżby Bóg? Dlaczego? By uchronić świat przed zgubną obojętnością, lenistwem, zniechęceniem do znajdowania w sobie – siebie, do wzbogacania swoją niepowtarzalnością harmonii świata? Czy po to, by skarcić bezosobowe, zobojętniałe, rozleniwione społeczeństwo, któremu zaczęło już dogadzać wygodne życie w niewoli?

Epifani szedł i szedł, nie zatrzymując się, mijał wsie i miasta, chciwie przyglądając się ludziom i zdumiewając przechodniów próbował uśmiechać się do nich. Zauważył też, że na dworze jest

wiosna i świat mieni się różnorodną gamą barw, że na ziemi szumią lasy i kwitną zioła, że płyną strumienie i błękitnieją jeziora, których tafle tną czarne grzbiety wielkich ryb, że gwarzą ptaki w zaroślach i w niebiosach buja srebrnoskrzydły orzeł.

I zaśpiewał wskrzeszony w duchu Epifani pieśń pochwalną: „Ciebie, Boga, chwalimy, Ciebie, Pana, wyznajemy, Ciebie, Ojca przedwiecznego wielbi cała ziemia, Tobie cherubiny i serafiny nieustannym głosem wołają: Święty, Święty, Święty Pan Zastępów; pełne są niebiosa i ziemia majestatu chwały Twojej!”

Nagle zmiłkł: przed nim wyłoniła się iglica Admiralicji, od której w głąb miasta rozciągał się szeroki prospekt, z obu stron oblepiony wysokimi i niskimi gmachami. Był to obcy i wrogi Peterburg. Było to miasto, w którym mieszkali nienawistni mu ludzie, którzy najechali Ukrainę i zabili Połubotka, Babilon ze straszną Wyspą Wasilewską, na którą Epifani musi powrócić, by do końca poznać świat karłów – i albo rozpułnąć się w nim i zatracić na wieki, albo ocalić ludzkość przed najazdem liliputów.

Przed nim roił się Peterburg zbudowany na kościach kozackich i zaludniony przez zbiegowisko ludzi z całego świata. Kim są ci ludzie? Czyżby wszyscy byli jego wrogami?

Nieznane mu dotąd uczucie litości nad ludźmi, których się lękał i nienawidził, przeniknęło go i uradowało:

„Zali są winni, że stali się takimi? I czy wszyscy są tacy?.. Wszak nie szukałeś wśród nich jakiegoś jednego człowieka, widziałeś jeno ciżbę pragnącą maszerować na obce ziemie – aż do ostatniego morza. A zapewne nie wszyscy tego pragną. Ktoś z nich chce żyć na swojej ziemi i ją uprawiać. Któryś z nich na pewno szanuje twoją miłość do kraju ojczystego. A może ktoś nawet pragnie wolności dla ludu. Są przecie rozmaici i każdy z nich jest niepowtarzalny. Jakie masz prawo pakować wszystkich do jednego worka z carami, pacholkami i zgrają siepaczy – karłów? Nie wpuszczaj do swego serca nienawiści do jakiegokolwiek narodu, nawet tego, w którego imieniu wyzuto cię z wolności, bo nie wszystkim jest temu winien; nienawiść do wszystkich – to także jest orda w sercu”.



Epifani zostawił za sobą ulicę Łąkową i szedł Wielką Perszpektywą w kierunku przedmieścia Aniczkowa. Czuł palącą potrzebę porozmawiania z kimś. Naraz zatrzymał się jak wryty: naprzeciw mu szedł jego stary nauczyciel, Tymotej Werhun – profesor Akademii Kijowsko-Mohylańskiej.

Zawadził o niego w przejściu i gdy profesor z roztargnieniem przyglądał się mnichowi, usiłując go wyminąć, przed oczyma Epifaniego jak żywe zamajaczyło dawno zapomniane wydarzenie... Nie jest jeszcze nawet spudejem, alumnnem, dopiero kandydatem do pierwszej klasy akademii – fary, żółtodziobym „beanem”, posłusznie kładzie się na podłodze w bursie, depozytor zaś (czyli starszy spudej z drugiego roku – filozofii) obmierza go sznurem niczym linią, bierze do ręki piłę i jak gdyby obrzywał wszystko co zbędne z nieokrzeszańca, później siekierką też jak gdyby przycinał uszy napominając, by był głuchy i nie donosił na towarzyszków, po czym obmywa wodą i przyczesuje, na ostatek wręcza świeżo upieczonemu spudejowi pióro i kałamarz, po czym Epifani stawia kamratom w szynku poczęstunek...

Ogarnęła go fala wspomnień, rozrzewniła do łez, Epifani objął nauczyciela i wyszeptał:

– Czcigodny mój preceptorze, to ja, uczeń wasz, Epifani...

Profesor uwolnił się z objęć mnicha, przyjrzał mu się:

– Żyjesz! Z życiem uszedłeś z Baturyna!

Zgarbił się Epifani, znikło sprzed oczu miłe sercu widzenie i znów po raz nie wiedzieć który smagnęła je okrutna pamięć, zamiast malowniczego Podołu nad Dnieprem stanęły drewniane, kryte darnią budynki Wielkiej Perszpektywy, a tam, nad Newą, gmerają się w błocie brańcy z osiedlcami – zakładają fundamenty pod cesarski Pałac Zimowy, wbijają pale, wypalają cegłę, zasypują ziemią trzęsawiska.

– Nauczycielu, co dzieje się na świecie? – zapytał Epifani z rozterką w głosie.

– Sądzę się odbywa – sucho stwierdził Tymotej.

– Nad kim?

– Nas sądzą... – pomilczał chwilę i dodał z mocą: – Ich także!

– O nie – potrząsnął głową Epifani. – Ich jeszcze nierychło sądzić zaczną. Sąd toczy się nad nami. Dziś zakatowano Połubotka...

– Najsurowszy sąd nad nimi się toczy, nie wątp w to, synu... Dawno myślałem już o tym i coraz bardziej się upewniam, że miałem rację. Sądzą ich dzisiejsze uczynki i hetman nakażny dziś został powołany na świadka.

– Rzekliście, panie, że sąd i nad nami się toczy... Ale za co – czy myśleliście i o tym? Za co – skoro zawsze pragnęliśmy jeno tego, co należy się każdemu człowiekowi?

– Może i sądzą nas za to, żeśmy Ukraińcy. Za nasze dzieje... Tak lubimy się chełpić, że Ukrainiec to bohater, męczennik, rycerz, filozof. Możemy się też samobiczować: Ukrainiec to leń, zaprzaniec, donosiciel. Jednakże nie narodziliśmy się dzisiaj z tymi naszymi wadami i zaletami – jesteśmy wytworem historii. I podobnie jak ich dzieci poniosą karę za grzechy ojców – wskazał dozorców stojących z nahajkami wokół wykopów pod fundamenty – tak i my musimy dziś odpowiadać za grzechy przodków... Czyje grzechy? Przypomnijmy sobie bodaj okrutnego Romana, krwawego Światopełka Potępionego, omylnego w rachubach Chmielnickiego, Brzuchowieckiego, który się płaszczą, niedocieczonego Mazepę... Ale co tam za książąt czy hetmanów! Za gnuśność i zobojętnienie naszych rodzonych ojców: czemuż to drapali się w ciemię zamiast posiąść swą przestrzeń i okiełznać swój czas? Dlatego Bóg nas sędzi. A jaki to będzie wyrok – zobaczą już nasze dzieci. Może pokarze śmiercią, a może pośle do karnych kompanii, by walczyły i ginęły za wolność. A na tych właśnie Bóg wyrok podpisał: do czarnej księgi wpisano Baturyn. Krew zabitych spadnie na głowy winnych i niewinnych.

Tymotej Werhun, siwy jak piołun, zmarszczka na zmarszczce, przygarbiony, ale z żywymi oczyma, spojrział na Epifaniego pokrzepiająco, mówiąc:

– Chodźmy do mnie, synu. Zwyczajem starych spudejów wypijemy po czarce. Niech nam Bóg wybaczy...

Na Linii Łąkowej, co skręcała w bok od Wielkiej Perspektywy i gubiła się w wiklinach, stało kilka domków krytych sitowiem, które jak gdyby nie należały do stolicy i żyły swoim odrębnym życiem.

– To nasza kolonia profesorska – Tymotej Werhun stanął około domku na skraju. – Zbudowali ją ci sami Kozacy, którzy teraz wznoszą Pałac Zimowy dla cesarza – dla nas, uczonych z Ukrainy zesłanych do Peterburga i zamiánowanych teraz „uczoną drużyną” Piotra I. Cała Ukraina służy carowi – od kopaczy do filozofów... Chodźmy do domu, nie mam siły patrzeć na to gnijące oparzelisko i przypominać sobie – cały czas wspominać – nasz zawiadycki Podół nad Dnieprem!

Mieszkanie Werhuna składało się z dwóch klitek połączonych prostokątnym otworem bez drzwi. W drugiej pełno było ksiąg ułożonych w stosy pod ścianą. Epifani nie słyszał zaproszenia profesora, który wyjmował z komody omszałą butlę z nalewką i pachnące wędzone ryby, stał i patrzył zaczarowany na księgi, których, jak mu się zdawało, nie widział od stuleci; nie pytając o pozwolenie po prostu wtargnął do izdebki, chwycił książki jedną po drugiej, otwierał, czytał tytuły, odkładał, tulił do piersi i coś szeptał do siebie.

– Wygłodzonyś, nieboraku – zamruczał pod nosem Tymotej, podszedł doń i biorąc za rękę zaprowadził do pierwszej izdebki, sadzając go przy stole. – Napatrzysz się jeszcze... wszystka mądrość ukraińska przewędrowała do Peterburga. Częstuj się i pogwarzyśmy z godzinę.

– A tam – zatoczył dłonią krąg Epifani – nikt i nic już nie zostało?

– Lud został – odmruknął Tymotej. – A gdzie jest lud, tam jest i myśl tworząca... Filozofia, synku, to nie stosy ksiąg, nie nauka, nie kunszty, nie polityka i nie religia – to dziedzina życia duchowego i działań człowieka. A lud pozostał w swoim kręgu i co dnia ma możność określania sobie sensu własnego istnienia. Jam też określił sobie ów sens i dziś pokuszę się wytłumaczyć go tobie.

Jesteś jeszcze młody, wrócisz do ojczyzny i pomnożysz swoim ludzkim doświadczeniem moje rozumienie naszego udziału w tym świecie. Sam Bóg mi cię zesłał – ja już nie zdołam powrócić.

Epifani spojrział na Tymoteja i serce mu się ścisnęło: bardzo już postarzał jego mistrz. Szara twarz poznaczona była workami pod oczyma i na policzkach, jednakże kielich dodawał mu wigoru, jął mówić podniecony.

– Od stu lat prawie karmi Ukraina Moskwę rozumem. I nie żał byłoby udzielać bogactwa sąsiadowi – niech i on ma, niech świat cały nabiera ogłady, jednakże sprawy mają się inaczej: bierze ona to jako swoją własność, odziera nas z tablic genealogicznych i ciska je w błoto... I już preceptor carskiej rodziny Symeon Połocki, już strażnik tronu patriarszego Wszechrosji Stefan Jaworski i wielki wychowawca kijowski, a później rektor grecko-łacińskiej szkoły w Moskwie Epifani Sławiniecki, i pisarz Dmytro Tuptało, metropolita rostowski, a na ostatek krynica wszechwiedzy dzisiejszej – poeta, filozof, astronom i polityk, biskup pskowski i przywódca „uczonej drużyny” Piotra Teofan Prokopowicz – wszyscy oni zostali przemianowani w moskiewskich i złości się zajadle duchowieństwo rosyjskie, gdy napomkniemy o ich ukraińskim pochodzeniu. Panoszy się rzymski parweniusz w kulturze Hellenów, tuczy się na niej i pomiata nią. W naszej kolonii profesorskiej też jest sporo uczonych: Kulczycki, Łopatyński, Bużyński, Bołatowski, ja niegodny – wszystko to są wychowankowie Akademii Kijowsko-Mohylańskiej!

– Wielką winę ponosi dwór carski za nasłanie karłów na Ukrainę – cicho rzekł Epifani.

– Nie rozumiem, synku.

– Później wytłumaczę... Cóż więc robi dla cara „uczona drużyna”?

– Dopomagamy Teofanowi unieśmiertelnić dzieła Antychrysta Piotra.

– I nie lękacie się kary Bożej?

– Kto ma oczy, ten dostrzeże: postać Antychrysta przebija

poprzez panegiryki jak stary fresk przez olejną nakładkę pacykarza.

– Wszyscy pocieszamy się drobnymi uczynkami, wielce grzesząc swoim udziałem w niegodziwych przedsięwzięciach..

– Prawdęś rzekł... Mimo to wróciłeś z Baturyna żywy i torujesz narodowi drogę do odkupienia. A gdybyś zaginał, to i ta droga zarosłaby perzyną... My zaś, nie mając możliwości napisania dziejów hetmaństwa Mazepy, piszemy historię Piotra i widzący zobaczy... Pozostał jednak Teofan przy życiu i pisze księgi filozoficzne, które kiedyś do ręki weźmie nasz potomek i zmadrzeje, a grzech mu wybaczy.

– Ale czyż da się tak wyszastać w świecie i przetrwać? Czy wybaczą ludzie, czyż zapomną Teofanowi bluźniercze słowa jego panegiryku, wygłoszone w Świętej Sofii z czołobitnością dla Piotra: „Psy nie ugryzą swoich panów, dzikie zwierzęta nie przyczyniają szkody swoim żywicielom: dzikszys zaś od wszystkich bestii rękodajny ośmielił się pokąsać dłoń, która go wyniosła na tak wysoką godność”. Przecie to on o Mazepie, protektorze swoim, rycerzu, co Ukrainę pragnął z pęt oswobodzić! Czy wypowiedział kto na świecie coś nikczemniejszego?

– Zgadzam się z tobą... Ale napisał on również mądrą bajkę o myszach ze wsi i z miasta... Zaprosiła miastowa mysz wsiową na łakocie ponętne. Ale ktoś drzwi otworzył znienacka i nadworna czmychęła do znajomej dziury, wsiowa zaś błąkała się po cudzych wertepach i dopiero nocą dotarłszy do swojskiego zakątka rzekła: „Witaj beztroskie ubóstwo nasze z chlebem powszednim!” Masz tu całą prawdę. Ty jeszcze wrócisz do swojskiego zakątka, my zaśie tutaj powyzdychamy na carskich biesiadach...

Długo milczał Epifani, po czym na stół położył książkę, którą był wziął z biblioteczki i otworzył ją.

– Mam tu przed sobą „Zegar z półzegarem” Iwana Welyczkowskiego. Pisze: „Minie chwala, minie bogactwo, minie próżność, miną wzniosłe myśli, miną wszystkie lata – i na to wszystko minie godzina pokuty”. Musimy to zapamiętać. Biada społeczno-

ści, która przystała na służbę u samozwańczej nieokiełznanej przemocy... Ale dokąd tu iść, by jej nie służyć?

Tymotej Werhun, bacznie mierząc go wzrokiem, odpowiedział:

– Gdy człowiek nie wie, dokąd ma iść – niech przystanie i pomyśli, po co żyje. Niech bodaj na chwilę stanie się mędrcom... Tylko pamiętaj, że mędrcom nie jest ten, który poucza innych, jeno ten, co zna prawdę i każdym dniem swojego życia potwierdza jej słuszność... Bo cóż to jest prawda? Powiesz – wolność. Ano tak, wywojowało ją kozactwo, ale potwierdzić jej słuszność każdym dniem swojego życia nie zdołało. Nie wiedzieli, co z nią począć, uprzykrzyła się im, oddawali tę wolność mocniejszym sąsiadom, by później ją odzyskiwać. I tak przez cały czas mieli zajęcie, aż pomdlały im dłonie, a rozum drzemał, tymczasem społeczeństwo, utrudzone krwią i wojaczką, zapragnęło życia duchowego. Nie znajduje prawdy naród, który nie dojrzał do myśli, że wolność na samej szabli utrzymać się nie da. Zanedbaliśmy Akademię na Podole, rozproszyło się kółko filozoficzne arcybiskupa Łazarza Baranowicza w Czernihowie, aż tu szast prast – i szabel w rękach nie stało! To gdzież jest teraz prawda? Oczywiście, że w wolności, jeno odwojować ją teraz, gdy miecz nam zabrano, możemy jedynie myśleć... Wskrześmy co prędzej nasz rozum! Nie wiesz, co masz robić?.. Twój towarzysz lat szkolnych Samijło Welyczko oślepił w Dikańce, nie ukończy już swojej kroniki. Zali ty nie umiesz pisać, zali nie wykuwali w tobie didaskałowie kijowscy lotnego umysłu? Weź pióro i odśłoń występki i górne cnoty, opowiedz o narodzinach i upadku królestw, staw przed oczyma czyny bohaterów, którzy żyli w chwale, wytłumacz świętą naukę o Bogu w Trójcy Jedynym. Historia to świadek czasów, nauczycielka życia, a słowo kronikarza czyni ją nieśmiertelną. Napisz historię niewoli, przez co potwierdzisz słuszność jedynej prawdy – wolności!

Epifani pochwycił wyschniętą rękę Tymoteja i przypadł do niej ustami.

– Dzięki, nauczycielu, żeś rozproszył moje wątpliwości... Piszę, ale stronicie zapisane przeze mnie blakną z powodu mojej niemocy. Stało się ze mną coś najstraszniejszego, wysłuchaj mnie... Zaznawszy lęku przed ordą w świat poszedłem, żeby przeniknąć jej istotę. Ona zaś mnie osiodłała. Noszę karły na własnym grzbiecie, nie wierzysz mi? Nie wierzysz, że są na świecie karły?.. Są tuż przy nas. Wszędzie. Zapragnąłem stwierdzić ich małość i wyższością swoją podbudować ducha, ale zrozumiał, że na świecie istnieją tylko oni – wielcy i mali – i że rozporządzają całym naszym życiem. Cały się dałem o władnąć tej myśli... Karły są straszne: kłamstwem swoim rozpędzają na wsze strony prawdę i prawdą się wydaje ich kłamstwo. Bezczelność swoją nazwały odwagą, chętność – wielkością ducha, donosicielstwo – patriotyzmem, i tak po przemianowaniu tych przywar strasznych i zgubnych dla człowieczeństwa, treść pozostawiły tę co wpródzi i zmusiły wszystkich dokoła, by uznali ich zło za dobrodziejstwo... Sądy ich są bezecne, wyroków ich nikt nie podważa, klaszczą w dłonie na widok zabójstwa niewinnie skazanego, omamienie ich przewagami zaraża ludzi jak dzuma, zmieniając wszystkich dokoła w karły... Zagarnąć chcą całą ziemię, pożreć wszystkie jej zasoby. Burzą świątynie Boga nie tylko na ziemi, ale i w sercach ludzkich. Same zaś biją czołem bałwanom i bożkom ziemskim, które biorą na się posłannictwo bicia Bożego. Lud zastraszony przez karły błaga owe bożki o życie, a wzamian za własne istnienie oddawać musi bliźnich na ofiarę... Mnie samemu, błędzącemu w poszukiwaniach świątyni, zdało się kiedyś, że zgoła jej nie było na świecie, co stał się dziś dla mnie miejscem spustoszenia i przyznaje mi prawo do bycia zbrodniarzem. Ratuj mnie, nauczycielu!

– Uspokój się, synu... – Tymotej pogładził Epifaniego drżącą ręką po głowie. – Skoroś ujrzał ordę w takim jaskrawym świetle, toś jeszcze nie zgubiony. Walczysz z małością. Wmawiają ci, żeś ty Małoros, małego wzrostu, czyli karzeł. Ale ty stawiasz opór i Małorosem być nie masz ochoty. Bo Małoros to nie jest Ukraińiec, któremu narzucono jarzmo, jeno okaleczony duchowo

pokraka, słuźalec, zaprzaniec z wyjąłowioną pamięcią. Takim nie jesteś. Nie upadaj więc duchem w obliczności karłów. Są bezsilne, silne jest jeno mamidło grozy, jakie pokurcze rzucają na ludzi... Posłuchaj uważnie sylogizmu, jakim sobie ułożył, postrzegając świat zniewolony nieco inaczej niż ty. Brzmi to tak: rządząca mniejszość zawsze przybiera pozór większości, jako że łatwo uzewnętrznia swoją siłę. Ta pozorna większość niechybnie staje się mniejszością, ledwie utraci władzę narzucaną przemocą. Z tej racji, że wokół niej wytwarza się próżnia: posłuszni wykonawcy nigdy nie staną się twórcami, nadto rzeczywistej większości – ludu – tyrania nigdy nie zdoła przeciągnąć bez reszty na swoją stronę. Tyrani przez cały czas siedzą na beczce z prochem, która prędzej czy później wybuchnie. Wówczas większość, za mniejszość dotąd uważana, staje się nie silną mniejszością na wzór poprzedniczki, lecz silną większością. Stąd mimo pozornego braku perspektyw mamy perspektywę realną, tamci zaś przy mniemanej perspektywiczności – brak jej. P prędzej czy później zmusimy ową mniejszość demonstrującą dziś swoją siłę do wysłuchania naszego głosu. Państwo przemieniające ludzi w karły po to, by stanowili posłuszne narzędzia w jego ręku, przekonuje się na ostatek, że mali ludzie nie są w stanie załatwić spraw wielkich i że wytworzona przez nie machina musi stanąć, straciła bowiem rozpęd, który państwo zniweczyło rzekomo w interesie samej machiny.

Epifani się podniósł, zrozumiał, że musi powrócić do kolonii i przygotowywać się do wielkiego zadania.

– Dzięki za naukę, nauczycielu – skłonił się do nóg.

– Bywaj zdrów synu – odparł Tymotej nie podnosząc się z miejsca. – I pamiętaj, że sąd nad światem się odbędzie i że już trwa. Każdy twój uczynek jest sądem i za każdy z nich jesteś sądzony... Zresztą umiesz czytać i żyj tak jak Bóg cię nauczy.

Słońce już zaszło za pałac Mienszykowa, błyskała jeno złota iglica Admiralicji, ale i ta zwolna gasła, błady zmierzch zapadał nad Peterburgiem.



Kozacy – kopacze rozprostowywali plecy, rzucali w dół kilofy i łopaty i kuśtykali jak postrzelone ptaki wzdłuż Newy w stronę Kozackiego Przedmieścia do swoich baraków i lepianek. Byli czarni, brudni i obrośnięci a także przygarbieni, chudzi i milczący; klucz kozacki obojętnie mijał mnicha, który stał na brzegu prospektu i nie mógł oderwać oczu od sponiewieranych brańców, co jeszcze wczoraj miast łopat trzymali w rękach szable i rusznice i byli postrachem dla Turka, Lacha i Moskala.

Szli bez straży – setki, a może tysiące, żaden z nich nie skręcał ze stratowanej drogi, nikt nie wzdychał ani nie wybuchał przekleństwem – nieme stado mozolnie pokonywało niewielki odcinek drogi, który wypadało przejść, by dostać swój przydział i jak bądź napęłnić pusty żołądek.

„Zali to ci sami, co jeszcze niedawno – pieszo lub konno, z czubami rozwianymi na wietrze, ze wzniesionymi szablami, z dzikim pohukiwaniem stepowym wdzierali się do obozu nieprzyjaciół, zmiatając wszystko po drodze? – myślał ze smętkiem Epifani. – Jak mogło się to zdarzyć, że tak błyskawicznie rycerze zmienili się w bydelko robocze? Czego zabrakło im tam, na wolności, czego nie wykształcili w sobie, że tak łatwo dali za wygraną? Może nie dość dla rycerza zapału bojowego, żelaznej jak w zakonie dyscypliny i przemijających zwycięstw?.. Za żołnierzem stać musi instytucja posłuszeństwa wobec państwa, której nigdy nie znał Kozak wychowany przez niekontrolowane bractwo wolnych i rozkiełznane prawo kozackiego wiecu. Co mu zostało, gdy mu to odebrano? Nic. Kto broni go, stoi za nim? Nikt. Zda sobie sprawę z tego dopiero, gdy z rąk wytrąca mu szablę, upada wówczas na duchu i z rycerza zmienia się w niewolnika. Co trzeba dać narodowi, by pozostał narodem, gdy odebrano mu miecz? Stokroć ma rację Tymotej Werhun: myśl, oświatę, wiedzę o prawie i państwie, rację istnienia. Poprzez jakie instytucje należy przeprowadzić naród, by miał to wszystko w pogotowiu na wypadek klęski? Tylko poprzez świątynię wiedzy i życia duchowego. Kto go podźwignie i zaprowadzi do świątyni? Sam przecież jej dotąd

nie znalazłem. Gdzież ma stanąć – na ujarzmionej ziemi czy w bezpiecznej obczyźnie? – W domu jedynie!.. Trzeba zwoływać lud ze wszech krańców pod ojczystą strzechę. Bo co mogą zdziałać Kozacy na ziemi tureckiej, co może uczynić hetman Pyłyp Orlik w dalekich Salonikach, co wymyślą uczeni dla Ukrainy w Peterburgu? Kto zwoła ich głosem trąby na ziemię ojczystą, która bez nich nie odzyszcze wolności? Ja?!”

Patrzył na tych szarych ludzi, podobnych jak krople wody, dochodził do wniosku, że zarówno niewolnicy jak ich właściciele poprzez utratę osobowości tracą i wyraz twarzy; skinieniem wywołał z czarnej kolumny takiego, co bodaj jeszcze nie stracił kozackiej fizjonomii.

I Kozak wyszedł.

– Czego chcesz ode mnie, świętobliwy ojcze? – zapytał lekceważąco. – Otrzyj łzy, nie rozmazuj się – nie pora teraz płakać i głosić requiem. Stań przy mnie w gromadzie i poczniemy budzić ich, by powstali – ukazał zobojętniały tłum brańców.

– Nie mają broni – zauważył Epifani.

– Mają pięści.

– Pięciami nie da rady, rozumu im potrzeba.

– Daj im swój rozum, chodź z nami. Kto chce wolności, musi przejść przez więzienie.

– Straszne rzeczy opowiadasz człowieku. Cały naród przez więzienie?

– Ten jeno, co na chwilę bodaj poczuł utratę wolności, umie i ma prawo jej pragnąć.

– I nikt więcej? Któż tedy będzie uprawiać zboże i pisać księgi?

– O jakich księgach mówisz, gdy tu kozactwo ginie. Łatwej wolności szukasz, bojaźliwcz. Odważ się pójść do więzienia!

– Gdy wszyscy znajdą się za kratą, któż sobie z karłami poradzi?

– Już wiesz, co zamysliłeś... Ale karłów nie zniszczysz tak po prostu, w ludzkich duszach mieszkają. I w twojej własnej!

Chodźmy ojczyźnie pospołu! Wzniecimy powstanie i bodaj zginiemy z honorem!

– Dość jużemy ginęli z honorem. Z honorem zginął wszystek Baturyn i nie ma go, nie ma!.. Chodź ze mną Kozacze. Pójdziemy na Ukrainę wzywać, by sam siebie odnalazł w pokucie.

– Różnąc potraza, a nie pokutę głosić. Zaliśmy to plemię skruszonych niewolników?

– I znów przelewać krew na próżno? By nawet kropli w żyłach nie zostało? By świat pamiętał o bohaterach, co z niego zeszedli? O nie, nawiedzony człowiecze! Ja muszę ocalić ducha narodu.

Epifani obrócił się i poszedł, słysząc za sobą śmiech szyderstwa. Nie oglądał się, szedł pewnym krokiem na Wyspę Wasilewską: wiedział już, co ma robić.

## Rozdział trzynasty

W pierwszym miesiącu petersburskiego lata lunęły ukośne deszcze na Piotrową stolicę. Wiatry zachodnie pędziły znowu z Zatoki Fińskiej ciężkie kłęby chmur, które załamywały się nad Newą i spieniały potężny nurt rzeki. Newa puchła i występowała z brzegów grożąc zalaniem Wyspy Wasilewskiej.

Niepogoda wprawiała karły w popłoch: a nuż spełnia się przekleństwo Połubotka, o którym szeptem, jednakże wszystkim wybranym rozgłosił Oprycznik?

Jednym słowem, wszyscy jęli przemyśliwać, jak tu się ratować przed powodzią, co wedle relacji dawnych mieszkańców nie raz zalewała wyspy w ujściu Newy.

Mistrz Jermołaj prawem pierwszeństwa zajął miejsce na czubku kopuły dawnej cerkiewki, która stała się składowiskiem piasku i trzymając się sworzni, co niegdyś zakończony był krzyżem, wykrzykiwał dziarskie hasła własnego pomysłu:

– Żaden nas łąd ni morze nie powstrzyma!

– Nas nie przerazi chmura ani deszcz!\*

Powtarzał te zaklęcia raz po raz, spozierając z obawą, jak wzdyma się rzeka, występuje z brzegów i druzgocze kładki i mosty. Karły naprędce ustawiały piramidy z worków naładowanych piaskiem. Jermołaj nakazał wybudować dwieście takich piramid, bo nie umiał liczyć ponad tę cyfrę, nie wiedział zatem, ilu ma wybranych liliputów. Na szczycie każdej piramidy stać miał wybrany i tym sposobem zamierzano uchronić śmietankę Raju Przyszłości. Mimo iż kolonia karłów osiągnęła pierwsze miejsce na świecie w wydobywaniu piasku na głowę ludności, worków wystarczyło raptem na cztery piramidy, na które niezwłocznie wydrapali się przedstawiciele pierwszej kohorty wybranych: zasłużony weteran katowskiego rzemiosła Dostojny Karzeł, urzędujący mistrz-oprawca Oprycznik, rzecznik nieprzejednanej walki z głodującymi Kałmuk oraz ludowy kręgarz-Małorus z Połtawy, okrążył jak antałek, z brzuchem, co zaczynał się od gardła a kończył pod kolanami, liliput Kawun, bez którego kolonia karłów nie wyobrażała sobie istnienia, jako że dbał on o zdrowie i wzrost karłów, mógł przyjąć wszystkie w ciągu jednego dnia i po dokonaniu odpowiednich zabiegów zapewnić, że żaden z nich nie utraci już ani cała wzrostu.

Kawun dokonywał oględzin lekarskich fachowo i szybko: macał palcami grzbiet, trafiał na miękki kręgosłup, który z czasem mógł się skurczyć i zmniejszyć wzrost karła, tłukł węń, po czym dawał kopniaka w siedzenie i wołał: „Następny!”

Po przejściu takiego przeglądu karły miały pewność, że nie będą się już zmniejszać, przeto za bezpłatne leczenie uwielbiały Kawuna, tytułowały go „czarownikiem”, wyprosiły dlań order u Mienszykowa, ponadto znając niezmordowane gadulstwo kręgarza pozwalały mu zabierać głos na każdym szkoleniu politycznym, gdzie wygłaszał głębokie aforyzmy, z których jeden, wypowiedziany w czasie głodowania Motri, zyskał rangę złotej myśli:

---

\*Słowa z popularnego „Marsza entuzjastów” Dunajewskiego (tłum.)

„Niech sobie głoduje, więcej będziemy mieli do jedzenia!”

Tak to siedzieli w oczekiwaniu powodzi – Jermołaj na kopule cerkwi, Dostojny Karzeł, Kałmuk, Oprycznik i Kawun – na wierzchołkach piramidek i z zapartym tchem spoglądali, jak mętna woda podchodzi pod Wyspę Wasilewską. Pozostałe z wybranych oblepiły piramidy ze wszystkich stron, pospolite zaś karły oddano na pastwę powodzi.

Jednakże ulitował się Bóg nad karłami – i może nad Epifaniami: ulewa ucichła, ustąpiły wody i Newa powróciła do łożyska.

Inne wszak przyszło zagrożenie: powódź zerwała mosty i karły zostały odcięte od stolicy. Cóż to dla Mienszykowa, który miał jacht i okręty? Karły zaś floty nie miały. Zapewne więc z przyczyny, że Epifania był pomiędzy nimi najwyższy i w cichości każdy karzeł przyznawał, że najmądrzejszy, najwybrańsze z nich zwróciły się do mnicha z żądaniem znalezienia wyjścia z trudnej sytuacji: karłom przysługuje dostęp do Peterburga, bez nich mieszkańcy stolicy wyzbędą się należytego respektu i tylko patrzeć, jak rokosz rozpleni się w całym cesarstwie.

Poradził im Epifania:

– Nosicie piasek z rzeki na brzeg i tym sposobem pogłębiacie koryto. A gdybyście w tych workach wrzuciły go do wody wpoprzek rzeki, a jeszcze zarzuciły kamieniami, z czasem utworzyłaby się ławica, po której dałoby się przejść w bród koryto.

Karły nie posiadały się z uciechy: wiadomo, że chochoł jest głupi, jak to chochoł, za to chytry – patrzcie no, czego to nie wymyśli!

Zawrzała robota. Więcej niż przez pół roku nosiły pospolite karły worki z piaskiem i kamieniami, aż usypały ławicę. Zimą tłukły lód i trzymały się bez ustanku, by na wiosnę pójść brodem do stolicy, która nie wiedzieć czemu zapomniała o nich i wikt się pogorszył, a na ostatek dostawcy Mienszykowa zgoła przestali odwiedzać wyspę...

Ale bieda biedę goni: rozeszły się słuchy, że car jest ciężko chory – tak to spełniało się przekleństwo Połubotka! – Mien-

szukow zaś pośpiesznie wybiera się do Małorosji, żeby tam zostać hetmanem.

– Co z nami będzie? – utyskiwały karły.

Pod koniec długiej i uciążliwej z racji tych robót zimy uderzył prawdziwy grom. Strażnicy pełniący wartę przy kolonii karłów pewnego dnia zakrzyczeli ze złościwą uciechą:

– Módlcie się! Imperator Wszechrusi Piotr I spoczął w Bogu!

Wieść o śmierci cara jak trąba powietrzna przeleciała nad wyspą i na długo zapędziła do baraków wszystkich lud karli: jak mamy żyć bez opiekuna.

Nikt już nie wychodził do noszenia piasku, przerwano także szkolenie polityczne. Dniami i tygodniami jeno wichur pędził po wyspie zamieć śniegu i piachu, piętrzył brudne zasy wokół pomników wielkiego mistrza Toma, przy których dawno już karły nie pełniły warty honorowej, i do czasu odwilży wiosennych głowy bałwanków z zaśnieżonymi białkami oczu wyzierały z zasp – ślepe, śmieszne i godne politowania.

Z nastaniem nocy wybrane karły wychodziły z baraków, wpatrywały się w okna pałacu Mienszykowa i same nie mogły się połapać, czy wypada cieszyć się bardziej z ciemnych, czy też z oświetlonych szyb. Jeżeli w pałacu było ciemno, mogło to znaczyć, że jaśnie oświecony książę już opuścił Peterburg, a wówczas czeka je śmierć głodowa, skoro nic robić nie umieją – jeśli zaś w oknach się świeci, to ani chybi szanse Mienszykowa po śmierci cara poszły w górę i nie wiadomo jeszcze, jak potraktuje książę carskich ulubieńców.

Niepewność sprawiła, że karły stały się łagodniejsze i bardziej ustępliwe. Gdy nadeszła wiosna, wszystkie gromadnie przyłączyły się do pospolitych karłów, wyraźnie zabiegając o ich względy, przyznawały się, że nie zawsze były wobec nich sprawiedliwe, jeły napomykać, że należałoby odmienić sposób życia w kolonii – dać tym zwykłym więcej wolności; i wszystkie społem nosiły kamienie sypiąc w rzecę poprzeczną ławicę.

Mistrz Jermołaj skasował szkolenie polityczne i z początku

nieśmiało, a później coraz otwarciej ganił tyrana Piotra, który pozbawił ich strzech rodzinnych i przesiedlił na bezludną wyspę narażając na nieuchronną zgubę. Kręgarz ludowy Kawun z rozrzewnieniem mówił o Małorosji, ziemi mlekiem i miodem płynącej, którą imperator obiecał dać we władanie karłom niczym Mojżesz Żydom Kanaan.

Ławica na Newie rosła i Epifani brnąc po kolana docierał nią już do połowy rzeki. Karły pracowały niestrudzenie i nurzając się w wodzie po pachy szły śladem Epifaniego, dźwigając na ramionach worki z piaskiem.

Entuzjazm ich nie miał granic. Jeden tylko Dostojny Karzeł nieufnie obserwował gromadę: począł dostrzegać, że pospólstwu karłów woda sięga jeno do pępka, wybrane zaś zanurzają się niemal z głową. Stwierdził zarazem w popłochu, że w kolonii uległa zakłóceniu równość, cenniejsza nade wszystko: rość jęli pospolitacy, wybrańcy zasię – maleć.

Obawą swoją podzielił się z Jermołajem, który uszykował na brzegu wszystkie karły i przekonał się, że hołubiona w ciągu całego istnienia kolonii karłów idea równości traci swą moc. Rozkazał ludowemu kręgarzowi Kawunowi duchem urządzić seanse terapeutyczne dla wybranych.

Kawun w ciągu dnia przyjął wszystkich wybranych, tłukł ich pięścią po grzbiecie, dawał kuksańca pod siedzenie, ale bez skutku – wybrane karły ani rusz nie chciały rosnąć. Dzień po dniu ponawiał swoje zabiegi, ale pacjenci mimo wszystko maleli, aż zrozpaczony mistrz kazał przywiązać kręgarza-szarlatana do sworznia sterczącego na cebulastej wieży dawnej cerkwi i pozostawić go tam bez chleba i wody.

– Zdychaj! – zawołały wybrane karły powtarzając złotą myśl Kawuna. – Będziemy mieli więcej do jedzenia!

Pospolite karły co dnia podrastały, zrównywać ich wybrańcy nie mieli już możliwości, bo sami stali się całkiem malutcy, za to coraz ściślej zwierali szeregi, umacniając dyscyplinę partyjną i odgryzając się tym, którzy podrośli.

Wyrośnięte uformowały oddzielne kółko i przestały bratać się z wybranymi: co gorętsze ganiły je otwarcie i przezywały karłokratami. Karłokraci prowadzili co dnia potajemne narady, szykując się do otwartej batalii z wyrośniętymi. Nadto usiłowały skłonić na swoją stronę przeciwników i z jednym im się to udało: był to niegdysiejszy sędzia seciny w Konotopie Koczerha, który dawno temu zlipił biorąc łapówki. Teraz zasię jął rosnać, wszakże nadążyć za wyrośniętymi nie zdołał i z tej racji wypowiedział im nieubłaganą wojnę. Zląkł się Jermołaj, że Koczerha chce tym sposobem zarobić na popularność wśród wybrańców i zepchnąć go ze stołka mistrza; pewnej nocy ni to ni owy Koczerha znikł, rozeszła się fama, że utopiono go w Newie...

Cicha walka między obozami trwała czas jakiś, aż wreszcie wylazło szydło z worka. Stało się coś takiego, co nie mieściło się w głowie wybranym karłom: rankiem nie ujrzano na wyspie ani jednego wizerunku wielkiego mistrza Toma. Wszystkie posągi zostały obalone i leżały na ziemi w prochu i pyle.

Zgiełk nie z tej ziemi wszczął się w gronie wybrańców.

– Dokonano aktu wandalizmu! – krzyczał Jermołaj i policzki mu nabrzmiały jak u małego goryla. – Sprofanowano zabytki sztuki i historii!

– Czemuż to niby historii? – odpowiadały wyrośnięte i śmiały się do rozpuku: – Kładłyście nam w głowy, że przed wami nie było nic na świecie.

– Był Tom – najbardziej ludzki z ludzi! – zapiszczał Oprycznik ocierając łzy. – On jeden nam pozostał! Piotr to tyran, Mienszykow złodziej i każdego co po nich przyszedł sami chętnie osmarujemy, jedynie wielki mistrz był nieomylny i święty. On zastępował nam Boga i bez niego jesteśmy niczym!

– Wasz Tom też był niezgorszy! – odpowiadały wyrośnięte. – Kto skazywał na śmierć niewinne karliczki? A ile potem karłów zginęło za jedno słowo „piruet”! Nic na to nie powiecie?

– Co za bluźnierstwo! – rozkładał ręce Dostojny Karzeł.



– Targnęłyście się na święte świętych. Kto obala pomniki mistrza Toma, tego niech Bóg pokarze!

– Aleście Go dotąd nie wspominały, zali już śmierć wam w oczy zajrzała, że się modlicie? – spytała wysoka blada kobieta. Była to żona generalnego esauła Hamaliji.

– Wszystkie, wszystkie zrównać! – wściekał się Kałmuk i wypluwał z ust czarną pianę.

– Ba, już za późno – wyjęczał Kawun siedząc na cebulastej kopule bez chleba i wody. – Gdybyśmy wiedziały, że takie są skore do rośnięcia! To byśmy je wszystkie... A teraz już za późno. Zginęłyśmy, widzę to z mojej wysokości. Gdzież te horyzonty Raju Przyszłości, o których nam tyle truli na szkoleniu politycznym? Nic na nich nie widać – gołe pustkowie... O biada, biada! My, karły, zawsześmy marzyły o jasnym jutrze, a o własnej przyszłości nie pomyślałyśmy ani razu... I wyseplenił konając: – Nażryjcie się tego chleba, któregoście mi nie dały: ja głoduję, a wy macie więcej do jedzenia... O studni bez dna, nas nakarmić się nie da, nas wytruć trzeba jak pchły!

Bez swoich bałwanów karły zrobiły się całkiem bezradne. Równocześnie utraciły swoje poczucie władzy i stały się luźną hałastrą. Zdemoralizowana partia wybranych karłów ruszyła tłumnie do składu, gdzie przechowywano zapasy żywności, które dotąd przezornie rozdzielał Jermołaj wedle zasady – od każdego wedle możliwości, każdemu według pracy; teraz ta zasada uległa pogwałceniu, każdy rzucał się na dawnego przyjaciela z partii wybranych i dobierał mu się zębami do gardła.

Nie utracił kontenansu jedynie Dostojny Karzeł. Poroztrącał rozbestwione kurduple i zakomenderował:

– Zbiórka w szeregu! Utrata dyscypliny partyjnej to śmierć nasza! Obalono nam pomniki Toma, ale my namalujemy jego podobiznę i wyruszymy z nią w świetlaną przyszłość!

Karły się opamiętały. W mig rozebrały opróżnione pomieszczenia składu, węglem namalowały na deskach podobiznę wielkiego mistrza Toma, dźwignęły deski ponad głowami i zakrzyczały:

– Wychodzimy z okopów! Nauka Toma jest nieśmiertelna! Z imieniem Toma pokonamy wszystkich wrogów – na ziemi, w niebiosach i na morzu!

Tymczasem wyrosnięte udały się tłumnie nad Nową i poszły brodem.

– Naprzód! – zawołał Jermołaj. Wdrapał się na ramiona Epifaniego i wyszeptał mu na ucho: – Okaż się przyjacielem, przewieź po raz ostatni...

Ruszyła kolumna wybranych karłów. Przodem szedł Epifani niosąc na barana Jermołaja, a za nim z ostateczną wiarą w świetlaną przyszłość dreptały liliputy i było ich nie mniej niż dwie setki. Trzymały w rękach deski z wizerunkiem Toma, na brzegu odśpiewały chórem: „Żaden nas łąd ni morze nie powstrzyma” i mężnie zstąpiły do wody wymacując piętą grunt na usypanej ławicy. Brnęły z początku po kolana, później po szyję, później...

Docierając do drugiego brzegu Epifani obejrzał się wreszcie i odetchnął z ulgą. Stało się to, co przewidział: Nową, w stronę pałacu Mienszykowa płynęły czyste deski kołysząc się na fali.

Epifani zrzucił z ramion Jermołaja i podniósł go za kołnierz kaftana do oczu.

– Co mam z tobą począć? – zapytał.

– Puść mnie – zadrobił tamten nogami w powietrzu. – Nie jestem żadnym mistrzem, jeno stangretem jego ekscelencji księcia Mienszykowa. Jako osoba należąca do państwa nie mam nic wspólnego z tą hołotką, która maszeruje teraz po dnie Nowy do Zatoki Fińskiej. Jeżeli mnie zabijesz – odpowiesz przed prawem.

Gdy Epifani opuścił go na ziemię, karzeł co tchu pobiegł do pałacu Mienszykowa. Przystanął przed kutą bramą i zawołał:

– Ty ze mną nie żartuj: kto powiezie Mienszykowa na Syberię, gdy zajdzie potrzeba?

Ludzie, którzy wyrosli z karlej postaci, ostro skręcili od brzegów Nowy na południe. Poprowadziła ich na Ukrainę żona esauła generalnego Hamaliji. Śladem ich ruszył Epifani.

Przeszedł mu drogę Siwy Kozak z oczyma pałającymi gniewem i godnością.

– Idziesz na Ukrainę?

– Tak. Czas wracać na ziemię ojczystą w zbożnym celu. Wytraciłem karły.

– Toś uporał się ze skutkiem, a nie z przyczyną – rzekł Kozak.

– Przyczyna żyje, sił ma jeszcze dość i napłodzi liliputów więcej niż było ich dotąd.

– Ale tych już nie ma!

– W ciągu swego życia zdążyły zamieszkać w ludzkich duszach.

– Wytrawi się ich. Ci tutaj z karłów wyrosli i nie ma w ich duszach ordy – Epifani ukazał gromadę, którą wiodła żona Hamaliji.

– Dość ich... – splunął Siwy Kozak. Ale z ordą w duszach – miliony! Chodźmy, ojcze, wniećmy na Ukrainie powstanie i wytraćmy wszystkich zarażonych!

– Szaleńcze! Trzeba by zabić ciebie pierwszego, bo przelejesz wiele krwi niewinnej... Ludzi trzeba leczyć, oczyszczać z brudu przedsiónek Świątyni.

# DROGA DO ŚWIĄTYNI

## Rozdział czternasty

Rozmaita się Ukraina dojrzałą wiosną. Bory sosnowe Czernihowszczyzny odmłodziły w pąkach igliwia lepkiego od żywicy, kryjąc przed niebem tajemnicę swojego świata, której Bóg jeden jest świadom, a wszystko co się rodzi, rozkwita i umiera pod kopułą zielonej świątyni, przystoi Naturze: nie ma tu nic zbytecznego, dość jest wszystkiego, by zapanowała harmonia, i każdy liść, każde ziele, owad, ptak i zwierzyzna żyją w zgodzie ze Stwórcą, nikt nikomu nie wadzi i śmierć ma swój cel podobnie jak narodziny.

Dał Bóg człowiekowi wzór życia doczesnego na ziemi – dookołą Przyrodę, oddzielił ją od człowieka, postawił obok, uniemożliwił roztopienie się w niej – ludzkiej niedoskonałości pozostawił do podziwiania, przykładu, nauki i naśladowania doskonałość swego stworzenia. I dziwi się pewnie Pan Bóg, gdzie i kiedy się pomylił On, nieomylny, dopuszczając do tego, że istota obdarzona rozumem, korona Jego stworzenia, nie słyszy i nie odczuwa harmonii Natury, niszczy ją bezlitośnie, jako też siebie samą zarówno myślą jak i uczynkiem, kłamstwem i obłudą, nienawiścią i zazdrością, żądzą władzy i okrucieństwem – przymiotami obcymi świątyni Natury, depce i niweczy jej doskonałość.

Gdzież skryła się Jego pomyłka?

Granica między Moskwą a Ukrainą znaczone była sznurem, kolia zarośli kaliny, zapóźnionych w białym kwieciu, co oddzielały smętne brzozowe gaje od potężnych borów sosnowych i przypominały wędrowcowi, że wchodzi do kraju – nie piękniejszego i nie brzydszego, lecz innego, i że nic nie stoi na przeszkodzie ich

sąsiedzkiemu misterium, czemuż nastąpił ów straszny, pełen krwi i łez dopust Boski?

Zali nie docieka, ni śledzi Stwórca niedoskonałości ludzkiej, ustawivszy ją obok doskonałości Natury?

Epifani wkraczał do boru niczym do Bożej świątyni. Nakładał na siebie białą albę, stułę, obwiązywał się pasem i narzucał na ramiona ornat – telonion: gotów był do wiekuistego powtórzenia wielkiego dzieła miłości Chrystusowej – odprawienia Bożej Liturgii.

Przez długie lata tułaczki na dnie apokaliptycznej otchłani, do której wszedł z własnej woli, by ją zbadać – i wyrwał się z niej mocą ducha – po raz pierwszy poczuł się kapłanem, gotowym do zjednoczenia z Bogiem, zdolnym do zanurzenia się w tajemnicy wieczności, wobec której takie żalosne zdały mu się uroszczenia możnych tego świata.

– W świętym przybytku tym z wiarą, nabożnością i bojaźnią Bożą pomódlmy się do Pana! – zabrzmiało uroczyście Słowo Boże w półmroku świątyni Natury, odpowiedziało mu echo i wróciło do uszu Epifaniego chóralnym śpiewem.

– Panie, zmiłuj się nad nami! – odpowiedział bór i Epifani poszedł w stronę głosu.

Długo szedł odprawiając po drodze liturgię i odpowiadał mu bór na antyfony i ektenie. Szedł podniesiony na duchu i wywyższony, wszystkim świat modlił się do Pana, lud wznosił w górę serca, rozdzwaniał się kosmos stugłosą modlitwą i dziwił się Epifani, że ludzkość, która ułożyła taką pieśń, może dopuszczać się zła.

Wreszcie wyszedł Epifani na polanę przeciętą wstęgą strumyka, który obmywał głaz ofiarny otoczony ludzką gromadą, z góry zaś padał nań snop światła słonecznego.

– Podejdz do nas ojczy – rzekł siwobrody starzec – i razem pomodlimy się do Dadźboga, który dał nam światło i ciepło.

– Modlicie się do pogańskiego boga? – zdumiał się Epifani.  
– Przecież Bóg jest jedyny, Pan Zastępów, i pełne są Go niebo i ziemia.

Starzec nie zwracał uwagi na słowa Epifaniego: gromada ludzi – młodych i starych, kobiet i mężczyzn – wzniosła ręce do góry i prostymi, zrozumiałymi słowami dziękowała słońcu za chleb, wodę, mleko, miód, za radość oczyszczenia pod promieniami ognia niebieskiego.

Modlił się wraz z ludźmi również Epifani, bo nie była ta pogańska modlitwa przeciwna nauce Chrystusa, i mimo wszystko dziwił się mnich, że z zamierzchłej przeszłości do dnia dzisiejszego dotrwały obrzędy pogańskie.

– Czyżbyś był żercą? – zapytał Epifani Starca.

– Tak, żyję już tysiąc lat i wiem, że nasz czas rozpoczął się o wiele wcześniej od chrztu w Poczajnie. Jesteśmy wieczni i musimy odnowić wieczną wiarę Rusyczów w tym niepomysłnym czasie. Jeno własna wiara, nie przyniesiona przez obcych zdoła zachować nas przy życiu.

– Czcigodny starcze... – Epifani pokłonił się do pasa żercy przeczuwając, że w rozmowie z nim zdoła rozproszyć swoje wątpliwości co do omylności czy nieomylności Pańskiej, które mu się zakradły do serca, gdy wkroczył do świątyni Natury. – Nigdy człowieczeństwo w rozwoju nie zwracało do swoich źródeł, by od nich zaczynać wędrówkę na nowo, bo tym sposobem nie posunęłoby się ani o piędź do przodu: ucząc się duchowo winniśmy teraz doskonalić się w prawdziwej wierze, a nie powracać do jej dzieciństwa – pogaństwa.

– Zali możliwe jest, synu – odparł żerca spokojnie, – by pacholę, które dopiero co przekroczyło próg fary\*, od razu wniknęło w arkana poetyki i retoryki? Przodkom waszym nie dano krok za krokiem rozszerzać swego świata duchowego, narzucono im sprzeczną z ich naturą obcą religię, którą z czasem przyjęli nie czuciem i rozeznaniem, jeno na wiarę, Stąd naród nasz pozostał bez swojego Boga. Jako że nie można przyjąć wyższego szczebla Ducha nie osiągnąwszy niższego. Nadto zważyć wypada, czy

---

\*Pierwsza kląsa w kolegium

szczelbel pogaństwa jest niższy. Usiądźmy przed głazem ofiarnym i wyteżmy nasze zmysły w kierunku poznania.

Żerca obłóczony był w długą błękitną tunikę, jaką nosili niegdyś pierwsi kapłani żydowscy, podkreślał tym starożytność swojego obrządku: usiadł na występie ofiarnego głazu, twarzą do gromady, pogładził siwą brodę, ściągnął krzaczaste brwi i długo wpatrywał się w Epifaniego, jak gdyby go poznawał. Rzekł wreszcie:

– Wyczułem twoje myśli i rozterki, jenoś tu wkroczył, do Świątyni Natury. Mam bowiem czucie, które nie rozwinęło się u was, moje dziatki. Sabaoth przymusza was do ślepej wiary weń, nie odsłania przed ludźmi swoich tajemnic. Co więcej – srodze karze tych, którzy się zbliżą do tajemnicy. Sabaoth lęka się własnego stworzenia: gdy spostrzegł, że człowiek zechce stanąć na równi z Nim, poprzez węża namówił prarodziców do grzechu by później nabyć prawo do karania ich i pozbawiania mocy; nałożył na ludzi piętno, by wojowali ze sobą i rozum tracili. Sabaoth, lękając się ludzkiej jedności, pomieszał języki w Babilonie... Wasz Bóg wybiera sobie narody, które ma wypróbować i nie żałuje ich, bo jest im obcy. Czy w rzymskim, czy w greckim, czy w moskiewskim odzieniu przychodzi do nich – tak czy owak jest im obcy. Jesteście dlań niczym pszczoły w barci: zechce – to pozostawi wam miód, a jak zechce, to odbierze. Jeżeli zechce – Abraham zabije syna, a jak nie – Izaak pozostanie przy życiu. Trędem wypróbowuje Hioba – azali prorok Jego nie zbluźni? Przeto, by zachować w sobie dar prorocki, musi kajać się za to, czego nie uczynił. Po co? Po to, byśmy byli zniewoleni, bo jeno wolny człowiek przybliżyć się zdoła swoim rozumem do Boga... Stąd też nie wiecie tego, co wiem ja, stary poganin. Rozum wasz przyćmiony jest wonią kadzidła, którym wy, trędowaci, tłumicie smród waszych wrzodów. Sami się stale oszukujecie... A nasz Dadźbóg jest dobry. Kocha nas jako swoje dzieci, bo jest tutejszy, naddnieprowy, my zasię stapiamy się z nim jak z Naturą i poznajemy go w Naturze. Nasi wróżbici, czarodzieje i guślarze umieją rozmawiać z istotami nieziemskimi,

dusze swe posyłają do nich w gości. Co więcej – rozumiemy język drzew, traw, ptaków i zwierząt, stąd też w zgodzie z nimi żyjemy: z daleka wyczuwamy radość ludzką i skargi. W momencie, gdyś wkroczył do świątyni Prawdy, odgadłem twoje wątplenia i przywołałem ciebie. Twój Bóg zamyka przed tobą drzwi poznania pytając: „Azaś wszedł do głębokości morskich i widziałeś drzwi ciemne?”. Mój zaś rzecze: „Wejdz i poznaj”.

Epifani z uwagą wysłuchał słów żercy i rzekł:

– Nieobce mi są prawdy twojej wiary, bom i ja się urodził tam gdzie ty. Ale za późno jest wskrzeszać ukraińskiego Boga – lud go nie przyjmie. Albo – co gorsze – rozłam nastąpi. Czyż nie lepiej ubrać w rodzime szaty Jezusa i Maryję Dziewicę? Ludzkość nie może dzisiaj obejść się bez Jezusa, który za nią oddał swe życie stając się pierwszym męczennikiem. Syn Boży, który wyszedł z gminy żydowskiej, począł jednać narody, stał się symbolem porozumienia między koronowanymi głowami – i w tym ich moc. Gdy zaś Żydzi zabrali Jahwe wyłącznie dla siebie i zamknęli się w swej społeczności, wnet utracili poprzednie znaczenie w świecie... Czy zdołamy żyć na uboczu od świata, czy przeżyjemy sami – bez doświadczenia sąsiadów? Zjednoczyliście się z Naturą, zniżając się do niej i nie wywyższyliście jej swoim duchem. Po cóż tedy Stwórca dał nam ducha? Po to byśmy naśladowali ślepe moce Natury, czy żebyśmy je uduchowali? Gdzie jest wasza Świątynia, by się w niej oczyścić? Głaz, na którym składacie ofiary, dziękując słońcu za życie przysługujące także zwierzętom? Ale człek to nie zwierzę, co nie myśli, stąd nawet grzeszyć niezdolne, człowiek musi zdawać sobie sprawę ze swych czynów. Chcecie upodobnić się do Boga, lecz upodobniacie się do niesplamionego zwierzęcia, które nie zmądrzeje ani za tysiąc, ani za milion lat. Człowiek nie tylko buduje i nie tylko burzy, lecz także odnajduje samego siebie. Budują również mrówki, bitwy staczają też małpy, lecz żadna z istot żyjących poza człowiekiem nie wystawi się na śmierć w imię prawdy. Jedynie człowiek oświecony pokorą może dać życie za przekonania. Dobry Bóg Natury opiekuje się zwierzętami, ale



chrześcijański – ludźmi. Darowuje im Świątynię. I gdybyśmy uciekli teraz w głąb lasu do swego Dadźboga, świat by obszedł się bez nas. Czyż może naród żyć jeno dla siebie?

Żerca zmarszczył brwi i widać było, że gniew w nim wzbiera.

– A czyż nie za długo naród żyje dla innych? – zapytał. – Czy nie czas poczuć swoją odrębność? Wyście ulegli waszemu Bogu, który zabronił wam brać miecz do ręki, i ogarnęła was niemoc. Czekać na mannę z nieba, boście gnuśni, boście nie pokusili się nigdy, by dorównać Bogu.

– A wy chcecie zostać bogami?

– A cóż w tym dziwnego: czyż Bóg nie żyje w człowieku? Trzeba jeno odnaleźć Go w sobie. Ty dzisiaj zaśpiewałeś w świątyni Natury chwałę Panu słowami świętego Jana Chryzostoma. Dlaczego nie zdobędziesz się na własną modlitwę? Bo zmarniał w tobie Bóg Ukrainy. Czemużeś, kronikarzu swojego miejsca w dziejach, nie wygłosił dotąd modlitwy, co by uchroniła twój naród przed duchowym najazdem? Bo ty szukasz jeno swojego Boga. Poznaj Go wreszcie! Nie ma Boga dla wszystkich. Żydzi mają Jahwe – mądrego i surowego. Lachy w swoich domach zawłaszczyły katolicką Maryję Pannę i posługują się Jej imieniem na użytek szlachty. Moskwa omotała prawosławie imperatorskimi łańcuchami i stworzyła sobie Boga na podobieństwo bojarzyna – pewnego siebie i nie uznającego obcoplemieńców. Jeno Ukraina kłania się obcym bogom – greckim, rzymskim, polskim i moskiewskim. I modli się do nich w obcym języku. Jak niegdyś Żydzi, poddawszy się greckim Ptolomeuszom. Jednakże wskrzesił ich do bytu narodowego szczyt krzywdy – zburzenie Świątyni Jerozolimskiej. Czyż mało nam Baturyna? A może chcesz utrzymywać chwiejną równowagę pomiędzy cnotą i niecnotą, dobrem i złem i uspokajać się werselem z Biblii: „Cóż jest, co było? toż, co potem będzie. Cóż jest, co się stało? Toż, co się stanie. Nic nie masz nowego pod słońcem?”

– Starcze czcigodny – surowo przerwał mu Epifani. – skrzywdziłeś mnie, com przeżył i niosę w swych oczach płomień

ukraińskiego Har-Magedonu. Bliskie mi jest wszystko, co rodzime, i gotów jestem głowę położyć za mój naród, za jego obyczaje. Zali myślisz, że nieznane mi są pogańskie wierzenia Ukrainy? Że na Boże Narodzenie słońce wchodzi do gwiazdozbioru Peruna i rodzi się na nowo niczym niemowlę. Że na Święto Jordanu słońce wychodzi z gwiazdozbioru, a wówczas rodzi się woda. Że barwa słońca jest żółta, wody zaś błękitna, i że to nasze święte kolory... Ale nie budujmy dziś ołtarzy swojemu Baalowi, oddajmy Bogu co boskie i nie czynmy się sami bogami, bo wyzbędziemy się tego, co należy jedynie do człowieka – niespokojnego sumienia. Bogu go nie potrzeba, Jego jest mądrość. My zaś, gdy zostaniemy ziemskimi bogami bez sumienia, wówczas przeobrazimy się w duchowe karty, bo absolutnej mądrości człek nie posiedzie. Wówczas każdy bożek podyktuje swoje prawidła czci, które staną się bezecne. Nie burzmy Świątyni Jezusa – już za późno! Miast Niej zbudować możemy dziś jeno więzienia. Burząc Jego świątynię zburzymy bojaźń Bożą i damy wolność nieprawym. Dobrem a nie złem dźwigajmy ludzki sposób życia Dobro zaś zrodzić się może jeno w świątyni chrześcijańskiej, co wzniosła się ponad wszystkie narody. W kościele chrześcijańskim mamy swój wizerunek Boga i jest on nasz na wieki. Znajdźmy swój ołtarz w tym kościele.

Słońce rzucało snop światła na niepokrytą głowę żercy, tunika z błękitnej stawała się białą – żerca przeobraził się w Dadźboga i skamieniał. Gromada pokłoniła się przed nim i odeszła.

Dadźbóg zwrócił się do Epifaniego:

„Niesiesz w sobie Słowo – Logos. A Słowo stanie się Sprawą i pozostanie między nami. Naród czeka na twoje Słowo – i niech będzie ono sprawiedliwe. Jedno pouczenie dam ci na drogę i jeśli je przenikniesz, zdołasz powrócić do mnie. Gdy zaś ujrzysz możliwość wcielenia go w kościele chrześcijańskim – nie wracaj. Tak czy owak postąpisz sprawiedliwie... Pamiętaj, że Ukraina stanie się wolna wówczas dopiero, gdy wiara jej będzie uniezależniona i wcieli w siebie cechy naszej natury, naszego ducha. Wielki naród

nie może być naśladowcą obcych wier i obrzędów, musi mieć własny odrębny pion życia duchowego. W cerkwi moskiewskiej, panującej dziś na Ukrainie, nie ma religii – są jeno złoza przyniewolenia i niweczenia języka i zwyczaju. Nasza duchowa stolica nie może być w Rzymie ani w Carogrodzie, ani w Moskwie – jeno w Kijowie. Idź tam i stań nad Dnieprem przed Ławrą Peczerską, gdzie ongiś, w zamierzchłej przeszłości stał Dadźbóg z trojeścią w ręku. Wtedy to Rusycze-Ukraińcy mówili z dumą: „Jesteśmy wnukami Dadźboga i od boga swój ród wywodzimy”. Skoro zaś nie zdołasz powiedzieć tego w swojej świątyni – wracaj do mnie na zawsze”.

Epifani pokłonił się do stóp kamiennemu Dadźbogowi i ruszył w głąb boru wsłuchując się w jego skupioną ciszę – tak bardzo współbrzmiającą z uciszeniem własnej duszy. Ogarnęła go ufność: podźwignie Świątynię, w której Zbawiciel ludzkości, który wyszedł z Nazaretu, pobłogosławi ducha Dadźboga, na zawsze zamieszkałego wśród ukraińskich świętości. Tę dobrą nowinę – swój euangelion – poniesie na Ukrainę.

Brnął poprzez bory Czernihowa nad cichą Desnę, poprzez zielone łąki i pola w kożuchu ozimin – do Kijowa – i wchłaniał każdą komórką ciała, każdym fibrem duszy harmonię ukraińskiej Natury i znowuż myślał o zgubnych uczynkach ludzi burzących tę harmonię.

Kiedyż to jednak omylił się Pan, że dopuścił do udziału w swoim stworzeniu niszczycielskie moce człowieka? Czy wówczas, gdy zasłonił przed nim Boże tajemnice i rozgniewany jego postępkami pozostawił mu niskie popędy? Czy kiedy dał rozdrapać swoją Świątynię pomiędzy możnych tego świata, aż uczynili z niej jaskinię zbójców? A może wówczas, gdy kazał poganom wyrzekać się swoich bogów i bez namysłu przyjmować obcych?

Czy możesz naprawić swoją pomyłkę, Boże Wszechmogący?

## Rozdział piętnasty

Poprzez zagaje i dróżki między polami podążał Epifani do Traktu Niżyńskiego. Myśli jego już polatywały nad Bramą Peczerską w Kijowie, przenikały mury Ławry, gdzie po przybyciu wybierze sobie najwspanialszą Świątynię i ogłosi w niej wiernym swoją prawdę poznaną na drogach świata i przecierpianą w duchu. Będą to słowa o zjednoczeniu tego co ziemskie i Boskie w strzeżonym przybytku, o wskrzeszeniu pradawnych zwyczajów pod znakiem Chrystusa jednorodzonego, o wieczności ludu ukraińskiego w krainie nad Dnieprem i o jedności prawa jakie on wypracował – z odwiecznym prawem Bożym. Będzie to opowieść o ziemskim układzeniu narodu ukraińskiego na fundamencie konstytucji hetmana Orlika i prawd wiary chrześcijańskiej.

„Idę do ludzi ze swoim Słowem, bo tak mnie Bóg obarczył. Wiem, że za to czeka mnie los apostołów. Jam zwyczajny człowiek, któremu nieobcy jest lęk o własne życie, widziałem to co gorsze od śmierci – znikczemnienie człowieka, przeto wybieram śmierć. Wierzę w słuszność obranej drogi na tyle, że nawet nie będąc bohaterem idę na spotkanie niebezpieczeństwa z oczyma zamkniętymi z obawy. To wiara silniejsza jest od lęku. Miast miecza niosę ludziom Słowo. Miecz stał się zbyt ciężki dla rąk osłabłych, a duch umacnia się Słowem.

Ukraina poczęła w swym łonie Mesjasza, który męczeńską śmiercią obali Trzeci Rzym. Nie bojownika, lecz pieśniarza, który z naszych słów, naszych zapisów, kronik, pieśni przejmie dziedzictwo pokoleń i zamknie je w Księdze Rodzaju ludu ukraińskiego. Ona to ukształtuje polityków i wodzów.

Jestem jednym z jego zwiastunów i będzie nas legion. Jesteśmy kapłanami niosącymi Dobrą Nowinę.

A ci dziejopisowie dzisiejsi, co jeszcze służą nosicielom władzy i wychwalają ich, łudzac się daremnie, że później ktoś w ich kłamliwych pisaniach powybiera między wierszami okruchy prawdy, podobni są uczonym w Piśmie – saduceuszom, co zwali się

synami narodu żydowskiego, w istocie zaś podtrzymywali namiestników rzymskich i bili przed nimi czołem.

Bądźmyż prawdziwymi prorokami nadchodzącego Mesjasza. Niech więcj nie wyfrunie z ust naszych żadne słowo pochlebstwa dla obcych namiestników i własnych odstępców, ani tych co sprzedają Chrystusa, bo później, przed śmiercią, smagać będą naszymi słowami nas samych, szycząc: „Wszakżeście nas chwalili, czemuż teraz potępiacie, kiedyż to mówiliście prawdę?”

Zstępujemy do długiej niewoli i każdy nasz postępek, każde drgnienie duszy musi być skrupulatnie odważone, bo naśladować nas będą słabsi, możniejsi zaś powynajdują uchybienia, by nas zniesławić. Jedną duszę mamy, nie dwie, inaczej rozdzieli się dusza ludu – biała zetli się ze zgryzoty, a czarna pozostanie.

By nie utracić pamięci, przenieśmy poprzez niewolę jak Żydzi pamiątkę o wyjściu z niewoli egipskiej. Uchronimy się przez potajemne świętowanie ukraińskiej Wielkanocy – wymarszu Hetmana przeciw Antychrystowi: w myślach i otwarciu pokłonimy się ofiarom Baturyna i trumnie Mazepy. Bo kto pamięć straci, cudzoziemcem jest na swojej ziemi i wrogiem własnego narodu.

Kim dziś jesteśmy? Jeńcami Moskwy na ziemi ojczystej. Stań się prorokiem w niewoli moskiewskiej jak Ezechiel w babilońskiej! To on oglądał naigranie się ze świątyni w Jerozolimie, jak ty z Baturyna. I rzekł prorok: „Jahwe mi przekazał spis grzechów ludu, za które „trzecia część ciebie morem pomrze i głodem wyginie w pośrodku ciebie, a trzecia część od miecza poleże około ciebie, a trzecią część twoją na wszelki wiatr rozproszę, a miecza dobędę za nimi”\*. Czyż nie taki sam los spotkał twój naród, który ginie za grzechy ojców i swoje własne?

Pociesz też lud cierpiący, jak to czynił Ezechiel, jeszcze nim nadejdzie Mesjasz. Bo lud płacze i nie masz pocieszyciela, i lży obmywają jego pamięć. I rzeknij: „I rozmnożę w was pocieszycie-

---

\*Ez 5,12 (tłum.)

la, i lzy obmywają jego pamięć”. I rzeknij: „I rozmnożę w was ludzie i wszystek dom Izraelski, i będą mieszkać w mieściech, a miejsca obalone naprawione będą”\*.

Boże, wysłuchaj mojego psalmu!”

Epifani szedł Traktem Niżyńskim do Kijowa i myślał o Baturynie. Jaki jest obecnie, co tam zostało, czy mieszka tam bodaj żywa dusza, czy stoi tam jeszcze pałac Koczubeja, czy rozsypały się już gruzi na Mazepowej Honczariwce, czy znalazłby Epifani ową wysepkę, na której pośród jeziora krwi stał obok pułkownika Nosa, przejęty sromotnym i dotąd nie wybaczonego lękiem?

Ktoś szedł za Epifanem, jak gdyby go dopędzał. Obejrzał się i nie zdziwił się zgoła, widząc Siwego Kozaka z oczyma płonącymi zawziętością i godnością, jak gdyby był to jego sobowtór czy też przeciwieństwo.

– Prostuduszny jesteś ojczy – rzekł Kozak idąc obok mnicha.  
– Marzysz o pokoju już wtedy, gdy wojna jeszcze się nie zaczęła. Pokój zaś przychodzi po walce. Gdzieś ty widział, żeby zdobywca dobrowolnie ofiarował podbitym wolność? Ofiarowana zaś też jest niewolą, tyle że posypaną dworskim pudrem. Marzenia o uzyskaniu wolności bez krwi są marzeniami niewolników... Chcesz, to opowiem ci przypowieść. Kiedyś Kozak i Moskal znaleźli bochenek chleba i mówi Moskal: „Podzielmy się po bratersku”. Kozak na to: „Lepiej po równu”. Tak to. Musimy najpierw rozdzielić się z Moskalem, wziąć każdy co mu się należy, a potem może i zostaniemy dobrymi sąsiadami... Czekasz na Mesjasza i sam gotów jesteś zostać jego prorokiem. Możliwe, że takie czekanie się przyda – przynosi otuchę tym, co już stracili nadzieję. Ale Mesjasz to marzenie słabych, co uspokaja lud wtedy, gdy powinien walczyć. W czasie powstania Żydów przeciw Rzymianom w roku 132 pod dowództwem Bar Kochby chrześcijanie nie poparli buntowników, oczekiwali bowiem paruzji. A może Bar Kochba był Mesjaszem – któż to może wiedzieć?

---

\*Ez 36,10 (tłum.)

– Znowuż ci wojna w głowie – rzekł Epifani. – A przypomnij sobie dzieje Rzymu, boś ty, jak widzę, piśmienny. Kim było Imperium Rzymskie przed Chrystusem? Panem świata! A jakim szalbierstwem zagarnęło świat! Nieprześcigniony w swojej drapieżności Rzym miał się za potęgę wybraną przez bogów do niesienia cywilizacji barbarzyńcom. Wszystkie siły swe tracił na zaokrąglenie swoich posiadłości, ale nigdy nie zdołał uporządkować własnego gospodarstwa i wśród tej potęgi Rzymianin pozostawał niewolnikiem. Jednakże głosił się wyzwolicielem świata i własną przyziemność stawiał za wzór wykształcenijszym od siebie narodom... I tak to lud rzymski, zaczadzony fałszywym mesjanizmem, wyzuł ludy sąsiednie z ich swobód, uczynił je podobnymi sobie – równie ubogimi i potulnymi... Zdawało się światu, że nikt i nic nie obali Rzymu. Jednakże przyszli uczniowie Jezusa – chrześcijanie i przez nie wiele dziesiątków lat dali radę mesjanizmowi i potędze Pierwszego Rzymu. Z czasem po imperium nie został nawet kamień na kamieniu... Czym zaś różni się Trzeci Rzym od Pierwszego? Ano niczym: podobne są jak bliźniaki, bo oba się rządzą prawidłami imperium. Nowy Mesjasz obali również i ten Trzeci, nazwie nasz dom domem modlitwy i oczyści go od zbójców.

– A czy pamiętasz – zapytał Kozak, – co odpowiedział po swoim zmartwychwstaniu Jezus do Piotra, gdy spotkał go za bramami Rzymu, na via Appia, i apostoł zapytał Nauczyciela: „Quo vadis, Domine?” – „Idę do Rzymu – odpowiedział Jezus, – żeby tam znów zostać ukrzyżowany”. Nie dość, jak widzisz, dla wolności jednej ofiary Mesjasza. Wielu musi ponieść krzyż... I wówczas Piotr sam poszedł na męczeństwo. A tyś gotów, świętoszku i bojaźliwczu?

– Przyjdzie mój czas i nie cofnę się przed swoim udziałem. Kiedy mnie spotka, już nie zawrócę z drogi. A teraz robię co umiem: niosę narodowi Słowo – dzieje jego niewoli, by przeniósł przez lata niewoli pamięć swojej Paschy: marsz Mazepy z Baturyna za Desnę na spotkanie Karola.

– A nuż jeszcze spotkamy się, ojczce – rzekł Siwy Kozak pozostawiając Epifaniego na skrzyżowaniu traktów Niżyńskiego i Głuchowskiego. – Moja droga jest prosta, twoja zawiła, ale się przecinają, jak widzisz. Nie winię cię za to, że szukasz pokoju i zgody nawet z wrogami. Krew łać się może do czasu. Ale kiedy zapragniesz, by ten pokój nastał w ojczyźnie pod proporcem kozackim z dwugłowym orłem na płótnie, to ja, na pał nadziany, przeklnę cię... Ja lud idę podburzać, ty wznos Świątynię – tak jeno zdołamy wybić się na wolność.

W lewo pobiegła droga na Głuchów, w prawo – na Kijów, a naprzeciw, za pustkowieciem zarośniętym pokrzywą i ostem, stygło w milczeniu czarne widmo Baturyna. Wszystko pozostało takie samo jak w owym dniu: siwe pogorzeliska i kadłuby kominów, wysadzone prochami wały na Honczariwce, szkielet zaś pałacu hetmańskiego z czarnymi oczodołami okien wyłaniał się z otoczenia na postrach dla wszystkiego co żyje.

Jeno kwitnące jabłonie w osamotniałych nie strzeżonych sadach świadczyły, że ziemia nie zatrąła się trupim jadem i kiedyś żyć tu będą ludzie bodaj po to, by nazwa dawnej stolicy hetmańskiej brzmieniem swym przywoływała w pokoleniach jutrzejszych dawną chlubę i wstyd, dumę i ból Ukrainy.

Baturyn...

Pośród pogorzelisk i gruzów pyszni się w gęstym sadzie pałac Koczubeja – symbol zmagania dobra ze złem. Stąd wyszły na Ukrainę dwie przeciwstawne siły w osobach wiernego ucznia generalnego donosiciela Koczubeja – pułkownika Nosa i jasnowłosej córki hetmańskiego sędziego – Łabędzicy Motri. Która z nich przemoże?

Pomiędzy zrujnowanymi murami Honczariwki, na placu lśniącym niczym miedziak w słońcu – stał przecie Epifani obok Nosa i Mienszykowa, nie miał i wpadał w niepamięć o tym, jak ginie nowy Har-Magedon, i umierał w niesławie, by później narodzić się od nowa – dla odkupienia.



W dali, za błękitną wstęgą Sejmu – prosty niczym napięty sznur mierniczy Trakt Głuchowski, i gdzieś przy nim utaiła się wieś, w której po raz pierwszy przeniknął do świadomości ludzi grzech jego, Epifaniego...

Niesamowita cisza trwa nad umarłym miastem i bluźnierczą kpiną wydaje się kwiecie jabłoni na tle czarnej otchłani rodem z Apokalipsy, i cudem ocalała drewniana dzwonnica – karuzela dziecięca moskiewskiego pomysłu – stoi przy placu na Honczariwce jak przestroga przed odczłowieczeniem.

Zatrzymał się Epifani na rozstaju – dalej nie ma dokąd iść, tu przebiega granica jego świata, cmentarzysko ukraińskie, na którym wydzielono dlań miejsce za ogrodzeniem.

Cisza dzwoniąca. I nagle – czyżby się przestyszał? – ozwał się dzwon na dzwonnicy. Wsłuchał się: raz jeszcze nieznacznie dźwięknęło serce dzwonu o powłokę: cóż to, zali tu ktoś się uchował? A później trzeci raz – diliń – i znowu cisza.

– Kogóż tu dzwon nawołuje – dusze ludzkie? Na spowiedź, na modlitwę czy requiem?

Ostrożnie i bojaźliwie przybliżał się Epifani pustkowiec do Honczariwki, przez wyłom w wale dostał się na plac i stanął tam gdzie wtedy. We мгnieniu oka czerwona fala potoczyła się na mógg – to dzwonnica zawirowała opętańczo i zadrgały nóżki dziecięce... Stał wbity po kolana w ziemię, ale uczynił wysiłek i wyrwał z lepkiego trzęsawiska jedną, a później drugą nogę. Wówczas raz jeszcze zakołatała sygnaturka i Epifani ujrzał przy dzwonnicy gromadę ludzi. Przypomniał sobie, że przez całą drogę, jak tylko przekroczył granicę Ukrainy na Czernihowszczyźnie, nigdzie nie spotykał ludzi, choć pola były obsiane i dym snuł się z kominów; na ławkach przy obejściach leżały bochenki chleba i konewki z mlekiem; podróżni pili i jedli, kładli miedziaki, ale nikt z chat nie wychodził, czasem jeno dzieci wyglądały ukradkiem przez okno na ulicę i kryły się natychmiast, gdy tylko przechodzień przystanął.

Epifani łamał chleb, popijał go mlekiem i szedł dalej, trapiąc się tym zastraszeniem ludzi: kogóż to się obawiają – dragonów,

karłów, siebie? Skoro siebie, to coś później dzieć się będzie z tym ludem? Po prostu nie zostanie go na ziemi, zniknie sam, przemieni się, wcieli się w co innego, lękając się własnego imienia...

Tu zaś zobaczył gromadę milczących ludzi na cmentarzu – zdałoby się – całej Ukrainy. Co tu robią? Dlaczego stoją przed otwartą dzwonnica i czy ktoś ma prawo zbliżyć się do nich?

Podszedł bliżej: stali tu z rękoma złożonymi do modlitwy mężczyźni w sukmanach, kobiety w czarnych gorsecikach, Kozacy w wytartych kontuszach i słuchali, jako że w środku dzwonnicy niegłośnie mówił kazanie sędziwy zakonnik.

...Bo już siekiera do korzenia drzew jest przyłożona. Przeto wszelkie drzewo, które nie daje owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone...\* Mojżesz prowadził po pustyni arabskiej przez lat czterdzieści lud Izraela czekając cierpliwie, aż wymrą ci, którzy pamiętali ponęty gnuśnej niewoli u Egipcjan. Wyrodzi się zalężnione pokolenie i u nas, narodzi się nowe, które odzyszcze dawne męstwo, i zdając sobie sprawę z małości ojców, weźmie na się ciężar odpokutowania ich grzechów. Błogosławiony człowiek, który znalazł sam siebie i zdołała się obudzić. Zbawienie jego jeno w wierze i przypomnieniu sobie, skąd jego ród, Pomódlmy się przeto za tego, co duszę swą oddał za życie naszego rodu. Wieczna pamięć dla hetmana Iwana Mazepy!

Strach go przejmował i radość, gdy to usłyszał: pośród zgiełku anthem po raz pierwszy zabrzmiało na Ukrainie słowo uznania dla Hetmana.

– Wieczna pamięć... – wątko jeszcze zabrzmiało requiem, ale głosy wyrównywały się, zespały w harmonię i już donośnie na całe martwe miasto rozległo się niepokorne:

– Wieczna pamięć!

– Módlmy się jeszcze – odprawiał kapłan panichidę, – o spokój dla duszy zmarłego sługi Bożego Ioanna i by odpuszczone mu zostały wszelkie przewiny dobrowolne i mimowolne!

---

\*Mt 3,10 (tłum.)

– Panie zmiłuj się! – zgodnie ozwał się chór i zadudniło echo nad pustkowiem i pogorzela.

– Chrystus nasz nieśmiertelny, Bóg prawdziwy nasz duszę sługi swojego Ioanna, który odszedł od nas, przyjmie w siedzibie świętych i przyłączy do sprawiedliwych, a nad nami zmiłuje się, iż jest dobry i miłujący człowieka – zakończył stary kapłan panichidę, ludzie zaś zmartwychwstali duchowo, zbywszy się lęku, padli na kolana i modlili się za Wielkiego Hetmana spotwarzonego przez nieprzyjaciół, świętując pierwszy dzień Paschy w nowej Świątyni.

Stary kapłan podszedł do Epifaniego, który klęczał i omywał duszę łzami radości:

– I nazwę dom mój domem modlitwy i oczyszczę go od zbójców...

– Wstań, Epifani – rzekł duchowny i przeżegnał go. – Jako cierpiętника zna cię cała Ukraina, chociaż ukrywasz się przed ludźmi. Nie kryj się. Czasem i zbójca szuka opieki u ołtarza w świątyni i ośmiela się prosić o pomoc u rozgniewanego Boga. Dobrze, synu, żeś przekroczył granicę lęku, by się doń przybliżyć, Nie ty jeden zgrzeszyłeś, zgrzeszył wszystek naród, przeto pokutować będziemy wszyscy pospołu. Ci tutaj pokrzepili się w duchu – Ukraina ocknęła się z omdlenia i buduje swoją Świątynię.

– Cóż ja mogę dla niej uczynić, ojcze? – Epifani spojrział w oczy kapłana, który zrozumiał, że mnich gotów jest na wszystko.

– Droga mnie wiodła tutaj z Salonik, miasta, skąd płyną okręty przez Morze Egejskie. Pośłał mnie Pyłyp Orlik, bym budził naród. Wkrótce zacznie się wielka wojna między Moskwą i Turcją. Nasze kozactwo obozujące po stronie tureckiej pójdzie z wojskiem otomańskim i wyda ostatni bój ordzie moskiewskiej. Jednakże z wielkiej tęsknoty za krajem ojczystym buntują się ludzie i chcą wracać na Ukrainę. A teraz umarł stary ataman koszowy Kost' Hordijenko – to już nic ich nie powstrzyma... Rzekł do mnie Orlik: kiedy spotkasz na Ukrainie ojca Epifaniego odkupującego swoją wielką przewinę, powiedz mu, by przekroczył granicę Chanatu Krymskiego przy ujściu Kamianki i niech w moim imieniu

powstrzyma Zaporozców bodaj na rok. Wówczas daruje mu Pan wszystkie grzechy, bo nie można dziś sprawić większej usługi Ukrainie. Za wcześnie jeszcze lud na nią zwoływać. Ukraińcy potrzebni są tam, gdzie się znaleźli – wszyscy będą społem o swój kraj wojować... Śpiesz się synu, bo z dnia na dzień przesączą się z tureckiej ziemi Zaporozcy i karki swoje wsadzą w pętlę, co ją naszykował za namową cesarzowej Anny Iwanowny obrany z rozumu Danyło Apostoł – namiestnik moskiewski na Ukrainie. Jeden jest nasz hetman – Pyłyp Orlik, ale ręce ma skrępowane, woła przeto z Salonik do synów Ukrainy: „Takać nam ostatnia sposobność się darzy!”

Wypadło zatem iść Epifaniemu do Kijowa. Szedł i modlił się głośno, unosząc ręce do nieba:

– Zbaw Panie lud Twój i pobłogosław Twoją własność, darząc zwycięstwo nad przeciwnikiem i osłaniając krzyżem Twoim Twoją siedzibę!... Stało się, Boże! Budzi się lud z odrętwienia – odprawia panichidy za swego wodza, a przebudzenie się ludu – to już Świątynia... Skrzyknę kozactwo na Ukrainę, jakom niegdyś przysiągł, ale po to, by ją wyzwolić!

Szedł, Boga chwalił i w natchnieniu szeptał słowa Łabędzi-cy-Motri:

„A teraz rozejrzyj się dokoła – wszędzie masz Ukrainę. Czy widzisz jej wspaniałość i urodę? Kto może ją zmóc? Małowierny, twój czas nie zakończył się w Baturynie, on dopiero tam się zaczął. Czy jesteś gotów iść dalej i obejść swój kraj we wszystkim jego czasie i przestrzeni?”

Odpowiedział w głos Epifani:

– Gotówem!

W tejże chwili postyszał wilcze wycie. Przystanął mnich i wszystek zastygł na znajomy zew wilkołaka, co przychodził odebrać mu wskrzeszonego ducha.

Stał na poboczu drogi, szczerzący kły i zjeżony, charczał, bryzgał pianą, wykrzywił się i wreszcie przeobraził z bestii w pułkownika Nosa.

– Dokąd ci tak śpieszno, ojcze? – zastąpił drogę Epifaniemu.  
– Zapomniałeś już o moim istnieniu. To ja ci je przypomnę...  
Mów, jakieś się znosił z buntownikami: prawda li to, żeś z Orlikowym pisaniem chodził po Ukrainie, żeś w Newie potopił karły, wiernych ordy pomocników?

– Zejdź mi z drogi, szubrawcze! – odepchnął Epifani pułkownika. – Próżne twoje strachy, osłania mnie moja Świątynia!

– Ha ha – parsknął śmiechem Nos. – Twoją świątynia poszła z dymem i wiatr rozwiał wszystkie wasze księgi! Zmarły dobroczyńca car Piotr rozkazał spalić drukarnię w Ławrze Peczerskiej – z wszystkimi rękopisami i foliałami! Sam doręczyłem rozkaz monarchy archimandrycie Allilujowi, który wykonał go akuratnie. Spalono twoją świątynię!

– To straszne, coś rzekł mi wilkołaku – jęknął Epifani i ukrył twarz w dłoniach przypominając sobie szyderstwo Alliluja: „Łotrostwu nie trzeba postu”... Tak, jego stać było na coś podobnego! Ale chwycił się nadziei. – Chrześcijanin przecie? – spytał nurtowany obawą – „cóż może być dla nas gorszego niż utrata pamięci?”

– Taki jak ja! Toś nie słyszał, że w Moskwii cerkiew oddzielono od państwa, prostaczku? Senat i synod radzą sobie bez Boga, to skąd się ma brać pobożne duchowieństwo?

– To w co się zmieni państwo, skoro i przedtem było straszne w swojej nienasyconej łączywości? Co stanie się z narodami?

– A tyle! Skoro nie ma Boga – to wszystko wolno!

Wilkołak zawył przeciągle i na urwisku zamajaczyło widzenie.

Katedrę świętego Michała o złotych kopułach wznoszącą się do nieba nad Podolem otoczyła diabelska kompania w ostrokończystych czapach sukiennych przypominających hełmy i z pochodniami w dłoniach. Zabrzmiął rozkaz i żołnierze jęli podpalać lonty, które zasyczały równocześnie, sypiąc iskrami. Zamarł i Podół, i wszystek Kijów w oczekiwaniu wielkiego nieszczęścia. Jęły się walić mury katedry, łamały się krzyże, topiło się złoto i na ostatek bezgłośnie wzleciały złote banie pod niebo. Zbiegli się ludzie

z lamentem i szlochem do miejsca, na którym stała była katedra; rechotały zastępy diabelskie, wzlatywały ponad głowami arkany, ordyńcy wiązali ludzi, sprowadzali na Podół i do ujścia Poczajny, tam gdzie Włodzimierz chrzczył Ukrainę, brali spętanych po jednemu i strzelali każdemu z pistoletu w tył głowy. A górę trupów podmywał Dniepr i niósł, i niósł znowu!..

– Tego nie było! – zakrzyczał Epifani.

– Jak nie było, to będzie! Co – może znajdziesz gorsze zwierzę od człowieka, któremu dano władzę i odebrano Boga... A jak już całkiem u nas wiarę skasują, to wespół z Oprycznikami, Kałmukami i naszymi Kawunami da się zrobić wszystko: miliony trupów napełnią ziemię imperium – stanie się to, co zapowiedział w swoich widzeniach święty Jan Aposto! Twój Baturyn zdawać się będzie igraszką dla potomków Mienszykowa... I będą wykopywać później szczątki w każdej wsi, w każdym mieście, znajdą pomordowanych – drągami w grzbiet, gwoźdźmi w oczy, i zapomną ludzie nazwę „Har-Magedon”, nowe imiona – Kuropaty, Bykownia, Demianów Łaz – nabiorą złowrogiego znaczenia, po was zasię zostaną jeno krzyże, które zetrze z oblicza ziemi kolejna orda. Was już nie będzie: nastanie nowa społeczność ludzi, którzy nie nazwą się ani Białorusinami, ani Ukraińcami, lecz zgoła inaczej i nastanie wreszcie spokój na ziemi. Z musu żyć będą w przyjaźni, pracować posłusznie, jeść co im dadzą, a wypróżniać się – zbiorowo, w wygodkach publicznych. Odetchniecie z ulgą, bo nie będziecie musieli już walczyć o jakąś tam Ukrainę, jakieś tam pieśni i barwy... Koniec! Proklamuję pierwszy dzień śmierci narodu ukraińskiego jako uroczyste święto wilkołaków!

– A jednak łzesz! – odparł spokojnie Epifani i pułkownik Nos pod jego wzrokiem skulił się, zmałał i znów przemienił się w zwierza. – Łzesz czarcie nasienie. Dziś jest pierwszy dzień zmartwychwstania mojego narodu. Dzisiaj w martwym Baturynie, splugawionym i spalonym, jeszcze do wczoraj zaszczyty lud odprawił panichidę po Mazepie i odtąd obudził się na zawsze. Ukraina jeła świętować swą Paschę w niewoli i z Paschą przeżyje

w niej i powstanie do niepodległego bytu. Odstępców zaś, przeniwierców, donosicieli, szpicli i oprawców przeklnie i wystawi na hańbę przed całym światem. Nie oczekiwałeś takiej wieści, a może się i nie spodziewałeś, że już dawno zabiłem cię w sobie? Wiedz zatem, że dziś zabijam cię samego swoim słowem. To twój kołek z osiny, krwiopijco!

Wilkołak chrypiał usiłując rzucić się na Epifaniego, raptem pochwyciły go drgawki, zazgrzytał kłami, rzeził rozpaczliwie, ale prawda Epifaniego porażała go nieubłaganie, zawył po raz ostatni i wyzionął ducha. W martwych oczach pojawił się spokój czy nawet ukojenie, że skończyło się wreszcie życie utrudzone występkiem, i że nie sprawdziło się przekleństwo Motri, że będzie żyć wiecznie jako wilkołak...

## Rozdział szesnasty

Na wypródki biegły stepem topole. Chaszcze nadrzeczne pochowały się za urwiskiem i tając w swoim wnętrzu wilgoć i chłód wyzierały zza niego to tu, to ówdzie wierzchołkami sokor, które mdlały w upalnym słońcu i na ostatek znikwały za horyzontem. Topole zaś, niczym apostołowie, szły i szły po rozoranym okręgu stepu, bezgłośnie przecinały dzwoniącą ciszę i przystawały około kurhanów.

Ileż tych mogił na Ukrainie! I kto je usypał – Scytowie, Antowie, Rusycze, Roksolani, Kozacy? Kto jest w nich pogrzebany – obrońcy kraju czy zaborcy – ordyńcy? Chwałą czy hańbą okryte są ich głowy, wolność czy jarzmo nieśli na tę błogosławioną ziemię? Nikt nie wie, jeno topolom idącym jak wysłańcy historii na zwiady wiadome jest wszystko, milczą wszakże, nucąc nad mogiłami swoje ciche requiem.

Wszystkich przytuliła Ukraina – gospodarzy i przybyszów, dla wszystkich jednak jest lekka albo i ciężka jej ziemia – kto ma prawo sądzić umarłych? Nikt na świecie nie miał takiego prawa

– przy wszystkich bogach i bożętach, przy wszystkich cesarzach i basileusach, książętach i hetmanach. Opatrzność bowiem osłaniała zaświaty od myśli ludzkich i zabroniła dotykać tajemnic, których śmiertelnym przeniknąć nie dano.

Na straży zmarłych stoi sam Bóg.

Tak było i tak już nie jest. Bezbożna władza przyszła na ziemię, ginie lud niewinny, nikt nie grzebie poległych i wilki rozszarpują zwłoki.

Czy choć jedna mogiła wyrosła nad Newą, nad Ładogą, na Sołówkach, w Baturynie, Łebedynie czy Głuchowie? Nie ma! Zakopują ludzi jak psy, przydeptują, równają ziemię nad prochem, by nikt z żywych nie znalazł śladu swego rodu, nie postawił świeczki na pamiątkę, żeby ci, którym ordyńcy darowali życie, nie wiedzieli, gdzie i kiedy się rozpoczął ich czas, by żaden z nich nie wiedział, kim jest on sam... Jeszcze i dotąd prawo nakazuje sądzić zbrodniarza za śmierć jednego człowieka, ale nikt nie karze winnych zabójstwa całego narodu!

Kiedy zbierze się światowy trybunał i otworzy przewod sądowy nad katami mojej ojczyzny?

A nuż sądzone jest nam bez końca oczekiwać sądu Bożego?

Zaiste miałeś rację mądry nauczycielu Tymoteju, stwierdzając że Sąd Boski toczy się już od dawna, jeno nie wiedzą o tym ani ofiary, ani zbrodniarze. A nuż Pan umyślnie ukazuje światu zbrodnie wraz z ich skutkami by nikt nigdy nie wątpił, że nadejdzie kara?

Bóg sądził Rzym przez stulecia, nim oznajmiono sentencję wyroku, jeno Rzym o tym nie wiedział: bawił się rozpustą, upajał krwią, rodził rozbestwionych niedoludzi i osadzał ich na tronie, przybijał swoich sędziów – chrześcijan – do krzyży, rozdrapywał dobra tego świata i przepijał je na orgiach – i zdawać się mogło, że to on sądzi, bo nie wiedział i wiedzieć nie chciał, że sąd odbywa się nad nim.

Jak przeżyć, jak wytrwać w tym Bożym śledztwie nad zbrodniarzami – skoro akty oskarżenia nie są odczytywane, jeno wystawione na pokaz? Jak my, rzeczywisci sędziowie, mamy wytrzymać tę przewlekłą procedurę sądową?



Sędziowie – chrześcijanie uchowali się w Świątyni Bożej, którą sami pobudowali w czasie procesu. Nasza świątynia zaś pozostaje w gruzach, doburzają ją w naszych oczach: jako cały naród stanęliśmy pod sklepieniem katedry, w pierwszych szeregach przed ołtarzem – dawniejsi obrońcy Ukrainy – okiełznani Kozacy, zasię pierwszy umysł narodu, ten sam, który swoje znakomite dzieło poświęcił Wielkiemu Hetmanowi, a później śpiesznie wycierał na rękopisie dedykację, preadresowując ją na Antychrysta, patetycznie i donośnie, by każde słowo słyszał Antychryst, wygłaszał klątwę na Hetmana. A myśmy milczeli, niemi i nikczemni niewolnicy, gdy wyzwoliciela Ukrainy okrzyczano jako zdrajcę narodu, rycerzy zaś, którzy zginęli za wolność – jako cudzoziemskich sprzedawczyków. Milczeniem pokalaliśmy własną świątynię – jak możemy dziś powrócić do niej i w tych samych murach głosić chwałę wyzwolicielom i rycerzom?

Gdzie znaleźć dzisiaj kazalnicę, by głosić z niej wolność? Iść do katakumb, kryć się jak w Baturynie w drewnianej dzwonnicy, czy szukać w puszczech pogan, by usłuchali głosu wołającego? A może zająć do katedry Wniebowzięcia w Ławrze Peczerskiej, odpędzić od wrót królewskich archimandrytę Alliuja, jak pędził Jezus przekupniów ze świątyni, wygłosić jedno kazanie i złożyć głowę pod topór?

Wczoraj byłem świadkiem, jak zakładano kamień pod nową Świątynię. Długo trwać będzie budowanie, ale nim świętą budowlę uwieńczy złota kopuła, wznosmy świątynię we własnych duszach!

Biegły zewsząd topole do Wysokiej Mogiły, co zamajaczyła na zboczu, i Epifani szedł spocząć u jej podnóża.

Ta zaś, chociaż nie zwalniała kroku, oddalała się, jak gdyby lękała się spotkania z człowiekiem, który może się targnąć na jej odwieczną tajemnicę, i wołała rozmawiać z niemymi topolami: uzała się nad nią, rozważą jej troskę i zachowają w milczeniu.

Wysoka Mogiła wabiła podróżnego, niczym ostatni popas,

ale widać nie nadeszła jeszcze dla Epifaniego pora, by dowiedział się o tym, co najstraszniejsze. A może Bóg chciał przeprowadzić swego wybrańca przez jeszcze jeden akt ekspiacji: ujrzał Epifani wieś, co w białych koszulach i wianeczkach sadów zbiegła się u modrego jeziorka w wąwozie.

Ukryta była w odludziu między łagodnymi pagórami, co obstały ją ze wszech stron i przystały nad jeziorkiem jak woły nad wodopojem. Zgoła nie było jej widać wśród bezkresnego stepu, przytała się niczym ostatnia wysepka wolności na Ukrainie.

Epifani przycupnął na skraju pagórka i lubował się cichą ludzką przystanią. Nie śmiał się zbliżyć do ludzi świętujących niedzielę.

Dziadkowie siedzieli na przyzbach i w pasiekach, dzieci goniły kiczkę na pastwisku, na placu cerkiewnym przed wejściem do świątyni stały barwnie wystrojone męzatki i dziewczyny, słuchając nabożeństwa, mężczyźni zgromadzeni za dzwonnica gwarzyli i pykali z fajeczek – a nuż było to przywidzenie, takich wsi dawno już nie ma na Ukrainie... Ależ nie, była prawdziwa – uchowała się może po to, by Epifani docenił całą wartość tego, co utracono.

Niedługo lubował się mnich ową sielanką – los dał mu zobaczyć przeszłość Ukrainy na krótką chwilę. Zaszło bowiem to, co działo się w innych miejscach: skoro Bóg wybrał jego naród, to nie dla szczęścia, jako że jest surowy.

Na pastwisku, gdzie chłopcy grali w kiczkę, wszczął się gwar, co szybsze w nogach podrostki duchem pobiegły do wsi wykrzykując złowieszcze hasło „konsystenty, konsystenty!” – zapewne tak wartownicy na czatach powiadamiali ongiś lud o nadchodzącym czambule.

Jak gdyby wichrem zmiotło ludzi z placu pod cerkwią, dziadkowie z przyzb i pasiek pochowali się do domów, i ujrzał Epifani: gościńcem biegnącym w dal, aż za jezioro, z głębi kotliny w stepowe rozłogi, wjeżdżała kompania dragonów na koniach,

zygzakiem wpełzała w nie tknięte dotąd ludzkie zacisze z ochrypłym śpiewem: „Kanarej, kanarej, ptaszeczka!”

Epifani zamarł w oczekiwaniu, że lud się zerwie i spadnie nań kara: nie oszczędzą ordyńcy ani dzieci, ani kobiet, ani starców – jak w Baturynie, wiedział jednak, że nie będzie już stać w odrętwieniu na bezpiecznym skrawku ziemi i sam polegnie. Pewien był, że wczorajsi Kozacy chwycą nie zardzewiałe jeszcze szable, kobiety – widełki do garnków, chłopcy – drągi, dziadkowie nasadzą kosy na kosiska – i rozegra się ostatni bój za ostatnią wolność, a świadkiem zagłady wsi będzie Wysoka Mogiła widniejąca nad urwiskiem, która również przyjmie poległych za wolność w swoje łono.

Jednakże nikt się nie kwapił chwycić za broń. Pośród wioskowego placu naradzali się mężczyźni, mierzwili czuby, posalsali fajki i na ostatek uradzili.

Z gromady kobiet wybrano najurodziwszą młódkę, kobiety zawiązały jej na głowie czepiec z wzorzystej chusty tureckiej, opięły ją w gorsecik wyszywany czerwoną włóczką, dano jej w ręce pęk kwiatów stepowych: obok niej stanął sędziwy dziad z miodowymi wąsami do pasa, odziany był w białe portki i wyszywaną koszulę, w ręku trzymał wysoki korowaj z grudką soli umieszczoną między kaczorkami ulepionymi z ciasta.

Młódka i starzec poszli na czele długiej procesji na spotkanie konsystentów, którzy przyhamowali konie, i rotmistrz jadący przodem na gniadoszu zeskoczył, podszedł do gościnnych gospodarzy i spytał surowo:

– Szto eto za priedstawlienije?

– Chlebem i solą witamy was w naszej chacie – zabrzączał głos starego – Żebyście byli dobrzy dla nas... A tam młódka, sama jak kwiatuszek, chce waszmości...

Musnął rotmistrz palcami koniec wąsa, strzyknął gruzłem śliny pod nogi dziadowi, wychwycił z rąk młódki kwiaty i wetknął do końskiego pyska, poklepał pięknokę poniżej pasa, podszedł do dziada, wytrącił mu z rąk chleb i szturchnął go w piersi.

– Daj przejechać, stary! Macie ich... Z chlebem wyszli, by nam przypomnieć, że oni są tu gospodarzami, a my przelotnymi gośćmi. Nie, dziadu, odtąd my tu jesteśmy gospodarze!

Ukląkł dziad na ziemi, podniósł chleb, pył zdmuchnął, pocałował i tak klęczał, nie mając sił się podnieść, ludzie zaś w procesji milczeli głucho, później zaczęło się szemranie, ktoś kogoś szturchnął łokciem, starsi mężczyźni jęli uciszać podrostków i wszyscy posłusznie jęli się rozstępować wokół drogi, dając przejście konsystentom.

Ale nie wiedzieć skąd wziął się tu Siwy Kozak. Przycwałował od stepu na spienionym koniu, spiął rumaka przed rotmistrzem i ciął go w twarz nahajką.

– Kamień im a nie chleb! – krzyknął do ludzi. – Czemu stoicie jak barany, bierzcie broń do rąk i bijcie przybłędów!

Stało się zgoła inaczej niż spodziewał się Kozak: z gromady wyszedł poważny kmieć, niepewnie wzruszył ramionami, pociągnął nosem i rzekł nieśmiało, pochylając głowę:

– Nie wdawaj się z nim Kozacze, już nie te czasy... Idź od nas, my chcemy żyć w zgodzie z narodem rosyjskim...

– Ależ to nie naród! – zagrzmiął Kozak. – To przywłoki!

– Tak czy owak ruscy... – ledwie dosłyszalnie wypowiedział kmieć.

Rotmistrz potarł dłonią policzek, na którym pozostała pręga od kozackiej nahajki, splunął raz jeszcze przez zęby i spokojnie rozkazał dragonom:

– Wiąż go!

I poszedł Epifani poprzez stepy do Wysokiej Mogiły, prześcigając topole. Przypomniał sobie, jak wtedy pobili go chłopci za to, że chciał ich oświecić. Nic się nie zmieniło, ależ nie – obróciło się na gorsze. Mocno zasiadły karły w duszach ludzkich – tam nawet, gdzie nie było ich dotąd. Nastąpiła ordyńska zaraza.

„Oto i cała twa insurekcja, Kozacze. Teraz wbiją cię na pal przy milczącej zgodzie ludu – westchnął Epifani po drodze. – I ja nie zaśloniłem cię pierśią, choć byłem gotów... Minął czas

bohaterskich zrywów, nastąpiła pora na trud. Pierwej zaświecić trzeba świeczki cerkiewne w duszach ludzkich!”

Szedł – i mogiła nie uciekała już przed nim. Przybliżała się raczej i Epifani, widząc na jej wierzchołku zarysy ludzkich postaci z łopatami, przeraził się:

– Czyżby rozkopywali?

Przypomniał sobie badanie Połubotka w Kancelarii Preobrażeńskie: ogień i dyby mają skłonić hetmana nakażnego, by wyznał, skąd owe bryły złota, gdzie są te kopalnie na Ukrainie, gdzie te mogiły kryjące aż tyle skarbów. „Na Bojanowej ziemi” – powtarzał hetman aż do skonania i nie pojmował wówczas mnich, gdzie jest ta ziemia, od wieków rozpostarta między Sanem i Kubaniem, między Prypecią i Morzem Czarnym.

Rozkopują, grabią, wytrząsają dobytek Ukrainy już nie z komór, skarbców, spichrzów, lecz ze samej ziemi, by na niej ani w jej głębi już nic nie zostało, by nieluby zdobywcom lud ukraiński nawet już, gdy się rozpadnie imperium i świat zapomni o jego przerażającej, przez diabła danej władzy, tułał się po świecie zebrząc jak pogorzelec.

Epifani biegł w stronę Wysokiej Mogiły i już z bliska widział grabarzy w ostrokończystych czapkach sukiennych podobnych do hełmów – czyżby to ci sami, co wysadzali katedrę świętego Michała: wówczas mu się przywidziało czy teraz się roi?

Ależ nie, nie zwidziało się: głęboki rów przeciął olbrzymi kurhan, a drugi przekopują na krzyż; wokół mogiły leżą zetlałe kości, poniewierają się stłuczone skorupy ze starodawnych amfor, grotty strzał, kamienne siekiery i sierpy, grabarze zaś nie rozprostowując pleców pracują w pocie czoła, wgrzają się łopatami coraz głębiej i głębiej, i klną, i lżą wszystkie matki na świecie, i samego Boga – że nie ma złota.

– Ludzie, opamiętajcie się, jeśliście nie diabły, lecz ludzie! – jął lamentować Epifani. – Już nawet umarłym nie dajecie spokoju, jakże nie lękacie się kary Boskiej! Złota tu nie znajdziecie, same

mogily to skarb, to pamięć nasza, zali nawet umarli wadzą wam i waszej łapczywości?

Ale nikt nań nie zwracał uwagi, nie słyszał jego krzyku, on zasię stał pośród stepu i miotał przekleństwa jak prorok Starego Zakonu.

Wreszcie dostrzegł go mały człowieczek, który stał na wierzchołku mogily i wciąż wskazywał ręką w głąb wykopanego rowu, i bacznie przyjrzawszy mu się, śpiesznie jął schodzić na dół.

– Skądęś tu się wziął? – zapiszczał z oburzeniem i zdumiony Epifani rozpoznał w nim byłego mistrza kolonii karłów.

– O zgrozo, po com cię wtedy oszczędził? – zawołał Epifani i uniósł ręce wzywając o pomstę do nieba.

– Wszystkich nas nie wygubisz, nie ma mowy – jest nas tyle co trawy i liści! – zaświergotał niczym świerszcz Jermołaj. – A zresztą takiego zapotrzebowania na karły, jak było niegdyś, już nie ma – lud skarłał w dostatecznej mierze, cała Małorosja zapełni się takimi, co wszystko będą mieli kuse: wzrost, sumienie, pamięć, świadomość – i nastanie wreszcie błogi spokój w imperium... Chociaż wy, jak mawiał przeklinany wśród pospółstwa Mienzykow, potraficie odrastać niczym dwudziestogłowa hydra. Dać wam bodaj nieznaczną ulgę, niech no tylko rządzący dobrze zaśnie albo się upije, nie mówiąc już o tym, kiedy spocznie na wieki – z miejsca podnosicie głowy. Trzeba mieć na was pilne baczenie: zapomnieć o was na chwilę, to już wam do oczu wciskają się krzyże, mogily, przypominacie sobie protoplastów, wyświęcacie ich na męczenników poległych za wolność Ukrainy i sadzicie czerwoną kalinę u ich wezgłowia. A niebo, co jest tylko powietrzem, przestaje być dla was niebem, dojrzała pszenica, którą żołądki przerabiają na łajno, już nie jest zwyczajną słomą, plus jeszcze ziarno – roi się wam nagle, że niebo jest błękitne, a pszenica żółta, doszukujecie się harmonii między tymi barwami, i już kupujecie w kramach jedwab i szyjecie modrożółte sztandary! Małorus zasię z takim sztandarem, to już nie Małorus, lecz Ukrainiec, co ino patrzeć jak zaśpiewa o mogiłach kozackich

i niegdyśszych wyczynach, o pochyłej kalinie czerwonej, o sławnej neńce Ukrainie, co nie wiedzieć czemu się smęci – no i robi się wyjątkowo niebezpieczny dla imperium.

– Jakaś tu trafił, kurduplu? – przerwał mu Epifani i potrząś Jermołajem za klapy surduta z nawieszonymi na nich odznakami, co zapewne zastępowały karłom orderzy. – Co wy tu wyprawiacie?

– Wolnego – ostrzegł karzeł. – Byłem i nadal jestem osobistością państwową – czy to jako mistrz kolonii karłów, czy też stangret jego ekscelencji, obecnie zaś przewodniczący komisji archeologicznej przy gabinecie gubernatora kijowskiego, hrabiego Golicyna... Słuchaj więc, jakaś ciekaw. Powiedziałem już, że chochły dostatecznie zmalowały i na razie niczym imperium nie zagrażają. Ale żeby czasem nie wybujały, bo zdolne są do tego, sam przecie widziałem, jak wybujały małorosyjskie karlice, ledwie spoczął w Bogu Piotr Wielki... Więc by nie zapatrywały się w górę, klarujemy im ustawicznie, że niebo to nie jakaś tam wyżyna duchowa, w której unosi się Pan Bóg, lecz pospolite powietrze bez barwy i zapachu – przecieżeśmy materialści, ateści, socjaliści, komuniści i wszystko co zechcesz, byle nie idealiści... O, niejednym się nauczył od hrabi Golicyna!.. Dowodzimy im, że kolor pszenicy nie jest żółty, jeno zielony, a później staje się czarny, bo nim skarleni ludzie ją zbiorą, to żdźbło skruszeje... Że mogiły to kępy, wypryski, wrzody na zdrowym ciele stepu, które przeszkadzają chodzić i jeździć, ponadto na próżno zajmują areał – powiadają nasi uczeni, że na miejscu moglił obficie rodzą się ogórki... Za moją radą hrabia Golicyn kazał powycinać w całej Małorosji kaliny, by nie kusiły poetów do układania śpiewek uwłaczających imperium. Szkoda wprawdzie, bo kalinówka mocno uderza do głowy i nie wywołuje złych następstw, sok zaś z kaliny dobry jest na chrzypoty – ale kto się z tym liczy, gdy chodzi o spokój w państwie?

– Pamiętam, że w kolonii obchodziło cię przede wszystkim wydobyć piasku na głowę ludności – zauważył mimochodem Epifani. – Tutaj zaś poszerzyło się twoje pole działania.

– Ciągną więc karły na tak zwaną Ukrainę, bo tu nie piasek, na którym nic nie urośnie, lecz pszenica, miód, ogórki i wzmiankowa-  
na kalinówka..

– Coście zdążyli już znaleźć w mogiłach? – wtrącił Epifani.

– Nic takiego – kości i skorupy. Tego najważniejszego nie było, ale imperium, jak uczy hrabia Golicyn, już tak gwałtownie nie potrzeza szlachetnego kruszcu. Lada dzień otrąbimy wojnę z Turkami i nabieramy w Stambule złota tyle, że nie każdy udźwignie, bo leży tam na ulicy. Zwycięstwo, jak wiesz, to nasza specjalność, żaden nas ład ni morze nie powstrzyma... Mogiły rozkopujemy przede wszystkim po to, by Małorusi nie mieli gdzie płakać. A jak w ziemi jest i złoto, to musowo je zabrać, żeby się wam nie dostało. Bo chochoł ze skarbem może sprawiać kłopot, a jeżeli zważyć, że Małorosja znajduje się pośród Europy, która zna wartość pieniędzy, – to nawet stanowić groźbę dla imperium.

– Dużoście ich rozkopali? – w głosie Epifaniego zabrzmiał niepokój.

– Mało co zostało: z dziesięć bodaj – tryumfował karzeł.

– Cóż będzie robić wasza komisja archeologiczna, gdy rozkopiecie ostatnią mogiłę?

– To sekret, hrabia Golicyn kazał nie rozgłaszać... Mogę ci powiedzieć, że z czasem przesuflujemy każdy kawałek ziemi małorosyjskiej i to wszystko – węgiel kamienny, żelazo, siarkę, naftę, gaz i co się da wydobędziemy z wnętrza ziemi do ostatniej okruszyny i wagonami, wagonami do Moskwy! Oj, daruj, wagonów jeszcze nie mamy... Ale będą! Żaden nas ład ni morze nie powstrzyma!

– Z twoim rozmachem, Jermołaju, powinienesz siedzieć na Kremlu, a nie wycierać kąty w kancelarii u Golicyna... Powiedz jeno, za co nagle lud przeklął Mienszykowa?

– Aaa, to ty jeszcze tego nie wiesz! Później powiem ci wszystko ze szczegółami... Przeklinano go już dawno, bo był nienasycony. A możni tego świata też go nie kochali: za bardzo porósł w pierze, masz pojęcie – generalissimus! No i przyszła



kryśka na Matyska: dwór carski nakazał przekląć faworyta na piśmie. Dwa grzyby w barszcz: i Mienszykowa ukrócono, i znalazł się oficjalny wróg imperium. Tako rzeczce hrabia Golicyn, żeby imperium mocno stało na nogach, konieczny jest wróg – to władza znajdzie się w jednym ręku. Jak nie ma, musowo trza wymyślić. Jeszcze wielki mistrz Tom, co go tak spostonowały wyrośnięte chochły, uczył podobnie: wraz z umocnieniem porządku imperialnego walka przeciw niemu się zaostrza, stąd trzeba wynajdywać wroga i niszczyć go przykładnie. Myśmy to robiły służąc jako „języki” w Peterburgu. „Słowo i czyn!” – i wróg pojmany. Niewinny? Śmiech powiedzieć – byle był człowiek, a paragraf zawsze się znajdzie... Ninie carowa Anna wyekspediowała na Ukrainę nową partię karłów do wynajdywania wrogów ludu. Z Kurlandii przywiozła ich nie mniej niż dwustu. A tyś myślał, że utopiłeś. Co tam, myśmy niezatapialne. Jesteśmy wieczne! Posłała też do guberni małorosyjskich cyrkularz, masz tu, co w nim napisano: „Rzeczeni funkcjonariusze mają na pieczy obserwację stanu umysłów, mniemań i w ogólności karły w Małorosji: imaginuj sobie, jakie to będą obserwacje. Wówczas, rzec ci mogę, po śmierci wielkiego monarchy imperium zachybotać się nie na żarty, sam to odczułem. Karły małorosyjskie wyrosły, obalono posągi Toma, wybrane karły utopiłeś w Newie. Nie wypominając, a w samym Peterburgu – pomyśl jeno! – jęli się zbierać mieszczanie i naradzać nad czymś – po czterech. Nie po dwóch i nie po trzech! To już czuć było rozprężeniem. Jeden człowiek nie jest straszny dla nikogo: „Jednostka zerem” jak mówił poeta, nie pamiętam nazwiska. Dwaj też nie byli straszni, bo jednego z dwóch zawsze można zrobić donosicielem. Trzej – to już kłopotliwsze, bo kiedy w trójce jest nawet dwóch donosicieli, to pleść będą na siebie nawzajem. A czterech dla Tajnej Kancelarii – to już ciemny las!.. Otóż długo myślał Piotr Mały, jak tu ochronić i wraz odnowić imperium podkopywane przez gryzipiórków i postanowił napędzić stracha wiernym poddanym. Oświadczył publicznie, że

w samym jądrze imperium – rządzącym senacie – zalegli się wrogowie, którzy rozgałęzili swoje macki na obrzeżach, chcą stworzyć państwa udzielne, wyłamując się spod władzy moskiewskiego pomazańca – znalazł się jeden taki i jak zgadłeś już chyba – Mienszykow! Uśmiechało mu się hetmaństwo w Małorosji, a jak nie, to księstwo kurlandzkie. Zuchy z Preobrażeńskiej wroga – cabas! – i wyobraź sobie ludu rosyjski, co by się z tobą działo, gdyby Mienszykow zdołał w czyn obrócić swoje zuchwałe knowania. Za jego przykładem poszliby inni królewęża i hetmani – i Trzeci Rzym rozpada się wam w oczach! Panowie szlachta, jako też ludzie pospolicci! Kto wam wówczas da pobory, kto umożliwi branie łapówek, gdzie wy wówczas znajdziecie kramiki, w których dziś możecie brać wszystko, co wam potrzeba, za pół ceny? A tu jeszcze pańszczyźniane chłopcy ogłoszą prawo do prywatnej własności ziemi i rozbiorą ją do ostatniego skrawka, was zaś, dzisiaj wszechmocnych, mieć będą w dużym poważaniu. Kłódki zawisną na bramach szkół i akademii, pogasną latarnie Peterburga, a jeszcze... No, nic wam z tego nie zostanie, panowie szlachta, gdy rozleci się imperium, przeto raz-dwa-trzy oczyścimy je od wrogów. Ktoś wątpi, czy Mienszykow jest wrogiem? No to sami zobaczcie: jeszcze wczoraj sklepy były puste, wszędzie kolejki, biedny mieszczanin nawet krowiego wymienia nie mógł kupić. Zgroza! A teraz widzicie – zesłano gałgana na Syberię – o wszystko od razu się pokazało: jest masło i parówki... Bądźcie czujni, wróg nie śpi. Jeśli zajdzie potrzeba, to wprowadzimy bezpośrednie rządy cesarskie, do każdego obywatela przystawimy po żandarmie – nikt nawet nie piśnie! Przeto jak nie huknie lud szlachecki: „Chwała Małemu Imperatorowi! Niech żyje odnowione imperium! Hurraa!” Dobra robota, prawda?

– Powiedz nareszcie, co się przytrafiło z jego ekscelencją  
– zniecierliwił się Epifani.

## Rozdział siedemnasty

– Z pewnością dobrze to jeszcze pamiętasz... – ciągnął Jermołaj swoją opowieść usiadłszy obok Epifaniego u podnóża Wysokiej Mogiły, w środku której szarzeli i pozgrzytywali łopatami grabarze, posapywali i rzucali mięchem, wdzierając się w głąb, i z czasem już nie głosy, jeno głucho dudnienie dobiegało na powierzchnię. – Musisz przecie dobrze pamiętać, jak po Newie płynęły czyste deski, na których w ostatnim porywie kreśliłyśmy węglem podobizny niezapomnianego wielkiego mistrza Toma, a wybrane i wszechpotężne niegdyś karły maszerowały po dnie rzeki ku świetlanej przyszłości... Darowałeś mi życie, przez co rzetelnie przysłużyłeś się swojemu tymczasowemu protektorowi, jaśnie oświeconemu księciu Mienszykowowi, nad którego głową owo światło momentalnie przygasło.

W sali audiencjonalnej pałacu zastałem wielce zasmuconego księcia. Jego ekscelencja taki mi był rad, jak gdyby przez całe życie na mnie czekał: podbiegł, wziął na ręce, przytulił, całował i rzewnie płakał mówiąc przy tym:

– Tak przemija chwała świata, jak mawiali starożytni Rzymianie... Przyszło już to na mnie, Jermołaju, i jak dobrze, żeś się zjawił: tabor już przygotowany. Trzydzieści trzy kolasy, karoce i furgony stoją zaprzężone na Moskiewskim Trakcie, a w nich, Bóg widzi, jeno mizerna częśćka dóbr moich, bom w ciągu życia nabył sto tysięcy dusz pańszczyźnianych, sześć miast z przyległymi wsiami, pięć milionów rubli w złocie gotowizną, nadto jeszcze dziewięć złożyłem w banku angielskim... Gdyby to człek wiedział, jaki kąsek uwięznie mu w gardle! Po licha mi było to małorosyjskie hetmaństwo, abo księstwo kurlandzkie? Zresztą te moje słabostki poszłyby w niepamięć, gdyby nie wielka konfuzja: cesarz Świętego Imperium Rzymskiego Józef roztrąbił na cały świat, że za moje zasługi w politycznych materiach ofiarowuje mi księstwo kozielskie na Śląsku. Kiedy indziej byłyby to kolejny liść do wieńca sławy, ale że dziś z Niemcami mamy na pieńku, powzięto wielkie

podejrzeń. Car Piotr Mały, podjudzany przeciwko mnie przez Golicynów, Tołstojów i Dołgorukich, którzy widocznie przypominali osiemnastoletniemu monarsze, że nikt inny tylko ja jestem winien męczeńskiej śmierci jego tatusia carewicza Aleksego, ogłosił mnie, znamienitego księcia Mienszykowa, który tyle zwycięstw sprezentował Rosji, obcym jurgielnikiem. Masz babo placek! A u nas – byle znaleźć ofiarę. I każdy jej dorzuci wszystko co sam przeszkrobał. Wiadomo dziś, że ja jestem sprawcą całego bałaganu w państwie, przeto dobrowolnie usuwam się z Peterburga, wyjeżdżam do swego zamku w Rannenburgu pod Woroneżem, bo jutro może być za późno... Dobrze, żeś przyszedł, wierny mój stangrecie, poprowadzisz moją kawalkatę, bo już nikomu ufać nie mogę – mówił jaśnie oświecony książę piastując mnie na rękę i zalewając się łzami.

Wiedziałem, ojczyźnie Epifani, że stawiam życie na parszywą blotkę, ale cóż było począć: kolonia karłów się rozplynęła, to i ja musiałem pakować manatki, zgodziłem się zatem zawieźć Mienszykowa nie tylko do Woroneża, ale i w głąb Syberii i takem zwiedził ten matecznik nie do przebycia!

Ze stolicy wyjechaliśmy z paradą. Naszej kawalkacie prócz kompanii dragonów wydelegowanej przez najjaśniejszego pana do eskortowania niefortunnego księcia towarzyszyło blisko dwustu ludzi obsługi – paziów, hajduków, lokajów. Jego ekscelencja siedział przy mnie w karocy roboty słynnego berlińskiego mistrza Spieldorfia i nisko kłaniał się na obie strony Traktu Moskiewskiego, oblepionego ciżbą ludzką, mówiąc: „Nie płacz ludu rosyjski, wróć jeszcze do ciebie, to jeno wymuszona okolicznościami przejażdżka...”

Daremnie wszak pocieszał się jego ekscelencja... Jechaliśmy przez lasy, wycięte na trzydzieści sążni z obu stron traktu gwoli ochrony przed rozbójnikami, którzy kupami grasowali w puszcach moskiewskich, przejechaliśmy szczęśliwie Iżory, Lubań, Wałdaj, Torżok, w Twerze wszak dopędził nasz tabor adiutant cesarski i rozkazał przybocznym Mienszykowa oddać broń.

W Klinie zjawił się drugi wysłannik – ten już zdał z księcia orderę i rozpedził prawie wszystką służbę.

Zasię w Rannenburgu, gdzie Mienszykow zamierzał dożyć końca dni swoich, dowódca kompanii dragonów Iwan Mielgunow wezwał jaśnie oświeconego na badanie i grożąc mu torturami wypytywał o konszachty Mienszykowa ze Szwedami. W nie pamięć poszedł prezent austriackiego cesarza. Skoro jurgieltnik, agent międzynarodowy, to międzynarodowy, sprzedać się mógł każdemu... Od dyb i cęgów wykupił się książę kosztownościami: wyjmował ze szkatulek diamenty, perły, złote pierścienie, później oddał Mielgunowowi laseczkę ze złotą gałką wysadzaną brylantami, dar Piotra I za zwycięstwo pod Kaliszem przy boku saskiego króla, dalej szpadę ze złotym jelicem – dar króla polskiego Augusta, jeszcze później spinki z brylantami, podarowane przez Józefa, a na ostatek – srebrne nocne naczynie! Wszystko zabrał Mielgunow i mimo to zmusił księcia do podpisania protokołu o zaprzedeniu się obcym potencjom.

Tak to ja, niepozorny karzełek, oświecony wprawdzie nauką hrabiego Golicyna, któremu służę wiernie i uczciwie, wciąż się głowię nad niestałością i niepewnością życia wielkich w naszym imperium, Dziś sława, portrety, posągi, sklepy za żółtą firanką, adresy pochwalne, rezydencje (miał je Mienszykow w Oranienbaumie i Kronstadcie, w Peterburgu i Narwie, w Moskwie i Poczepie na Ukrainie!), jutro zaś oczernią, okrzyczą tyranem, woluntarystą, rzecznikiem zastoju, przebudowy, czy jeszcze tam jakoś, portrety zdejmą, przydziału nie przydziałą, zwałą posągi, skonfiskują wille i oddadzą je nowym bożyszczom, nawet nocne naczynie odbiorą, ty zasię, ongiś wszechpotężny wielmoża, będziesz musiał chodzić za swoją potrzebą do wygódek dla pospólstwa! Takie to nasze życie... Dlatego, póki trzymasz się na powierzchni – żryj, kradnij, rabuj i baw się jak na uczcie podczas zarazy! Kontentuję się zatem myślą, z mojego karlego punktu widzenia, że władcy tego świata to karły jako i ja, bo wszechpotęga ich równie jest nierzeczywista i pozostają niewolnikami.

Skoro książę podpisał ten protokół dla Mielgunowa, Najwyższa Tajna Rada wydała dekret o strasliwym brzmieniu: „Za liczne zbrodnie rzeczony Mienszykow godzien jest kary śmierci, jednakże wedle naszego miłosierdzia skazany został na zesłanie.” I został jasnie oświecony książę pospolitym zesłańcem w chłopskiej siermiędze – takiego dowiozłem do Tobolska. Stamtąd do Bieriozowoje wieźli go już na furgonach od wsi do wsi chłopi, ja zaś wróciłem do miłej memu sercu Małorosji i zostałem wiernym sługą jego serdecznego wroga, przemądrego księcia Golicyna, gubernatora kijowskiego. Zjednałem go sobie zjadliwą charakterystyką niegdyś wszechpotężnego księcia, com ją zasłyszał w swoim czasie od samego Piotra Wielkiego: „Mienszykow w nieprawości został poczęty, w grzechu zrodziła go matka i w łotrostwie zakończy swój żywot”.)

Co, kiedy i komu powiedzieć – to już nie lada sztuka. Golicyn upodobał mnie sobie i takem został naczelnikiem komisji archeologicznej.

A tu, ojcze, jeszcze jeden epizod z mojej wyprawy do Tobolska. Niechybnie cię zaciekawi jako zawziętego mazepińca...

Policmajster tobolski otrzymał z Peterburga dyspozycję, by wypłacić Mienszykowowi przed jego wyjazdem do Bieriozowoje ostatnie pięćset rubli w złocie – na dożywocie.

Ujrzał książę garsteczkę złota ze swojego milionowego majątku, przeliczył, westchnął melancholijnie i ruszył z czterema sługami, których mu zostawiono, i ze mną, by wydać te pieniądze – wiedział, że w Bieriozowoje na nic mu się nie zdadzą. Trzymałem nieco z boku odeń wiedząc, że czerń bywa niewdzięczna: poznają w ścisku byłego carskiego satrapę, który ekspediował tutaj partiami ludzi dlań niewygodnych, a teraz sam skupuje prowizję na etap – może być gorąco i Jermołajowi się oberwie... Nikt jednak nie zaczął Mienszykowa, bo i niełatwo było go poznać odzianego w siermięgę, kożuch i czapkę baranią. Zrobił sobie zapas mąki, soli, mięsa, gorzałki, kupił też piłę, sam wziął narzędzia do ręki i powróciliśmy do

zaprzęzonego furgonu, który nas czekał koło policyjnego cyrkułu.

Śludzy załadowali wóz, a ksiązę jak doświadczony cieśla wymacywał palcami zęby piły, przyglądał się zmrużywszy jedno oko, czy równo jest rozwiedziona, po czym odłożył ją i długo oglądał siekiere z szerokim ostrzem i masywnym obuchem; ujął za toporzysko, zamachnął się nią w powietrzu raz i drugi i cmoknął z ukontentowaniem, wyrażając uznanie dla tych ciesielskich narzędzi.

Wtedy to ujrzałem w nim dawnego Aleksaszkę, którego Pan Bóg ukształtował nie do tego zajęcia, którym się trudnił przez całe życie: miał budować – w ciągu dziesięcioleci dokonywał siekiere spustoszeń i dopiero teraz używać jej będzie zgodnie z przeznaczeniem...

Książę zauważył moje baczne spojrzenie, zmrużył oko i na wargach jego zastygł smętny grymas uśmiechu.

– Wybór drogi życiowej, Jermołaju – mówił – nie zależy od woli człowieka: wszystkim na świecie rządzi nagle potrzeba chwili i niepozorny przypadek. Jednakże w tym wyborze coś znaczy wewnętrzne usposobienie jednostki. Człowiek okaleczony przez los nadrabia swoje braki pomysłowością: ona to głęboko w sercu wypiastruje marzenie, by z upośledzonego stać się władcą, i pobudza do działań pożytecznych lub szkodliwych. Człowiek spragniony władzy, zależnie od danych wrodzonych, przy pomyślnej sposobności zostaje tyranem lub mędrce. Tak czy owak – władcą... Wiesz już? Gdyby moje pragnienie wyjścia z niskiej kondycji dostrzegł nie car, lecz mędrzec, dziś byłbym chlubą akademii, a nie malowanym generalissimumem.

Tak to prawil sam do siebie, nie patrzył na mnie, bacznie oglądając siekiere, opuszkami palców po jej ostrzu wodząc, i nawet nie zauważył, jak stanął przy nim wysoki mężczyzna w znoszonej sukmanie kozackiej i futrzanej czapie pułkownika.

– Wszakże droga mędrca najeżona jest trudnościami – ciągnął swe rozważania książę. – Każdy człowiek przez całe życie balansuje

między dwiema siłami, wyłączającymi się nawzajem – wzniosłą ideą dobra i przyziemnym uczuciem głodu. Tutaj duchowość, a tam zwierzęcość. Jednakże w człowieku mocniejsze jest to, co bardziej pierwotne – wpierw poczuł jak smakuje jadło, później dopiero dotarło doń pojęcie Boga. Co łatwiej przychodzi? Jasne, że zwierzęcość. To co boskie w duszy – trzeba spełniać, wypias-towywać, to co zwierzęce – przychodzi do nas bez wysiłku. Najeść się smacznie można bez przywoływania wzniosłości, spróbuj no modlić się, gdy w brzuchu burczy! To już bohaterstwo...

– Czy wpierw trzeba wyrządzić tyle zła na świecie, jak ci się to udało, tyle nagrabić, by później po utracie wszystkiego uznać najprostszą prawdę? – dobiegło do Mienszykowa, odwrócił więc głowę i bacznie przyjrzał się znajomej skądś twarzy Kozaka, nie mógł go sobie przypomnieć, a może nawet nigdy nie spotykał – przecie wszyscy Kozacy są pod jeden strychulec: wąsaci, urodziwi, krzepcy i lekceważący przeciwników... Gdybyż miał dawną władzę, porozmawiałby z intruzem! Tu jednak trzeba było się moderować, bo sług mało, karzeł cherlawy, a rządy nad ludźmi na zawsze utracił.

– Nie wiem, ktoś ty – odparł Mienszykow, – ale już to samo, żeś z Małorusów, nastawia cię do mnie wrogo. Nie lubiłem tej nacji, ścierpieć nie mogłem – wiesz za co? Za waszą hardość! Podobnie jak ja znalazłeś się tutaj, ale ja cóż – poddałem się losowi, a ty nadal bruździsz. I wszędzieście tacy – bodaj na dybach, rusztowaniu czy palu! Wolność hodujecie w waszym niepokornym wnętrzu, a ja ją chciałem w was przytłamsić. Dać wam nieco tej musztry moskiewskiej! Udało mi się poniekąd, aleście się zamknęli przed ordą, nie w smak wam poddaństwo!... Szkoda, że Piotr i ja nie posłuchaliśmy cesarza Józefa: radził przecie, by wszystkich co do nogi Małorusów wyekspediować za Ural, rozproszyć, bo póki są w kupie, nie dadzą się wykorzenić, a ja Małorosję zasiedle kolonistami z Niemiec. I ziemia rodzić będzie jeszcze lepiej, wyżywią się i Niemcy, i Moskale, a po tych krnąbrnych Kozakach śladu nie zostanie!

Wówczas poniosło mnie i krzyknąłem:



– Ale wagonów, wagonów nie mamy!

– A idźże ty ze swoimi wagonami, nie wiem, co to za lichol – ofuknął mnie Mienszykow. – Wiadomo, że nie mamy, nie wywiezie przecie wszystkich chochłów na Syberię w furgonach!

Stateczny Kozak a może pułkownik roześmiał się szczerze:

– Na furgonach to na razie ciebie i mnie wiozę na zesłanie. Jesteśmy dziś równi, z tą jeno różnicą, że ja mam dokąd wrócić po śmierci bodaj pamięcią – na Ukrainę. A po was tu pamięci nie zostanie, boście w swej zachłanności na cudze nie potrafili stworzyć na tych wielkich przestrzeniach ojczyzny dla siebie. Chcieliście więc, by nikt jej nie miał. Chcąc tak porozpraszać zniewolone narody, sami rozpraszcacie się pomiędzy nimi i przepadacie! Tak jak ty sam, jaśnie oświecony książe. Wszystko co ci zostało, to ta piła i siekiera!

– Anim ja książe, ani jaśnie oświecony – odparł Mienszykow raptem przycichając. – Jestem teraz ubogim chłopem, jakim niegdyś się urodziłem. Pan Bóg wywindował mnie na wyżyny próżnej wielkości, a teraz przywróci do pierwotnego stanu. – Książe wzniosł siekierę wysoko ponad głowę i z siłą wbił ją w słupek, do którego furgon był przywiązany. – Tak to! Po raz pierwszy zem się zamachnął nią w stoczni w Saardam u Holendrów i ten rozmach zobaczył Piotr, po raz ostatni – dziś przed tobą. A pomiędzy tymi dwoma zamachnięciami przebiegło moje życie. Za to jakie wspaniałe życie! – wyjęczał Mienszykow i rozpostarł ręce, jak gdyby raz jeszcze próbował pochwycić cały świat w swoje objęcia.

– I to nieprawda – rzekł Kozak czy też pułkownik. – Nie dwa zamachy siekierą wykonałeś w ciągu swego krwawego żywota. Nie odkładałeś jej nigdy. Między tymi zamachnięciami rąbałeś nią głowy ludzkie i za to nigdy nie będzie dla cię przebaczenia... Dziękuj Bogu, żeś wrócił do swojej cieszki. Bo mogły cię karły zamianować czyścicielem w swojej kolonii.

– I to możliwe w naszym państwie – westchnął z pokorą Mienszykow. – Jak to rzekł któryś z angielskich mężów stanu:

imperium moskiewskie to świat niepewności politycznej i materialnych braków. I takim jeszcze długo pozostanie. Bo nie zna prawa imperium nasze i przez to bogatym nigdy zostać nie może: wszystkie jego zasoby zjadają oprycznicy, utrzymujący lud poza prawem i w bojaźni. I mimo wszystko błogosławię tę naszą wielką stodołę, z którą jeszcze liczy się Europa. Bo kim bez niej jesteśmy, kto z nami zechce rozmawiać, gdy to imperium rozpadnie się nagle i podniosą głowę ludy zahartowane w niewoli... To skoro ja, nieznajomy człecz, zgrzeszyłem aż tak ciężko jak powiadasz, to obiecuję przed Bogiem, że tą oto siekierą zbuduję w Bieriozowoje cerkiew i zamodłę w niej swoje grzechy...

– Ani się waż! – potrząsł pięścią Kozak. – Bo piorun roztrzaska świątynię zbudowaną twoimi rękoma! Nie ma dla ciebie przebaczenia za Baturyn.

– Coś ty za jeden, mój wrogu, że tak mnie srodze przeklinasz w mojej ostatniej podróży? – znów bacznie przyjrzał mu się Mienszykow usiłując go sobie przypomnieć

– Jedna z twych niezliczonych ofiar. Długoś mnie trzymał w twierdzy Piotra i Pawła, czekając na okup od mojej żony. Nie dał jej król szwedzki tych stu tysięcy talarów, których się domagałeś. Idę więc na wieczyste zesłanie do Jakucka podobnie jak ty do Bieriezowoje... Widać, że Bóg na mnie łaskaw, bo pozwolił mi na końcu drogi zobaczyć nieprzejednanego wroga mego ludu stratomanego nicością i nędzą jak gadzina na drodze.

– Wojnarowski! – krzyknął Mienszykow wstrząśnięty.

...Tymczasem w czeluściach Wysokiej Mogiły coś zatrzeszczało, zahurgotało, zakrzyczeli grabarze – i naraz wszystko ucichło.

Zerwał się oszołomiony z przestrawu Jermołaj, bezgłośnie poruszył wargami ukazując Epifaniemu otwór w mogile, gestami zachęcając go, by zajrzał do środka. Ale nie ruszył się z miejsca mnich i nie okazał bynajmniej radości. Co z tego, że potopił karty, że zwalili się w otchłań grabarze? Rację miał Siwy Kozak: niekiedy giną skutki, ale pierwsza przyczyna wciąż żyje...

Jermołaj stał jakąś chwilę, wymachiwał rękoma, ale odjęło mu mowę, a gdy sobie zdał sprawę co zaszło, krzyknął: „Biada mi, co powie hrabia Golicyn?!” Obrócił się i pobiegł w step na oślep; w miarę oddalenia małał coraz bardziej i wreszcie znikł w wysokiej trawie stepowej.

Wstał Epifani, by iść dalej swoim pokutnym szlakiem, ale ku wielkiemu zdumieniu ujrzał za garbem mogiły osiodłanego wrognego konia, przy którym siedział Siwy Kozak z nogami założonymi po turecku. Wyjął fajkę z ust i zapytał:

– Co tak zagrzecotało w mogile?

– Moskale zwalili się do piekła.

– Wszyscy? – zabłyśły białe zęby Siwego Kozaka.

– Nie trzeba tak mówić o wszystkich – poprawił go Epifani.

– Nie każdy Moskal jest winien poddaństwa naszych ludzi i zagłady moglił... A tyś uciekł od nich – jak ci się to udało?

– Musiało tak być. Jestem Kozak Mamaj. Zaliś nie poznał mnie dotąd?

– Teraz dopiero, daj ci Boże zdrowie! A czy wszyscy już Mamaje zesli z obrazów?

– Zejdą z płócien w dniu sądu ostatecznego nad imperium.

– Słuchaj Mamaju – rzekł po chwili Epifani. – Kazano mi iść do Kamiańskiej Siczy, bym powstrzymywał Kozaków, co z wielkiej tęsknoty za ziemią ojczystą chcą wrócić w pętlę moskiewską. Ja nie nadążę – pieszo jestem i chory. Ty zaś osiodłaj swego Mamajowego konia, pędź do nich i zapowiedz: hetman Pyłyp Orlik z bólem zranionego serca woła do zaporozców, by nie wracali do ciężkiej niewoli, gdzie znów niszczyć ich będą ogniem i mieczem – niech czekają na zew hetmański do pochodu całej Europy przeciw ludożercom. Pędź Kozacze i wracaj na Ukrainę z zaporozcami, gdy czas nastanie. A ja pójdę szukać duchowej drogi do naszego zmartwychwstania. Bo nie raz jeszcze wrogowie miecz nam z rąk wytrąca. Przeto kuć będziemy inszą, której nikt nie zmoże – broń myśli i ducha...

## Rozdział osiemnasty

Dniepr!

Jedno słowo – i spada z ciebie bielmo niewiary i znużenia, jedno słowo i uzdrawiasz się z ran krzywdy, oczyszczasz z żużlu złości i osłabłemu wracają życiodajne siły i chęć tworzenia.

Skoro masz w duszy to słowo...

Nie w postaci wodnego gościńca dla wojów i kupców, nie w widowisku powodzi chluszczącej z ziemskich upustów z nieokielznaną potęgą, nie w postaci ciemnomodrego bezkresnego przestworu, pełnego światła, barw i gwaru, ale w symbolu naszego jestestwa, wiecznego bytu narodu, jego bogactwa, siły i zdrowia.

Gdyś go nie zgubił, nie zaprzedał, nie przepił, nie wyrzekł się – każdej chwili, wywoławszy w swej duszy ów symbol, zmartwychstajesz jako Łazarz struchlały z niebytu i stajesz się widoczny światu niczym krzyż na kopule cerkiewnej – święty i czysty.

Dniepr...

Rozdzielił się, jednolity i potężny, skoro już dosięgnął stolicy Ukrainy – na rzeki, rzeczki, strumienie i odnogi, jak gdyby umęczony drogą pragnął się zatrzymać; obmywa zielone wyspy, odpoczywa w mszonych sitowiem zalewach, modrzeje spokojną gładzią na łabędzich jeziorach, aż dopadnie zielonych stromizn Peczerska, wyrwie się na przestwór stepowy i błogosławić będą złoty łśnieniem jego niepowstrzymany bieg do morza iglice soborów Ławry i krzyżem zwieńczone banie Wydubeckiego Monasteru.

Epifani wszedł na prom przepuszczając przed sobą gromadę pielgrzymów i przywitał się Imieniem Bożym z przewoźnikiem, bogomódlcami w kruchcie, a jeszcze bardziej ze świętym miejscem, do którego, zgorzony niegdyś grzesznością sytych mniichów, nie wstępował przez wiele lat, ile zaś, nie mógł nawet spamiętać, jeno ze swego odbicia w wodzie, gdy się oparł o poręczę promu, wyczytał, że Chronos odliczył mu już długą kolejkę dni: w zwierciadle wody zobaczył zmęczonego starca z długą brodą,

któremu rychło wypadnie odpowiadać przed Bogiem, ale jeszcze nie dokonał swojego dzieła.

Czy to tutaj, na Wzgórzach Peczerskich, nadejście dlań chwila, w której zdoła powiedzieć światu swoje „obecny” i obwieścić prawdę wycierpianą przez niego samego, czy jeszcze długimi, krętymi i nieznanymi ścieżkami sądzono mu się błąkać, nim się przekona, że to jest prawda?

Gdzież ona jest? Na ostrej klindze Mamajowej szabli czy w ascetycznej kontemplacji ducha, w klasie akademii, gdzie zasiewa się ziarna nauki w umysłach alumnów, czy na kazalnicy wobec wiernych spragnionych oczyszczenia serc; w wolnej ludzkiej gromadzie, gdzie każdy ma prawo do własnej myśli czy we wspólnocie scementowanej posłuszeństwem, w której wszyscy słuchają jednego?

Wszystkie te drogi stoją przed tobą otworem i musisz wybrać jedną z nich w nadziei, że oczyścisz się na niej, i choć znów się zetkniesz z brudem i grzechem, znówu się rozczarujesz – mimo to iść będziesz pokonując przeszkody, bo nigdzie nie ma gładkiej ścieżki do prawdy.

Spojrzyj no. Jedna przebiega obok pięciokondygnacyjnej katedry na Wydubeczyźnie, do której greckiego krzyża Kozak chcący się pomodlić wstępuje i w jednej chwili czuje się rozkuty lekkością architektury, zmartwychwstaje duchowo i odmówiwszy ulotną modlitwę przed ołtarzem Świętej Orędowniczki, zdąża na Sicz, na Wielki Łuh, na Tatarskie Szlaki wywalczać sobie wolnicę, a wywojowawszy ją, nikomu nie zostawi jej w dziedzictwie i zginie z nią razem na polu chwały.

Druga zaś mozolnie pnie się do góry peczerską stromizną do trójnawowego soboru Świętego Mikołaja, co go ufundował Mazepa, surowego i majestatycznego, w którym człowiek czuje się mizerny i zależny – a nuż była to jedynie słuszna droga hetmańskiego samowładztwa, którą torował Mazepa po to, by wolność kozacka mogła zostać przekazana w dziedzictwie i nie roztrwoniona w swarach gębaczy na czarnych radach?

Trzecia zasię wybiega tam z Peczerska Zjazdem Chreszczatycim na Podół, do słynnego gmachu Akademii, również zbudowanego przez Mazepę, skąd car Piotr niczym pijawka wysał najświatlejsze umysły – zali nie trzeba tu dopływu świeżych sił rozumu i ducha ludzkiego?

Trzy drogi – i wszystkie donikąd. Jako że wolnica kozacka dożywa swoich lat na obczyźnie, hetmani z samowładców stali się poplecznikami, uczeni zaś, ci nawet, którzy zostali w domu, nie badają dziejów swego narodu, jeno boski rodowód cara.

Znosi przemożny prąd Dniepru łupinę promu na ukos od przystani, z której biorą początek wszystkie szlaki prócz tego jednego, który musi znaleźć sobie mnich obarczony pokutą.

Uderzył dziób promu o brzeg, wyszli wierni na święty skrawek ziemi i przypadli do niej czołem, jeden zaś uniósł głowę i trącając w ramię Epifaniego rzekł ukazując mu rumowisko czerniejące na pagórku naprzeciw katedry Wniebowzięcia:

– Popatrz na niegodziwą sprawkę Antychrysta. I nie żegnaj się, bo ręka uschnie.

– Co tam było? – z obawą spytał Epifani kudłatego pielgrzyma, w którego oczach taił się cień żałoby. Przypomniał sobie złowieszcze ukontentowanie wilkołaka ze spalonej świątyni i spopieliałych ksiąg.

– Mądrość ludzka, jeszcze przez wielkich książąt spisana. Spalił Antychryst na uczczenie dziesięciolecia połtawskiej wiktorii. ... Poszła z dymem starożytna księżnica z kronikami i pergaminami książąt. Żeby rodowód cesarski liczono ode dnia narodzin Antychrysta.

– Cóż to za Antychryst? – szeptem spytał Epifani.

– Piotr, zali ci nie wiadomo? W dziewiętnastym roku przyszli tu jego wysłannicy w szatach mniszych – i spłonęła świątynia. A złoczyńcy żyją po dziś dzień, i znaki na sobie noszą – ordercy cesarskie.

– Czemuż nie lękasz się mi to wyjawić?

– Masz na sobie Boże podobieństwo...

– Tyś Moskowita – pierwszy raz coś takiego słyszę z ust Moskowity.

– Tak, z Tweru jestem. I co roku przychodzę, by zamodlić grzech pierwородny mojego ludu – mesjanizm.

– Azali to grzech?

– Tak, kiedy mesjaszami głoszą się antychrysty.

– Czemuście więc ukorzyli się przed mocą złego i wolę jego pełnicie od wieków?

– Naród nasz wybrany jest przez Boga.

– Żeby zło czynił?

– Nie chcemy go, ale je wyrządzamy. Niesiemy wszak ludzkości niewolę i niemotę, samiśmy nigdy nie mieli swobody. Boć mesjaszami są u nas antychrysty. Tak zrządził Bóg a my dopełniamy Jego woli. Stąd mesjanizm stał się dla nas i losem, i nieszczęściem. Mnie, Moskowitę, u was nienawidzą, widzę gniew i zawziętość w ludzkich oczach. Ja wszakże nie jestem winien. Ani mój naród... My nic z tych podbojów nie mamy i ujarzmiając obce dziedziny sami się zatracamy. Ze zrabowanego dobra dla nas nie przypadnie ani trzaski. Nawet podbite kraje mają się lepiej, stąd naszemu ciemnemu ludowi zdaje się niekiedy, że niedokradzione u was dobro tym samym myśmy wam przynieśli, i przypisuje sobie miano wyzwoliciela.

– Czemuż to nie ustąpicie z naszego kraju, skoroście sami doszli, że wyrządzacie zło nam i sobie?

– Nie pojmuję – pielgrzym na mnicha spojrział ze zdumieniem. – Jakże to tak – ustąpić? Po co? Przecie los mamy wspólny: społem się męczymy, społem też Boga prosimy, by nas wybawił od antychrystów. My nie możemy być osobno! Rady sobie bez nas nie dacie: nie macie wojska ani urzędów należytych – któż was obroni?

– Przed kim?

– Tam to jest czarna noc! – pielgrzym ukazał dłonią na zachód.

– Czarniejsza niż u was?

– Z piekła rodem!

– Macie tu wóz i przewóz – westchnął Epifani. – U wszystkich was bez wyjątku, nawet u spostrzegających jej zbrodniczość rozbija się rozum o mur mesjańskiej ułudy, gdy tylko wspomnieć o prawie innego narodu do wolności. W tym wasza słabość: przez głód panowania nad cudzą ziemią nie możecie znaleźć własnej. Jesteście jak ślepcy, co po omacku idą wciąż naprzód nie widząc przed sobą horyzontu: nie widzicie, gdzie kończy się wasz, a zaczyna cudzy. Ani przepaści, w którą niechybnie wpadniecie idąc na oślep. Zedrzyjcie bielmo z waszych oczu!

– Nie damy rady. Widać Bóg nas na to przeznaczył...

– Wszystek lud? To być nie może!

– Któż pyta ludu? Mamy cara nad sobą...

Raptem wierni, nie dochodząc do cerkwi Wniebowstąpienia, tej przy dalekich Pieczarach, wszczęli wrzawę i szepty, wreszcie dziwny jak na święte miejsce pomruk przeniósł się nad ciżbą: z przedsionka cerkwi wyszedł wysoki duchowny z siwą kędzierzawą bródką i w białym kołpaku.

– Przecie to archimandryta – ozwał się Epifani do kudłatego pątnika. – Co mają do niego?..

– Judasz – odparł tamten. – To przekłety Alliuj, sługa Antychrysta. On to puścił z dymem skarbnicę starożytności... I starodawne freski w pieczarach kwasem wypalił, by nawet śladu nie było po chwale przodków.

Epifani zauważył na szyi archimandryty nie relikwiarz, lecz order cesarski świętego Andrzeja, sutannę zaś zdobiły generalskie akselbanty.

– Ponawieszal sobie nagród od cara – szeptał pątnik.

Alliuj z odrazą spojrział na pątników w łachmanach, którzy zagroździ mu drogę i półgłosem szemrali:

– Judasz, Judasz, Judasz...

– Zejść z drogi, chamskie nasienie, taka wasza nie taka!  
– warknął dostojnik, przedzierając się przez ciżbę, co rozstępowała



się przed nim nie tyle ze strachu, co z obawy otarcia się o sutannę przeniwiercy.

– I wy idziecie doń się modlić? – zapytał ze zdumieniem Epifani.

– Nie do niego, do Boga... Mnie uczono starego obrządku, bez nowinek\* przeklinam cara-antychrysta i modlę się za swój naród – Ruś jedną i niepodzielną.

„Boże, jak głęboko utkwiał duch ordy w narodzie!” – myślał Epifani wydostając się z tłumu.

Skłonił głowę przed wspaniałością soboru Wniebowzięcia, ale nim zdążył się przeżegnać, nastąpił na płytę granitową i przeraził się czytając na niej imię Wasyla Koczubeja.

– Panie – wyszeptał, – i to także Twój dopust, że na świętym miejscu czczą zdrajców i donosicieli?.. Nie-e, to nie moja świętynia!

I schodzić jął z Peczerska do Zjazdu Chreszczatego, by wyjść na Podół.

...Płytką się zrobiła święta Poczajna, niepozornie umyka w białej pianie do Dniepru, obmywając zbocze Szczekawicy. I myśli, przystanąwszy nad nią, Epifani, że czas, którego tak skąpo udzielił sobie i całemu swemu narodowi, zaczął się nie wówczas, gdy drewniane bałwany zelżone, wyśmiane i wrzucone do rzeki, popłynęły pod urwiskami do dzisiejszej Wydubeczczyzny, gdzie wnucy Dadźboga, spodziewając się jeszcze cudu, błagali bezsilne kołki, by stanęły dęba w wodzie... Czas jego się zaczął, nim ludzie, po raz pierwszy zdawszy sobie sprawę z własnej bezsiły, z cisowych okrągłaków wyciosali bożków na swoje podobieństwo i przypisali im najwyższą moc zbawczą – wcześniej jeszcze – gdy tu rozpękała się ziemia tworząc dwie góry nazwane później Kyseliwską i Szczekawicką, i na równinę, którą z czasem nazwano Podołem, popłynęła czysta łza ziemi.

---

\*Staroobrzędowcy nie uznali reform patriarchy moskiewskiego Nikona (1653-56) wprowadzanych przy poparciu cara Aleksego, ojca Piotra I, którego „nowinki” wzbudziły w nich jeszcze ostrzejszy sprzeciw (tłum.)

Jestem tu odwieczny. Należę do kategorii JEST i pozostanę w niej na zawsze. Nie ma takiej siły na tym świecie, która by zdołała przesunąć mnie i mój naród do kategorii BYŁO, pozbawiając nas perspektywy BĘDZIE. Idziemy w nieustannym pochodzie czasu – dumni, mądrzy mądrością wieków i z Bogiem w sercu, a za nami drepcą, podbiegają i gubią się w niepamięci cienie tyranów.

Stoję twarzą do Dniepru i w sercu wypiastowuję jego obraz, by móc go zabrać ze sobą w daleką drogę, Droga ta zaś niczym obwód pierścienia – nie ma końca, a droga ta – przez każde miasto, wieś, chutor na Ukrainie – poprzez duszę i serce każdego człowieka – i wszystkim im trzeba wsączyć w świadomość, odbić w niej, wyryć wizerunek błogosławionego Dniepru, do którego zbiegły się obie połowy wielkiej przestrzeni Ukrainy, uczepliły się jego brzegów, a dzieci tej ziemi budują przezeń mosty i kładki, i nadciągają z obu stron, by wziąć się za ręce i trzymać mocno – na zawsze w Przyszłości.

Tak było, tak jest i tak będzie.

Za Wzgórzem Podolskim wystrzeliła pod niebo Andrzejowa Góra, na której kiedyś pierwszy powołany apostoł ogłosił dobrą nowinę na górach kijowskich, po lewej stronie – niczym okręt na kotwicy, który codziennie odpływa w rejs do ludzi, stoi Akademia, a wokół niej – cerkwie i monastery, kramy i rynki, i zgromadzenie ludu, i targi, i sprzeczki, i pojednania... Epifani stoi przy starym zegarze słonecznym, wzrok utkwił w kolumnadę Akademii i błaga los, by z niej wyszedł ten, którego on, wątpiący prosi dzisiaj o radę – profesor teologii Antoni Prostyboh, ulubiony nauczyciel i przyjaciel, który umiał nie tylko wierzyć, ale i rozumieć wiarę. Tak potrzebna jest Epifanieniu w tej chwili jego nauka!

Jeno pomyślał, jak z bram Akademii wyszedł audytor klasy metafizyki, porozglądał się, podszedł i rzekł skłaniając się:

– Prosi waści na wykład jego przewielebność Antoni. Raczie iść ze mną.

W klasie było pusto, a może jeno tak się zdało Epifanieniu,

możliwe, że alumni słuchali wykładu, lecz on widział przed sobą jeno nauczyciela głoszącego naukę o drogach prawdy Bożej.

– Ojcie i Panie Przedobry – brzmiał w audytorium znajomy głos profesora Prostyboha – ześlij nam łaskę Świętego Ducha Twego, byśmy wnikając w naukę wyrosli Tobie na chwałę i na pożytek ojczyźnie.

Epifani stając się znów alumnem chwycił jego słowa z uwagą, by na każdy postulat móc odpowiedzieć własnymi słowami.

– Wszystkie dążenia duchowe mają swą cechę teologiczną – ciągnął wątek po modlitwie profesor. – Dlatego przed udaniem się w drogę, chcąc być czystym, musisz pojednać się z bliźnim, któremu wyrządziłeś krzywdę.

„Tych, com ich pokrzywdził, prosiłem o wybaczenie na panichidzie po Mazepie, tam, w Baturynie – odpowiedział w myśli Epifani. – Nie wiem jeno, czy mi wybaczone”.

– Wybór drogi życiowej też jest wyrazem dążeń duchowych człowieka, który zaznawszy cierpienia prosi Boga o nagrodę albo i karę gdy zasłużył. Bóg waży na dokładnej wadze grzechy twe i zasługi, i nie pragnij, by przeważała szala nagrody, nie domagaj się więcej niż ci się należy, bo prawda, którą sobie przypisujesz, może równocześnie stać się fałszem.

„Wezmę nie utyskując com zarobił i pójdę z tym nabytkiem w swoją drogę”.

– Nie bierz na się więcej niż zdołasz udźwignąć, bo każda droga jest długa i igła zaważy więcej niż kamień. Możesz udźwignąć równo tyle, ile udźwignąć potrafi twój lud. Zrozum tę prawdę, że nawet wielki mąż nie jest mocen odmienić nawyków, zwyczajów i nurtu życia w narodzie. Przez nadmierne wszak napinanie woli a podczas i zniechęcenie zdolen jest zakłócić postępek w rozwoju swego narodu i cofnąć go z poziomu cywilizacji do koczownictwa.

„Wnikając w potrzeby duchowe mojego narodu nie zaznam snu ani spoczynku”.

– Nie popadaj w pychę, po wsze czasy mając na uwadze, że jeno wielki naród wydać może z siebie wielkiego męża.

„Naród mój zmałał w niewoli, zaliżby nigdy nie miał zrodzić Zbawiciela?”

– Nigdy wszak nie dopuszczaj do siebie myśli, że twój naród jest mały, sam bowiem przez to odmówisz sobie dalszego wzrostu. Nieokrzesani Rzymianie zetknąwszy się z oświeconymi Hellenami terminować jęli u nich, zdobytą wszak wiedzę spożytkowali jeno dla swoich wybryków. Zali zmałała Hellada z tej racji, że Rzym dobro w zło przemieniając, sam zachłysnął się krwią? Naród maleje wówczas, gdy goniąc za doraźną korzyścią roztrwania swoją duchowość i zrywa z tym co nieprzemijające. Strzeż naród od upadku duchowego.

„Widziałem, jak mój naród wyzbywał się broni i naczyń kościelnych, a chleb podawał najeźdźcy. Czyż można upaść niżej?”

– Naród, co zmałał pod przymusem, a nie z samozadufania, zarozumiałstwa i okrucieństwa, zawsze się zdoła podźwignąć, jeżeli przy tym zwraca swój wzrok ku boskim początkom. Wiara w Boga daje ludziom nadzieję i nie pozwala kłaniać się bożkom ziemskim. Nie można jej ludziom odebrać, podobnie jak nie da się odebrać historii. Nawet wówczas, gdy naród sceptycznie odnosi się do dogmatów kultu, w religii znajdujemy założoną w niej odwieczną zasadę człowieczeństwa wyrażoną w zwyczajach, obrzędach i etyce. Lud bez religii staje się obrazem biblijnego Chama. Nie dajcie diabłu odebrać nam wiary w Boga!

„Boga w ludzie zabijają sami słudzy Kościoła. Słyszałeś przecie Nauczycielu o Allitaju, co puścił z dymem świątynię i księgi, widziałeś pomnik dla zdrajcy postawiony naprzeciw świętego soboru. Wiesz przecie, że patriarcha Konstantynopola Dionizy sprzedał metropolię kijowską patriarsze moskiewskiemu za dwieście czerwonych złotych i sto dwadzieścia skórek sobolich – i otrzymał tę zapłatę z rąk cara-antychrysta”.

– By zabić Boga w zniewolonym ludzie i zburzyć kościół diabeł przywdziewa szaty arcykapłana. Jednakże po zniszczeniu Świątynia zawsze wychodzi cało i znów gromadzi lud wokół siebie, ukazując

światu pierwotną czystość chrześcijaństwa: wartość osoby ludzkiej, będącej nosicielką wiecznego sensu życia – miłości.

„Szukam takiej świątyni, co by nie poniżała człowieka, jeno go wznosiła ku Bogu”.

– Czyż może jednak zbudować świątynię państwo, które ogłosiło jeden naród wybranym i postawiło go nad innymi? Trzeci Rzym – Moskwa uznała się za jedyną ostoję wiary prawosławnej i stawiając państwo ponad kościołem zmusiła pasterzy, by ślepo jej służyli. Co może dać ludziom cerkiew aprobująca pańszczyźniane porządki – oprócz niewoli? Moskiewskie samowładztwo ogłosiło więzienie wszech narodów „królestwem bożym”, stąd nie stało w nim miejsca dla Świątyni.

„Zali mogę nazwać świątynią zgromadzenie, gdzie co dzień przeklina się człowieka, który chciał dać wolność mojemu narodowi? A nuż lepiej powrócić do pogańskiej kąciny, gdzie obchodzą Narodziny Światła na naszej ziemi?”

– Do jakiegokolwiek świątyni, w której nie jest głoszona przemoc nad ludźmi. I do pogańskiej. Owa dawna wiara jednała ludzi z Przyrodą i była doskonała jak stworzenie Boże. Podnieś kamień – i mnie tam znajdziesz; roztnij drzewo – i Ja tam jestem... Jednakże człowiek z świątyni pogańskiej nie mógł dostąpić wyżyny swojego Ducha. Potrzebował Nauczyciela. Skoro wszedł do świątyni chrześcijańskiej, ujrzał jak Nauczyciel schodzi do niego z ikon, jak wychodzi w osobie Jego zastępcy poprzez wrota królewskie, jał przeto błagać, by odsłonił przed nim tajemnice Ducha, pouczał go i przebaczał. Nie mamy dziś prawa wyrzec się tej wiary. Jeno znajdziemy w niej Boga, który błogosławi naszym świętościom i wolności naszej. Zbliźmy się doń, jak to czyni natura, co wytworzyła życie z tęsknoty za Bogiem i odtwarza Go w swych poczynaniach, choć sama nigdy nie zdoła osiągnąć Bożej doskonałości.

„Można dosięgnąć jej słowem Prawdy – wyszeptał Epifani. – jako że Słowo to Boży twór i Ono było na początku. Idę szukać Świątyni, w której tym Bożym narzędziem sławi się Wolność, a nie przeklina”.

## Rozdział dziewiętnasty

Dotarł wreszcie Epifani do granicy przestrzennej swojego świata, nie mającego początku ani końca – zatrzymały go Góry Karpackie, co wypiętrzoną do nieba grzędą odgradziły rozłogi Ukrainy od krain Europy, przesączaając przez siebie jednokonne gościńce i ścieżyny zwierząt, gdzie obcym niesposób było przejść nawałą: przekradając się pod nawisami urwisk, zerkając z obawą w zięjące czeluście leśnych dolin, przedzierając się przez koso-drzewiny i chaszczce – przybysz może się tu zjawić najwyżej jako gość – zasię ze złym zamiarem, jako rabuś, rzadko kiedy zdoła ująć cało z górskich wertepów.

Jęczą zbłąkane w wąwozach wichry, wyją w okowach niczym grzeszne dusze i wyrwać się na wolność nie mają siły; mszczą się na górach oberwaniem chmury, błyskawicami, grzmotami, gradobiciem, góry zaś jeno dudnią zwycięsko, wysforowują się jedna przez drugą z zapadlisk do nieba i żadna nie zda się najwyższa, bo zawsze wypiętrzy się nad nią następna, nie zmogą tych wyżyn wiatry ani ludzie, stoją wierchy Czornohory zakute w pancerze granitowych skał nie do przebicia, w koronach smreków jak dumni ksiączęta.

I co tam dla nich szlaki ordyńców, i co tam dla nich ów lud niepohamowany, któremu za mało miejsca na świecie – każdy tu znalazł zaporę: niepowstrzymany Mongoł – rozbójnik między ludzką powszechnością, i chciwy korony dziki Madziar, Lach zasię podstępny zbyć się nie może obaw dożywając końca panowania nad górskim matecznikiem – nie daj Boże nikomu takiego panowania...

Ech, czemużeście Góry Karpackie nie otoczyły wszystkiej mojej ziemi od południa, wschodu i północy, czemuście stanęły w swoim majestatycznym pochodzie, jak gdyby ze zmęczenia, i nie zagroziłyście szlaków Tatarom, Turkom, Moskowitom, pozostawiając im otwarte bramy do naszej ojcowizny?

Zali was tak zauroczył nie cichnący szum górskich potoków, skwir orłów, tokowanie cietrzewi, śmiech puchaczy czy poszum zielonych świerczków, śmigłych niczym świętojańscy tancerze? Czemuż to, zapatrzone we własną urodę, zapomnieliście, że mój kraj – nie osłonięty, stratowany nawałą – ginie u stóp waszej wyniosłości?

... Tam, gdzie wstrzymuje swój rozpęd stepowy Ukraina, natykając się na zaporę gór, pod ścianami mrocznych borów, rozsypały się mieściny i wioski niczym garście białych kamyków: wciskają się w rozpadliny, jak gdyby kryjąc się przed zawistnym okiem i ukradkiem wspinać się będą pod prąd rzeczulek, dopóki im sił starczy, aż zatrzymają się u źródeł niesfornej Maniawki, za którą dalej już nie ma dróg, jeno ścieżki, a w górskich zakamarkach, wsparty plecyma o nieprzystępne skały, piętrzy się odludny erem przed dwustu laty założony przez mnichów z Halicza, nie zawojowana dotąd przez katolików ostoja ukraińskiego prawosławia, której nie tknęła również ręka carska, nie oczadziła mesjanizmem moskiewskim i nigdy nie brzmiały tu bluźniercze klątwy przeciw bojownikom Wolności.

Ale daleko jeszcze do Maniawskiego Eremu, dokąd i miesiąc, i dwa, i rok cały wędrują zewsząd pątnicy prawosławni po życiodajną wodę czystej wiary, a na tej drodze krzyżowej, na uboczu od miast i wielkich wsi przytuliły się ludzkie siedziby z noclegowiskami, targami i misteriami odpustowymi – zwane Kalwariami.

W Kalwarii pod miasteczkiem Osmołody, co przycupnęło nad chłodną Limpycą u stóp Grofy podniebnej, której wierzchołek, uwolniony z kozucha borów, ciąży nad całą okolicą – przystanął strudzony Epifani.

Z daleka już dobiegła go muzyka niezwyčajna dla ucha – taka gęsta, że nie dawała odsapki pomiędzy taktami, jak gdyby grajkowie śpieszyli się gdzieś, doganiali kogoś czy przed nim uciekali, drobna jak rozsypany mak, którego nikt pozbierać nie ma sposobu, on zaś sypie się i sypie z garnczka, wierci w kółko,

zapełnia wszystek przestwór i dech zapiera; taka ścisła jakby grajkowie mieścili się na krążku miedzianego grajcara i zejść zeń nie mogli, bo dokoła miejsca brak, więc przetaczają się jak perły w kryształowej czarze: szalony pobrzęk cymbałów i skrzypkowe trele, zanosząca się płaczem fujarka i popiskiwanie fletów, a nad tym całym gwarliwym zgiełkiem prym trzyma grzmiący bęben, co ugniata między górami wszystkie te dźwięki niczym bryndzę w beczce i zdusić jej nie może: w niewiarygodnej ciasnocie każdy z nich brzmi oddzielnie przekomarzając się z innymi w dziwnie zestrojonej harmonii.

Słuchał urzeczony Epifani i pojąć nie mógł, do jakiej trafił krainy, że ta rozlewna pieśń stepowa, co przenikała tęsknotą, pieściła ucho, wyciskała łzę i kołysała, nagle rozdrobniła się, posiekała i zawirowała w fajerwerkach dźwięków? Czy tu jeszcze jest Ukraina?

Muzyka nie cichła, była niewyczerpana i wieczna, grajkowie na kolistym skrawku ziemi zrastali się w jeden żywioł ze swoimi instrumentami, statecznie kiwali głowami do taktu i coraz donośniej skalowali dźwięki.

A lud jak gdyby nie słyszał: krzątał się na targowisku; szedł w stronę targu jakby ciągnięty magnesem również Epifani, dopytywał się ciągle, jak się co nazywa, bo takiego kramu nigdzie jeszcze nie widział: były tu kilimy i bieżniki, półkożuszki i zapaski, rzeźbione puzderka i koniki z sera, bryndza i zsiadłe mleko ciągnące się w skopkach, stosy kolb kukurydzy i czarne jagody w beczkach...

Ten i ów przyglądał się towarom, ale na razie nikt nic nie kupował, jak gdyby na coś czekano; przekupnie nawoływali w pieśzczotliwie zachęcającym języku, co wprawdzie był ukraiński, lecz od stepowego różnił się wieloma wyrazami oraz intonacją – cóż to za zakątek, do którego trafił Epifani?

Aż raptem umilkła muzyka jak gdyby z przestrawu: nad kotłina, na pobliskich rozgałęzieniach masywu Grofy pokazali się olbrzymi w długich kozuchach ozdobionych na kołnierzach włóczkowym szamerunkiem, w postołach i wyszywanych kama-



szach, w czarnych kapeluszach z błękitnymi pawimi piórami i ze strzelbami na ramieniu.

Unieśli wysoko do nieba długie trombity, przytknęli je do ust – i zadygotał nad górami tęskliwy zew, długo nie cichnący, a gdy się uspokoił, nad doliną zapadła uroczysta cisza i ludzie oniemieli w oczekiwaniu niespodzianki.

I stało się. Olbrzymi, pozostawiając na ziemi trombity, zeszli ze wzgórz, poskładali strzelby w kozły, wychwycili zza szerokich pasów ciupagi, zczepili je ostrzami ponad głowami, dźwięknęli nimi, aż posypały się iskry i wówczas uderzyła muzyka do tańca.

Olbrzymi ujęli się za bary, jęli rozkręcać koło: zadudniły przytupywania, tancerzy porwała gorączka i barwna obręcz ludzka zawirowała w szaleńczych nawrotach – raz w lewo, raz w prawo – i nie było już widać postaci; obręcz ścisnęła grajków jeszcze bardziej do środka i słychać było jeno okrzyki: „Raz-dwa, przybijże, raz-dwa, jeszcze tak!”

Długo wirował puszczonej w ruch arkan – czyżby olbrzymom obce było znużenie? – lecz naraz ucichła muzyka, jak gdyby zerwały się struny, fujarki popękały z napięcia i złamała się pałka na bębnie; stanęli junacy, pot gradem ściekał im z twarzy, za pas zatknęli siekierki, pozbierali strzelby z kozłów i ruszyli z targowiska nie czekając podzięk, jak gdyby wykonali tu swój obowiązek, uradowali swojaków tańcem, a teraz mają ważniejsze zadanie – idą na wroga.

Zatrzymał ich Epifani wyciągając ręce przed siebie:

- Coście za jedni: Czesi, Madziary, Wołosi czy diabły?
- Opryszki, ojcie święty! – odpowiedzieli chórem.
- Prawosławni, katolicy, protestanci czy poganie?
- Ukraińcy, ojcie!

Epifani ze zdumieniem i zachwytem odprowadzał wzrokiem opryszków, którzy gubili się w modrości wąwozu, lecz miast radości nurtowała go rozterka. Czy to przez myśl, że nad Dnieprem zanikła rycerska fantazja i Kozacy zmienili się w pańszczyźnianych hreczkosiejów, czy przez inną, co naszła go w tej

chwili właśnie – że oto podzieliła się Ukraina na dwie, albo więcej części, i każda z czasem znać będzie jeno swój skrawek ziemi i swoje życie na nim – gdzieś będzie łatwiej pędzić życie w jarzmie, a gdzieś trudniej, lecz w pojedynkę wolności nikt nie zdobędzie i niechybnie nadejdzie pora, gdy zapatrzeni w siebie, ufni w swoje piękno i siłę zmaleją również opryszkowie, nie widząc szerokiej przestrzeni – olbrzymi bowiem wyrastać mogą jeno na Wielkiej Ziemi.

Lud zasię na targowisku już inną znalazł sobie rozrywkę: ciasnym kołem otoczono osobliwego dlań i nie oglądanego snadź w tych stronach muzykanta, który siedział z podwiniętymi nogami i przebierał palcami na wielostrunnym muzycznym naczyniu. Nad nim pochylił łeb dziarski gniadosz; siwy czub zwisał muzykantowi z ciemienia, zaczepiony za ucho; muzykant miał na sobie czerwony żupan, oczy przymrużył, nie widział więc Epifani wzroku bandurzysty, surowego i pełnego godności, nie mógł się upewnić, czy to nie ten sam siwy Kozak Mamaj, którego był posłał w imieniu Pyłtypa Orlika do Siczy Kamiańskiej.

Stali ludziska zasłuchani w przedziwne przesyptywanie się brzmień bandury i niegłośnie recitativo, przypominające modlitwę żalobną:

– Hej, w tureckiej obcej stronie nad modrym morzem i na białym kamieniu siedzi ostatni hetman Ukrainy, imieniem Orła nazwany, ślōzy rześiste przelewa i takimi słowy uskarża się i narzeka:

„Moi wielce łaskawi przyjaciele i bracia, panie atamanie koszowy i całe Towarzystwo Niżowe! Przebywając w odległych od waszmościów krainach odebrałem tę wieść niepomyślną, żeście waszmościowie dobrzy mołojcy przysięgę swą zapomnieli – krwi ostatniej nie żałować, dopokąd nie będziecie do swych pierwotnych praw i swobód przywróceni i od nieznośnego jarzma moskiewskiego oswobodzeni. Teraz, gdy czas nastał na przysięgi tej spełnienie, gdy król francuski w sojuszu z hiszpańskim królem wojnę słuszną wypowiedział, gdy wojsko polskie z litewskim na

koń przeciw Moskwie wsiadło, daliście się waszmościowie dobrzy mołojcy zwieść moskiewskimi chytrymi obiecankami...”

Poznał wreszcie Epifani siwego Kozaka Mamaja, precyzyjnie się między ludźmi, pochylił nad bandurzystą, dłonią strun dotknął i potrząsnął go za ramię.

– Spóźniłeś się?

– Poznaję cię, nie patrząc, Ojczy Epifani... Nie jam się spóźnił, jeno świetlanej pamięci hetman Mazepa późno swą prawdę powiedział narodowi. Zaliż nie wiedział, że do walki lud przygotować trzeba? Po co ich zbudził na ostatnią chwilę i zaspanych przed wrogiem postawił?.. Słuchajcie, ludzie z gór, strzelby jeszcze macie załadowane, nie dajcie się omamić jak ci Kozacy kamiańscy... Cóż odpowiedział Orlikowi ataman koszowy Myłaszewicz, w małości swojej nikczemny, niegodzien zmarłemu Hordijence nogi całować: „Od chańskiej wysokości musimy się oddzielić, bośmy krzywd wielkich od Tatar zaznali. I nie raczcie już więcej pisać do nas, bośmy już wierni służy jego cesarskiej wysokości”.

Utarł skąpą łzę Kozak Mamaj i znów popłynęła modlitwa żałosna:

– I zapłakał w obcej stronie bisurmańskiej ostatni hetman Ukrainy imieniem Orła nazwany: „Zali uszło z pamięci waszmościów, jak przy zdobywaniu Sycy w roku tysiąc siedemset dziewiątym Moskwa Kozakom głowy ścinała? Tak po zakończeniu wojny z waszmościami cóż się stanie?”

– Rodacy, opryszkowie wolność miłujący! – zawołał Siwy Kozak, zerwał się na nogi i uniósł nad głowę bandurę. – Jeszcze wolności nikt nie wyprosił, wolność jest na ostrzu szabli!

Przewiesił bandurę przez plecy, podszedł po omacku do konia, ujął uzdeczkę, wsadził nogę w strzemię, dosiadł gniadosza i poklepał go po szyi.

– Pędźmy, wierny towarzyszu, przez górskie wąwozy. Albo wolność zdobędę, albo w domu nie będę!

– Któż cię oślepił, Kozacze? – spytał Epifani i zatrzymał rączego rumaka.

– Nierozeznanie, ojczcie. Oślepli wszyscy... Zaliżby oni, bracia moi niżowi, mając oczy, powrócili pod jarzmo?

– Obca strona to też jarzmo, Gdy człek chce wrócić do ojczystych progów, to i polityka zda się błaha... Nieszczęście nasze tkwi nie tylko w niewoli, ale i w miłości do kraju ojczystego. Straciłeś wiarę Mamaju?

– Nie daję przystępu zniechęceniu. Póki bodaj jeden załadowany muszkiet w ręku rycerza pozostał – wolność jeszcze nie przegrana. A ja mam wzrok, bo moja pieśń widzi daleko.

– Dokądże zmierzasz?

– Do opryszków. Poprowadzę ich z gór do boju w stepie... Na Poharze za Maniawą czekają na mnie. A po drodze do eremu wstąpię, pokłonię się prochom hetmana Wyhowskiego, który pierwszy wznosił szablę na pazerną Moskwę. Niech jego duch nas błogosławi na walkę z ordą.

– W eremie pochowano hetmana?

– W eremie. Powiedziała mi o tym żona Pyłypa Orlika, która w Stanisławowie dni swoich dożywa w samotności... W cerkwi Wniebowstąpienia przy Eremie Maniawskim stoi grobowiec hetmański jedyny na Ukrainie. Rozrzucili wrogowie kości Bohdana i Iwana – nie masz cmentarza na Ukrainie. A bez mogił ojcowskich lud ginie... Chwalić Boga, że bodaj w tym zakątku ziemi ukraińskiej pamięć nasza przechować się zdoła. Pójdziemy przeto od mogiły hetmańskiej – na wyprawę.

– I zdołacie dojść do krańca Ukrainy?

– Z szablą i pieśnią, ze słowem i wiarą!

– Niech was Bóg prowadzi – przeżegnał Kozaka Epifani i ruszył dalej. Stał jednak i wrócił. – Zaprowadzę cię do Maniawskiego Eremu, bo sam tam zmierzam. Chcę znaleźć dla się prawosławną świątynię, w której nie przeklinano jeszcze ukraińskiej wolności.

– Zaliś tego pewien? Mówiła mi pani Hanna Orlikowa w Stanisławowie, gdym wypytywał o drogę do Maniawy, że ihumen eremu pobiera od carowej co rok trzysta rubli... O wol-

ność Ukrainy możesz się pomodlić i w świątyni unickiej – Bóg jeden nad wszystkimi.

Nie odpowiedział na to nic Epifani, milczał też Siwy Kozak, ale mnich w wyobraźni swojej posłyszał takie słowa dialogu pomiędzy sobą i Mamajem

„Obca mi jest unia, Kozacze...”

„Jej by i tu nie dochowano, gdyby nie lęk przed Moskwą, co i wiarę ludziom odbiera, i pastwi się nad nią. Unia to krzyk przeciw duchowej niewoli moskiewskiej”.

„Wiem... Pojmę i to, choć niekiedy zda mi się ono bluźnierstwem: gdyby po Ugodzie Hadziackiej Ukraina pozostała w składzie polsko-litewskiej wspólnoty, jeno z własnymi prawami, jużbyśmy przy osłabionej kolejami losów Polsce wyrosli na wielką w Europie potencję... Czemuż to my jednakże wiecznie szukać musimy protekcji u mocniejszego sąsiada?”

„Nie my jedni. Każdy naród, który bronić się musi, wypatruje mocnego sojusznika. Czyżby nam ktoś takie prawo odebrał? Z jakiejż to racji każdy chce nas poniżyć oskarżeniem o wysługiwanie się i kłanianie możliwym? Nasza to rzecz, gdzie szukać sojuszników! Nasza! Moskwa zaś lży kogo jej wygodniej: nie Bohdana, lecz Wyhowskiego, nie Brzuchowieckiego lecz Mazepę! Kogóż prócz nas to może obchodzić?.. Wiara prawosławna! Święta była dla Ukrainy, pókiśmy ją mieli dla siebie. Hej, gdybyż to nasz naród przyjął unię za Mazepy, nie mielibyśmy teraz prawowania z synodem moskiewskim!.. A Iwan Wyhowski, będący w duszy grekokatolikiem, chciał wraz ze swym kanclerzem Jurijem Niemiryczem stworzyć Wielkie Księstwo Ruskie – w sercu Europy...”

„Pomódlmy się na jego grobie”.

Epifani prowadził Mamajowego konia za uzdeczkę, coraz ściślej otaczały ich góry i zwierzały się nad nimi wierzchołki smreków.

Zagłębiając się w siebie, sercem pojmował czerniec jedynie słuszną prawdę: wszystkie wyznania muszą się szanować nawzajem, boć wyznają jedyne Boga i jedyne Ducha, co się

wciela w materii. Walka między prawosławnymi jest bezsensowna i występna, bo wiedzie do rozłamu w ludziach. Najwyższemu zaś Duchowi obojętne są obrzędy, z których pomocą wierzący przybliżają się do prawdy, Nie może być wrogości nie tylko między chrześcijanami różnych obrządków, ale i między religiami, bo i Żydzi, i muzułmanie, i buddyści jednakowo pragną wyżyny ducha... To skoro możni tego świata podporządkowują sobie religię – czyż może być ona sprawiedliwa? Czyż jest to przejaw działania Bożego, gdy katolicy zabijają prawosławnych, a prawosławni katolików? Gdy archimandryta prawosławny Alliułuj pali prawosławne księgi dlatego jeno, że należą one do Ukrainy, a nie do Moskwy? Gdy polscy katolicy łamią krzyże w katolickich ołtarzach ukraińskich i wyrzucają mnichów z monasterów?.. Najwyższą prawdę mówili opryszkowie: aniśmy katolicy, ani prawosławni, ani protestanci, ani poganie – Ukraińcy! Dlatego też chcę się pomodlić w prawosławnej świątyni na grobie katolickiego hetmana...

Dalej drogę zastąpiły im góry. Ze wschodu na południe – od wyniosłości Kaniuka aż do Poharu – rozciągnął się grzbiet, który mogli przebrnąć jedynie ścieżkami dzikiego zwierza, nieopodal zaś wsi Krasnopola przycupnąwszy w dolinie nad gwarliwą Maniawką jak gdyby łokciami oparł się o stoki gór cichy monaster.

Wysoki mur ogradzał święte miejsce – niedostępną warownię, pozostawiając dla wchodzących wąską furtę okutą żelazem.

Siwy Kozak zeskoczył z konia. Epifani zakołatał.

– Prawosławni? – dało się słyszeć z dziedzińca.

– Prawosławni.

Zaskrzypiała furta, stary czerniec w ostrokończystym kłobuku skinął:

– Wchodźcie... Służbę Bożą odprawia się w cerkwi Wniebowstąpienia.

Cerkiewka była mała, kapliczka raczej, mieściło się w niej wszystkiego kilkudziesięciu wiernych, którzy na klęczkach bili pokłony. Miniaturowy ikonostas tchnął pradawnością – pamiętał

zapewne Hioba Kniahynickiego, założyciela eremu; uświetniały świątynię krucyfiksy, na których cierpieli męczennicy z twarzami opryszków; do Grobu Pańskiego, ozdobionego huculską snycerką przypadała na ikonie Matka Boska w kozuszkach i malowanej chuście. A nad wszystkim w górze modrzała bania, która nie miała dna i łączyła się z niebem.

Siwy Kozak opuścił powieki na bielma; złożywszy dłonie, wznosił je do góry i niemo przywoływał pomstę na wrogów – inaczej się modlić nie potrafił... Epifani piastując w duszy nie zaznaną dotychczas błogość i przeczuwając kres własnej pokuty wyszeptał:

– To moja świątynia...

Schylił głowę w pokłonie i ujrzał przed sobą płytę kamienną z napisem „Hetman Iwan Wyhowski ze wsi Ruda koło Stryja”. Płyta była przejrzysta, przezierało przez nią zasępienie oblicze hetmana znane z kozackiej litografii. Epifani wywołał go, rozstrzelanego przez Polaków pod Korsuniem, z niebytu, wskrzeszał szamocącego się w zmaganiach o wolność pomiędzy dwiema wrogimi potencjami i usprawiedliwiał: „Nie, nie godziło ci się iść z Moskwą. Ta, która zdobywała wiedzę o państwie w niewoli u Mongołów, nie rozumie ducha ludzi wolnych. I dziś nie rozumie. Może nastaną czasy, gdy lud moskiewski strząśnie z siebie to diabelskie nawiedzenie wyższością i brak poszanowania dla narodów, które sobie podporządkował... Może będziemy kiedyś handlować – wytworami rąk własnych, wymieniać książki i dzieła sztuki, ale stanie się to dopiero wtedy, gdy wytrawi się z naszej historii nawet ślad zhołdowania Bohdana w Perejasławiu i pojma Moskowici jak długo i daremnie byli narzędziem przemocy w ręku obłąkanych samowładców... Tyś pierwszy wystąpił przeciw nierównoprawnej umowie i za to doczekałeś nagrody: spoczywasz na skrawku ziemi ukraińskiej, gdzie jeszcze naród opiera się zniewoleniu. I niech twa ostatnia przystań będzie świątynią mej duszy”.

Kapłan odprawiał Służbę Bożą, język modlitw był bliski ukraińskiemu, co przydawało mu odświętności i namaszczenia.

Epifani wpatrywał się w płytę nagrobka i widział już przez nią nie oblicze Wyhowskiego, lecz zapędzonego na obczyzną turecką Pyłypa Orlika, mówiącego:

„Zadałem ci, ojcze, pokutę i odprawiłeś ją docierając do początków naszych odwiecznych zmagañ. Jużeś wolny od swego grzechu. Ale jeszcze nie jest odeń wolny nasz naród. Przeto stając się czysty jako gołąb idź pomiędzy ludzi i nawracaj ich słowem – ku prawdzie. Zostawił cię tu Mamaj, już ci nie towarzyszy. Słyszysz, jak od Grofy do Poharu rozbrzmiewa hasło: „Dó broni!” Ale broń już sprzedano, złożono w nowej i ostatniej Siczy pode wsią Pokrowskie do stóp ordzie, co nadal gotowa jest nas gubić w imię szaleńczej idei panowania nad światem i nigdy nie zapragnie odkupić tego, co wyrządziła... Nie słyszy nasz naród wołania z gór, idź przeto go budzić. Powracaj na łono macierzy serca ludzkie zniewolone przez ordę – ale nie siłą, nie krzykiem, nie sprawianiem ujmy: dusze zbolate i zahukane ogrzej mądrym i łagodnym słowem. Weź moje Prawo i zachodź z nim do każdego domu, lepianki, szałas, głoś dumę ze swojego kraju, z jego ofiarnego pragnienia wolności, z dobroci dla bliźnich, z godności własnej, a ujrawszy w umyśle swym każdego człeka na Ukrainie i każdego przygarniając do serca przekonasz się, że nie tak już wielu wśród nas sługosów i janczarów... Stoję na pogorzelsku Siczy Zaporoskiej nad rzeczką Kamianką, modłę się nad grobem rycerza Wolności – Kostia Hordijenki i płaczę nad losem mojego ufnego i nie patrzącego w dal narodu...

Nagle posłyszał Epifani, jak z ust kapłana stojącego w bramie królewskiej rozległy się tamte bluźniercze słowa naigrawające się z wiernych pochylonych w pokłonach, z rozjaśnionej myśli Epifaniego, z opryszków wiszących na krzyżach, z Matki Boskiej w kożuszku, pochylonej nad trumną wyrzeźbioną w huculskie wzory:

– Przewielebni i noszący Boga ojcowie nasi, pasterze i nauczyciele powszechni, módlcie się za nas grzesznych... Najświętszą opiekunkę carową Annę i wszystkich nas prawosławnych chrześ-



cijan niechaj wspomni Pan Bóg w królestwie swoim teraz i zawsze i na wieki wieków!

Ale nie zdążył jeszcze lud pielgrzymi wyśpiewać „amen”, jak duchowny śpiesząc się i wstydząc słów swoich wyběbnił:

Iwaśce Mazepie, nienawidzącemu ludzi, zdrajcy i sprzedawcykowi Chrystusa – anathema!

I lud pobożny nie rozumiejąc wagi słów powtórzył jak echo przekleństwo.

Pociemniało w cerkwi jak w więzieniu, przyćmiło świece, wysoka bania opuściła się na posadzkę i przygniotła modlących.

Wybiegł Epifani z murów eremu słysząc, jak puchacz po górach chichoce szyderczym śmiechem Mamaja:

– No cóż, odkupiłeś swoją łagodną pokutą grzech ludu, świętobliwcze?! Budzisz go słowem gołębim – a tu trzeba by go przypalić rozżarzoną żelazem!.. Hej, bracia opryski, nabijajcie strzelby – wolność wszak rodzi się u wylotu lufy!

– Nie moja to świątynia, nie moja! – wyszlochał Epifani.

## Rozdział dwudziesty

Wspiął się na szczyt najwyższy pośród gór dookolnych – zali to była iglica Grofy czy Poharu, a może i Czuhajskiej Góry, co się przemieściła na skraj ziemi ukraińskiej i ujrzał stamtąd wszystką swą ziemię spętana od Prypeci aż po Morze Czarne, od Prutu aż do Łopani, otoczona wysokimi murami więzienia.

Wiatr pędził mroźne kłęby, niebo zasnuło się śnieżnymi kominami chmur, ciało przemarzało do kości, jednakże duszę rozgrzewała niewidzialna obecność Łabędzicy-Motri, co znowu go wyprowadziła na iglicę wysokości ducha, żeby raz jeszcze ujrzał swą Ukrainę uwiecznioną w wielkości jej i cierpieniu.

– Zapisz, coś widział, w swojej Dobrej Nowinie – posłyszał głos swojej białej duszy. – Wszystko coś widział i słyszał, i co według niej się stanie. Tyś jeden wyszedł cało – ciałem i duchem

– z Har-Magedonu, mianuję cię przeto Mesjaszem mającym podźwignąć krzyż za swój naród. Gdzież jest twój krzyż?

Urzał u swoich stóp siekierkę opryszka, a tuż obok rósł równo niczym świeca smrek gotów zostać krzyżem. Zrąbał go i krzyż ciosał, krew ze spekanych odcisków kapała na zrównywaną kłodę – zdało się to zapowiedzią męczeństwa, znów odczuł lęk przed bólem fizycznym i wyszeptał:

„Boże, Boże, jeżeli można, niech mnie ominie ten kielich... Wybacz mi Jezu, ale jeżeli Ciebie przenikał lęk, to czemuż ja miałbym się nie bać?”

„Chrystus wszak dał się ukrzyżować” – usłyszał odpowiedź Łabędzicy.

„Nie miał innej drogi, był pod konwojem setników.”

„Miał inną – mógł się wyrzec swojej nauki”.

„To jeszcze straszniejsza śmierć”.

„Szukaj więc mąk odkupienia dla siebie, a nie wybawienia od nich”.

„Ileż ich mamy jeszcze przed sobą? Naród umęczył się i zdesperował: oto idą opryszki wawozem ze strzelbami i ciupagami, prowadzi ich ślepiec nie widzący drogi, i błogosławią ich umęczeni ludzie, choć wiedzą, że nie wrócą zwycięzcami z wyprawy.”

„Ich wszakże błogosławią... Czemuż to nikt nie widział mojego bohaterstwa i męki?”

„A czemuż to Żydzi dali wolność Barabaszowi, zabójcy setnika, a nie Chrystusowi, który przewidział to co się stanie? Bo nie umieli zobaczyć tego co widział Jezus, Barabasz zaś dokonał rzeczy widzialnej, dającej chwilę ulgi. Ale nie wolność. Droga do niej biegnie poprzez cierpienia i krzyżami się znaczy; nauka wolności jest długa, trudna i bez blasku. Czemuż to, przyjmując w milczeniu jarzmo, kryłeś się przed sobą i przed ludźmi, po drodze zaś do wolności sławy ci się zachciało?”

„Czy to ja jeden nakładałem sobie jarzmo w milczeniu? Czemuż mam pokutować za wszystkich?”

„Ktoś pierwszy musi zakosztować słodkiego smaku omdłałości, gdy zeń wycieczce ordyńska posoka. To będziesz ty!”

„Zalim dojrzał do tego, by umrzeć na Golgocie? I czy wyrosła ona już u nas?”

„Golgota dawno już czeka na ciebie. Tyś sam dopomógł usypać ją w Baturynie. Idź tam niosąc krzyż, ale po drodze zajrzyj do każdego domostwa i powiedz ludziom słowo prawdy z hetmańskiego Prawa, którym już dawno opasał ducha twego i serce. Wyjmij pergamin – czas nadszedł! A po przebyciu drogi krzyżowej postaw krzyż na baturyńskim pogorzelsku, wyznaj swój grzech narodowi i daj się przybić. Wtedy dopiero na miejscu hańby się wzniesie prawdziwa czysta Świątynia, której dotąd szukałeś nadaremnie, bo nie kto inny, jeno ty sam pokalałeś swym grzechem nasze świętości. Dziś lamentujesz wszędzie: „To nie moja świątynia!”, a któż temu winien, że w świątyniach przeklinana jest Wolność? Ty, boś nie walczył o nią. Ty, któryś niczym to było w rzeźni, patrzył na śmierć swoich braci i nie wydał głosu!.. Idź. Oto przed tobą przybytek Boży ze zgromadzonym ludem – Ukraina. To twa świątynia, w której zatkniesz krzyż uświęcony twoją krwią skruszoną.”

„Idę.”

„Poczekaj. Oto dostrzegasz na dalekim urwisku – fortece, mury i wieże. To stolica wielkiej jawnogrzesznicy dzisiejszego świata – Trzeciego Rzymu. To metropolia naszego strasznego imperium. Żadnemu narodowi, a także i moskiewskiemu nie jest potrzebne jej istnienie. Jeno władcy je utrzymują dla swojej władzy. Przeto pewnego dnia spadnie na nią kara i nikt nie będzie jej ratować. I westchną z ulgą narody, ujrzą gruzi imperium, ujrzą nowe ziemie i morza, i zakwitnie uśmiech na twarzach ludzi, a ziemia zaszumi pełnymi kłosami”.

Przez całą dobę, nie mającą wymiaru w czasie, sporządzał Epifani krzyż. Krew sączyła się z jego dłoni, serce zaś opływało olejem; przy tym zajęciu wchłaniał harmonię brzmień Natury, boski chorał muzyki kosmosu i zastanawiał się, czemuż tego

wcześniej nie słyszał? Aż pojął, że ładu w Przyrodzie nie zakłócało już wycie wilkołaka, zwierz zdechł w jego sercu – Bóg przyjął pokutę.

Postawił w pionie krzyż, który wierzchołkiem dosięgał nieba, a wówczas wypadły z wiszących nad krajem chmur błyskawice, uderzyły pioruny, zatrzęsła się ziemia i ujrzał mnich, jak runęły mury warowne otaczające zewsząd Ukrainę; ze wszech stron wylał się niczym powódź na ziemię błękit wiosenny, wysklepiło się czystą kopułą niebo i odbiło się w rzekach i jeziorach. Z łoskotem waliło się więzienie i znikło w czeluściach ziemi, a na brzeg Dniepru wypadł pęk czarnych kluczy więziennych, które staną się kluczami Świątyni.

Wyruszył z gór Epifani, aby je podnieść. Szedł dniami i nocami z krzyżem na grzbiecie i ogłaszał Jerozolimie, że kończą się jej cierpienia. Pokonywał czwartą ze wskazanych mu w Ławrze Peczerskiej dróg do Świątyni – z obrazem Dniepru w sercu.

A gdy się utrudził i pierwszy raz upadł pod krzyżem, zwątpił w celowość swojej ofiary.

„A czy zmartwychwstanę?”

„A czyż Jezus pocieszał się zmartwychwstaniem? – posłyszał znowu głos białej duszy swojej – Łabędzicy. – Łączył jedynie swoją nieśmiertelność po spełnieniu ofiary ze zmartwychwstaniem ludu”.

„Ale przecież nie widzi, nie widzi lud mojej drogi krzyżowej, nie odzyskuje wzroku i ja ginę daremnie, niewidoczny w ciemności... Gdzież ci Kozacy, którzy z tego samego strachu, który mnie opanował, nie poszli za Mazepą, gdzie starszyzna, która dla spokojnego życia w niewoli zdradziła hetmana, gdzie zaporozcy, którzy sprzedali broń, prości ludzie, którzy podali chleb najeźdźcy, służalcy, co przepili kielich cerkiewny? Gdzież są, dlaczego nie przychodzą na drogę krzyżową?”

Epifani szedł i upadał z wycieńczenia, a gdy przygniótł go krzyż po raz setny, przyłgnał twarzą do ziemi i nagle usłyszał, jak w głębi huczy ona dzwonami cerkwi – potężnie i uroczyście,

żałobnie i wielkanocnie zarazem – cała ziemia budziła się na wezwanie do pochodu.

Mnich podniósł się i zawołał:

– Wychodźcie ludzie na drogę krzyżową, bo zastanie was Sąd Ostateczny śpiącymi i słońce Wolności nie rozklei waszych powiek!

Wówczas dzwon wyrwał się z podziemnej cieśni na świat Boży uroczystym hejnałem, ludzie jęli wychodzić z kryjówek na jego wołanie i coraz więcej ich powstawało ze snu; przerażeni odzyskiwali spokój, wątpiącym przybywało wiary, niewidomi odzyskiwali wzrok; ludu stawało się pełno, mnożył się w tysiące i miliony, droga krzyżowa szła w górę Dniepru, Epifani podźwignęły czarne klucze więzienia, które się stały kluczami do Świątyni i krocząc głosił słowa hetmańskiego Prawa, a lud powtarzał je za nim niczym alumni teologii prawdy wiary; nad milionami głów płynęła z dalekiego kraju okryta kitajką trumna Mazepy, która znajdzie dla siebie miejsce w dzwonnicy baturyńskiej obok niewinnie uśmierconych dzieci i stanie się ta dzwonnica Świątynią i sercem Ukrainy.

– Łabędzico – Motriu, Łabędzico – Motriu! – wyszeptał Epifani, stawiając krzyż na zgliszczach Baturyna. – Ukaż mi się, przygarnij mnie, biała duszo moja, odnalazłem Świątynię!

\* \* \*

Epifani otworzył oczy: nad Sejmem dniało. Spływały z prądem ostatnie krwawe pasma, czarna kurzawa powoli opadała na łąki, przytłumiając zieleń, dopalały się ostatnie głównie na rumowisku Baturyna.

Na kamieniu przy Epifaniam siedziała w czarnej chuście Motria Koczubejówna. Smutnymi oczyma spoglądała na mnicha, głaskała go dłońmi po twarzy, uspokajała go i błagała:

– Dopędziłam cię... Powiedz, grzeszny ojczu, odstoń tajemnicę ostatniej spowiedzi Mazepy, musiał ci powiedzieć jakieś słowa o mnie. Tak mi są potrzebne przed daleką podróżą...

Rozpoznał Motrię, a w niej Łabędzicę, która mu się była przyśniła, przypomniał sobie wszystko co zaszło i odpowiedział:

– Tajemnicę spowiedzi? Tak, tak... Hetman przekazał mi dla ciebie listki nieśmiertelnika, oto one... I mówił: „Błogosławiła mnie do wielkiego czynu”. Więcej nic nie powiedziała... Niech nie zapomni Pan twojego błogosławieństwa w przyszłych pokoleniach...

– Dzięki ci – wypowiedziała Motria.

Epifani siedział przy Łabędzicy na kamieniu, miast krzyża trzymał kostur w ręku. Naraz dał się słyszeć jęk – obejrzelili się oboje. Nieopodal, nad samym Sejmem, konał Kozak wbity na pal. Siwy czub opadł mu na twarz jak chwość pułkownikowskiego buńczuka, Kozak wyjęczał:

– A bo to ja Mesjasz, że ginę za ocalenie narodu? Powiedz mi, czcigodny ojczy... A skoro tak, to zapisz w swojej dobrej nowinie moje męki i bądź moim pierwszym powołanym apostołem...

Wstali. Motria oparła dłoń na ramieniu Epifaniego, on wsparł się na krzywuli; długo wpatrywał się mnich w twarz zamęczonego Kozaka, usiłował sobie przypomnieć, gdzie to go widział; później oboje się przeżegnali i pomodlili za wieczny odpoczynek duszy Kozaka i ruszyli w dół brzegiem Sejmu, by iść od wsi do wsi, od miasta do miasta i milcząc zaglądać w twarze ludziom – a nuż ktoś poda kawałek chleba.

Zmiłuj się nad nami Boże w wielkiej łaskawości Twojej!..

Lwów-Kijów 1989-91



## POSŁOWIE

Za białego, a o ileż bardziej za czerwonego caratu Ukraina stanowiła pilnie strzeżony rewir ideologicznych polowań imperium. Odstrzałowi podlegali ludzie, książki, idee, świadectwa historyczne, a nawet aluzje do tych świadectw. Bez ograniczeń wolno było bluzgać na Lachów i nacjonalistów ukraińskich. Do tematów tabu należała widoczna gołym okiem rusyfikacja, tasowanie elit politycznych, kolejne fazy terroru i głodu, jakie przewały się przez jeden z najżyźniejszych zakątków kuli ziemskiej.

A przecież istniał język, istniał naród wraz ze swoją historią i musiała też istnieć literatura. Trudno nam w dzisiejszych polskich warunkach wyobrazić sobie cenę tego istnienia u sąsiadów, ich wielofrontową codzienną walkę o zachowanie godności i tożsamości.

Z jaką furją wściekłości przyjmowała urzędowa krytyka „Sobór” Ołesia Honczara, „Internacjonalizm czy rusyfikację” Iwana Dziuby, czy też „Malwy” samego Iwanyczuka... To jeszcze pół biedy – krytyka. Ale w jej wyniku Iwan Dziuba, dziś minister kultury, odsiedział swoje w obozie, a w republice Komi we wrześniu 1985 zmarł w obozowym karczerze jeden z największych poetów dzisiejszej Ukrainy – Wasyl Stus. Było to tak niedawno, a kto u nas o tym pamięta?

Roman Iwanyczuk, syn wiejskiego nauczyciela, urodzony 27 maja 1929 roku we wsi Tracze pod Kosowem na Huculszczyźnie, nie miał łatwej młodości. Były to tereny szczególnego nasilenia



walk UPA i z tego tytułu podlegały wielokrotnym represjom i penetracjom KGB. Dzisiaj ten deputowany do parlamentu Ukrainy i przewodniczący towarzystwa „Proswita” w wydanej ostatnio fascynującej księdze wspomnień „Błogosłowy dusze moja Hospoda...” pisze o swoim „chodzeniu po ostrzu brzytwy”. Mimo piętrzących się przeszkód uparcie wykonywał swój plan życiowy pisząc barwne a nieskłamane powieści historyczne, z których każda była historiozoficzną metaforą, wielką Ezopową przypowieścią, zrozumiałą dla odbiorców, mniej dla cenzury.

Nie miejsce tu na wyliczanie ich wszystkich, a jest ich sporo. Warto jedynie zaznaczyć, że wzmiankowane „Małwy” (dzisiaj wznowione pod zakazanym tytułem „Janczarzy”) w swoim czasie przełożone zostały na język polski, ale nie doczekały się publikacji, jako że komuś bardzo się nie podobały... a nuż dzisiaj ciekawość polskiego czytelnika przemoże te opory?

*Jerzy Litwiniuk*

# SPIS TREŚCI

Słowo od tłumacza . . . . .	7
-----------------------------	---

## HAR-MAGEDON

Rozdział pierwszy . . . . .	7
Rozdział drugi . . . . .	17
Rozdział trzeci . . . . .	31
Rozdział czwarty . . . . .	47
Rozdział piąty . . . . .	55
Rozdział szósty . . . . .	65

## POŚRÓD KARŁÓW

Rozdział siódmy . . . . .	79
Rozdział ósmy . . . . .	95
Rozdział dziewiąty . . . . .	106
Rozdział dziesiąty . . . . .	120
Rozdział jedenasty . . . . .	130
Rozdział dwunasty . . . . .	145
Rozdział trzynasty . . . . .	158

## DROGA DO ŚWIĄTYNI

Rozdział czternasty . . . . .	167
Rozdział piętnasty . . . . .	175
Rozdział szesnasty . . . . .	186
Rozdział siedemnasty . . . . .	198
Rozdział osiemnasty . . . . .	207
Rozdział dziewiętnasty . . . . .	217
Rozdział dwudziesty . . . . .	228

POSŁOWIE . . . . .	235
--------------------	-----



# IWAN FRANKO

## „MOJŻESZ”

Poemat najwybitniejszego poety ukraińskiego Iwana Franki, osnuty na motywach biblijnych. Utwór powstał w 1905 roku i nie jest wolny od wpływów poezji młodopolskiej. Autor żył i tworzył we Lwowie, pisał z równą łatwością po ukraińsku, jak i po polsku oraz niemiecku.

„Mojżesz” Iwana Franki jest artystycznym przetworzeniem biblijnej opowieści — lud wybrany symbolizuje tutaj cierpiący w rosyjskiej niewoli lud Ukrainy. Symbolikę można jednak odnieść do każdego innego zniewolonego i cierpiącego ludu, co nadaje utworowi wymiar uniwersalny.

„Mojżesza” przetłumaczono tylko raz na język polski — w 1913 roku. Obecnego przekładu dokonał Jerzy Litwiniuk. Książka zawiera 20 całostronicowych rycin pędzla znanej artystki warszawskiej Wisny Lipszyc.

Wydano w Warszawie w grudniu 1993 roku  
Burchard & Tyrsa

**W księgarniach całego kraju!**

Nadto sprzedaż wysyłkowa:

Zakład Wydawniczy „Tyrsa”

ul. Kościeliska 7

03-614 Warszawa

tel. 679-95-47

PAMIĄTKI I ZABYTKI  
**KULTURY  
UKRAIŃSKIEJ**  
W POLSCE

Jest to obszerny katalog zachowanych na terenie obecnej Polski zabytków i pamiątek kultury ukraińskiej: kilka tysięcy obiektów, przeszło półtora tysiąca miejscowości, wstęp historyczny, liczne ryciny i mapy, łącznie 510 stron druku...

**Jeszcze w sprzedaży!**

Informacje i zamówienia  
(także sprzedaż wysyłkowa):

Burchard Edition  
ul. Podleśna 15  
01-673 Warszawa  
tel. 33-83-24

ZW „Tyrsa”  
ul. Kościeliska 7  
03-614 Warszawa  
tel. 679-95-47

Książka współczesnego pisarza ukraińskiego, Romana Iwanyczuka jest opowieścią o Ukrainie doby Iwana Mazepy, o walce Kozaków z Rosjanami o wolność, prawo do godnego życia, do poszanowania własnej tradycji. Treść tej prozy można jednak z powodzeniem odnieść do czasów współczesnych, czasów trudnych, bo niewygodnych wyborów między surowymi regułami życia we własnym wolnym państwie, a jakimś sennym trwaniem w rzekomo ustabilizowanej rzeczywistości. Klimat tej powieści ma w sobie coś z mistyki prawosławia, przywołując zarazem na myśl obrazy Brueghla...



## ROMAN IWANYCZUK

powieściopisarz i lingwista ukraiński, działacz niepodległościowy, demokrat, deputowany do parlamentu wolnej Ukrainy. Urodził się 27 maja 1929 roku we wsi Tracze na Pokuciu w rodzinie nauczycielskiej. Nauki pobierał w Kołomyi, następnie studiował filologię ukraińską na uniwersytecie lwowskim, dyplom uzyskał w 1957 roku. Napisał kilkadziesiąt utworów literackich, opartych na motywach historycznych. Proza Iwanyczuka zawierała zawsze ukryte treści, pozwalające uważnym czytelnikom dokonywać analogii ze współczesnością. Było to powodem licznych kłopotów z cenzurą. Cenzura w PRL nie dopuściła np. do druku powieści „Małwy” w przekładzie Stanisława Burego. W wolnej Ukrainie powieści Iwanyczuka osiągają wysokie nakłady. Za powieść „Czwarty wiatr” został niedawno uhonorowany Nagrodą Państwową.